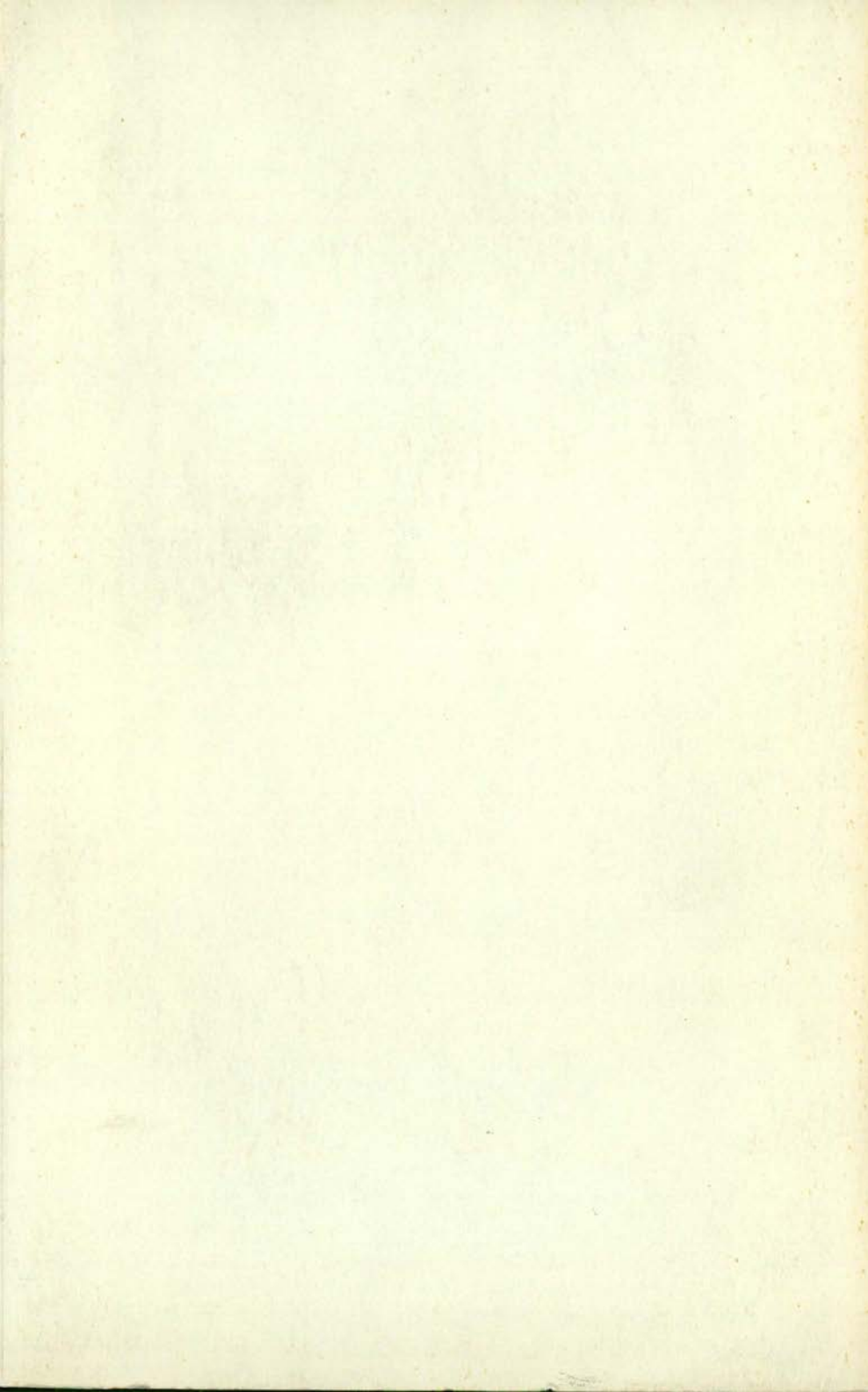




ZDOBYCIE WŁADZY

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom IX

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

all 215 000 (X)
CZESŁAW MIŁOSZ

X

ZDOBYCIE WŁADZY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1955

Większość postaci tej powieści jest fikcyjna. Spośród postaci rzeczywistych postacie kapitana Osmana i strzelca Bertranda zostały zaczerpnięte, podobnie jak i kilka innych szczegółów, z kroniki walk na Starym Mieście, „Przemarsz przez piekło”, spisanej przez Romana Podlewskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Profesor Gil jadł śniadanie złożone z herbaty i chleba. Jak zwykle ludzie samotni, nie pamiętał nigdy o kupieniu odrobiny masła czy marmelady. Za oknem hałasowały tramwaje; ich powyginane, posiekane kulami karoserie wydawały szcęk starego żelastwa; ludzie wisieli na tylnych buforach, zaczepieni o tych, którym udało się uchwycić za brzeg platformy. Wiatr po ulicy niósł czerwony pył rozbitej cegły. Profesor Gil myślał o tym ile czasu zajmie mu rozdział nad którym pracował i jakie są szanse na to, że jego wysiłek ma jakiś sens. Wiedział jednak, że zastanawiać się nad tym nie należy: kartki wiszące na ścianie, na których wypisał ile codziennie musi zrobić, były dyscypliną, ochroną, koniecznością, jeżeli nie nadzieją.

Tukydydes nie był dobrze widziany. Rozsądniej było wybrać do tłumaczenia innego greckiego autora. Postępując rozważnie w doborze tekstów, można było zapewnić sobie miejsce użytecznego pracownika. Państwo, które pozbawiło Gila i innych jemu podobnych uniwersyteckiej katedry, ze względu na zły wpływ na młodzież, nie dążyło do tego aby umarli oni z głodu. Młodemu pokoleniu uczonych brak było wielu umiejętności. Na przykład nikt z młodych, politycznie wiernych, nie znał greki, a Państwo miało swoje powody, dla których wydawało klasyków, co prawda w małych nakładach, szcycąc się że jest spadkobiercą wszystkich cywilizacji jakie istniały dotychczas. Państwowe domy wydawnicze podpisywały kontrakty nawet na przekłady tych dawnych pisarzy, co do których istniała uzasadniona ideologiczna wątpliwość; to było niepokojące: profesor nie chciałby żyć z dobroczynności Państwa, maskowanej jako zapłata za pracę. Ale Tukydides? Założmy, że w niedużej liczbie egzemplarzy; jednak ta gorzka nicość ludzkich

morderstw, chytrości, podstępów i walk, jaka wyziera ze stronic „Wojny Peloponeskiej”? Niebezpieczny obraz historii. Profesor pamiętał twarz dyrektora państwowego domu wydawniczego w chwili zawierania umowy. Jego oczy były spuszczone, zakryte powiekami; dobrotliwy, niemal serdeczny uśmiech miał trudno uchwytny odcień pobbłażania i ironii.

Pomimo wszystko w tym wyborze właśnie Tukydydesa zawarta była pewna wewnętrzna kompensata: coś jak wiara że zachowując związek ze starym Grekiem — a nawet, w pomyślnym wypadku, dając go choć kilku młodym do czytania — uzasadnia się siebie, zdejmując się z siebie piętno „przeżytku liberalizmu XIX-go stulecia”. Nie tylko ja, również ten którego nazywa się pierwszym historykiem, choć tak różne jest co on widział i co ja widzę.

Mieszkanie o tej porze było puste. Liczni sublokatorzy gnieźdzący się w jego pięciu pokojach wyszli wcześniej do biur położonych w innej, mniej zniszczonej części miasta. Profesor zaniósł szklankę od herbaty do kuchni, spojrział przez okno kuchenne w głąb ciemnego podwórza, na dnie którego, między potrzaskanymi płytami, kasztan rozwijał małe wiosenne liście. Tak wiele wiosen upłynęło od tamtej wiosny która przyniosła za sobą koniec wojny, przesiedlania ludności i epidemię tyfusu. Profesor włożył podarty sweter zapinany na guziki. Zastanowił się przez chwilę nad koniecznością przyszycia brakującego guzika, do czego potrzebne były nici: powinien pamiętać i zapytać sąsiadkę czy nie zechce wymienić motka nici na zapasową igłę którą zachował. Rozłożył na stole książki; otwierały się one same na miejscu które było mu potrzebne; papier ich nosił ślady jego palców. Po czym równym, drobnym pismem powoli zaczął dodawać zdanie po zdaniu.

„Pragnąc usprawiedliwić czyny uważane dotychczas za niegodne, zmieniono zwykły sens słów. Nierozumna śmiałość uchodziła za odważne oddanie sprawie publicznej; ostrożna wstręmięźliwość, za maskujące się pięknymi pozorami tchórzostwo. Zdrowy rozsądek stał się już tylko objawem zniewieścienia, wielka inteligencja, wielką gnuśnością. Okrucieństwo posunięte do szafu uznano za cechę duszy prawdziwie męskiej; parowanie zamiarów przeciwnika, za dozwolony wybieg w obliczu niebezpieczeństwa. Gwałtow-

nikowi zawsze wierzono; tego który opierał się gwałtowi, zawsze podejrzewano. Zastawiać z powodzeniem pułapki było dowodem inteligencji; zapobiegać im, zastawiając inne, dowodem większej zręczności. O kimkolwiek, kto starał się nie używać tych środków, mówiono że zdradza swoją partię i boi się swoich przeciwników. Jednym słowem uprzedzić tego który przygotowywał cios, przywieść do złych czynów tego który o tym nie myślał, zyskiwało tysiące pochwał. Więzy partyjne były potężniejsze niż więzy rodowe, gdyż skuteczniej skłaniały aby odważać się na wszystko, nie uciekając się do żadnych wymówek. Stowarzyszając się, nie miano na celu pożytku zgodnego z prawami, ale chciano zaspokoić chciwość w walce przeciwko ustalonym prawom. Wierność zobowiązaniom nie była oparta na szacunku dla boskiego prawa przysięgi, ale na współnictwie w zbrodni."

LATO 1944 ROKU

I

Było to w lipcu 1944 roku. Piotr Kwinto, oficer polityczno-wychowawczy pierwszej polskiej dywizji szedł aleją, której żwir był pokryty żółtą warstwą opadłych lipowych kwiatów. Zatrzymał się w miejscu, gdzie urywał się rząd drzew i bujna trawa błyszczała w słońcu. Czerwone owady z czarnym rysunkiem totemu, szczepione w miłosnym obrzędzie, roily się w zagłębieniu między korzeniami. Pochylił się i obserwował je przez chwilę. Potem wyprostował się i spojrzał w dolinę. Przestrzeń aż po horyzont pełna była wrzącego ruchu. Nieprzerwana kolumna ludzi i pojazdów drgała, rozwijała się, napędzając sobą wszystkie drogi na fałdzistych pagórkach, po jednej i po drugiej stronie rzeki. Ciężkie czołgi przybrane zielenią gałęzi sunęły stadami podnosząc i opuszczając lufy swoich dział na nierównościach terenu. Ciężarowe samochody, na których stali, siedzieli i leżeli szarzy żołnierze, prędkie biegania jeepów w różnych kierunkach po polnych ścieżkach, masy sowieckiej piechoty wylewające się z dróg w pola, idące rzędami między płowym kolorem ściernisk i zbóż; krzyki, dźwięki klaksonów, mruczenie motorów i długie obłoki pyłu, wzbijające się, trwające, leżące długimi warstwami nad niespokojnym krajobrazem.

Ruszył dalej aleją w cień starych drzew. Na trawniku przed domem żołnierze w koszulach z zawiniętymi rękami

wami ćwiartowali świnie. Inni zajęci byli czyszczeniem broni albo, oparci na łokciach, żując żdźbła trawy, leżeli gromadkami wokół tłumaczących im coś instruktorów. Megafon, widocznie naprawiany, trzeszczał i zgrzytał, wydając urywki melodii. Piotr Kwinto minął białe kolumny dworu, obszedł kuchnie pełne zgiełku, dymu i krzątający kucharzy wyładowujących z samochodów bochny chleba, dźwigających półcie mięsa. Wszedł w drzwi bocznego skrzydła. Zaśmiecona posadzka korytarza skrzypiała pod stopami. Zastukał do drzwi, machinalnie gładząc drugą ręką rzeźbę w ciemnym dębowym drzewie. Dwór w czasie okupacji niemieckiej był administrowany przez Liegenschaft; właściciele zostali wygnani, ale krewnej właściciela pozwolono zostać. Piotr nie widział jej jeszcze, nie ukazywała się nigdzie. Za drzwiami była cisza. Zapukał jeszcze raz. Za drzwiami rozległo się człapanie, znów cisza. Dopiero kiedy zastukał po raz trzeci, klucz przekręcił się w zamku i drzwi się uchyliły. Parzyli na siebie przez chwilę. Jej palce zaciskały się kurczowo na rąbku wzorzystego szlafroka w wielkie różowe kwiaty, który podciągała pod szyję. Usta jej wykrzywione były w grymas lęku i płaczu, ale trwało to tylko sekundę, ułożyły się w uśmiech, który jednak kontrastował z czerwonymi wypiekami na jej starej twarzy i wyrazem latających niespokojnie oczu. „Bolszewik! Jest, tu, czego zażąda?” Zanim otworzył usta, zdał sobie sprawę z nowego, nieznanego mu dotychczas ciężaru minionych pięciu lat. To, co czuł, było mieszaniną litości i wstrętu, czymś przykrym, wzbudzającym gniew — i nie wiedział czy był to gniew na siebie dlatego, że odnajdował w sobie wstręt, czy dlatego, że odnajdował litość. Przyszło mu na myśl że odtąd tutaj, znów w swoim rodzinnym kraju, będzie musiał ciągle popadać w ten stan wewnętrznego rozdrażnienia, że to spotkanie jest na pewno pierwszym z długiej serii spotkań, nagłym odtworzeniem więzów z przeszłością, którą uważał za umarłą.

— Przepraszam panią, mówiono mi że tutaj jest biblioteka. Czy nie byłaby pani łaskawa pokazać mi gdzie to jest? To tylko dla mnie. Chciałbym pożyczyć książkę — dodał pośpiesznie.

Dama uśmiechnęła się sztucznym uśmiechem jaki należy jest zdobywcom.

— Ach tak, naturalnie, proszę bardzo, naturalnie. Tylko

niestety — twarz jej (siła nałogu — pomyślał Piotr) przybrała odcień pobłażliwej wyższości — to jest biblioteka francuska, nie ma prawie żadnych polskich — zawahała się — ani rosyjskich książek.

— To nic, chciałbym ją jednak zobaczyć, jeżeli można.

Wszedł za nią do pokoju, w zapach starych mebli i jakby kadzidła. Na ścianach były poczerniałe portrety w staroświeckich mundurach i zbrojach. Otworzyła drugie drzwi i pokazała mu wielkie szafy w półmroku. Pajęczyny i kurz leżały na ich szklanych szybach. Piotr próbował otworzyć pierwszą z brzegu. Poprosił o klucz. Klucza nie było, ale druga szafa rozwarła się na oścież z piszczeniem, kiedy pociągnął za listwę; wysunięte zamki obnażyły się bezbronne, wyrwane ze swoich siedzisk. Dotknął ręką oprawnych grzbietów z upodobaniem. Czerwona skóra ze złocnymi wytłoczeniami: dzieciństwo, te książki w domu dziadków, nad którymi, na ceratowej kanapie rozgrzanej jego ciepłem, spędzał długie godziny. Lubiał szczególnie opisy podróży po Afryce, ich rysunki na których nadzy murzyni wiosłowali na małych tratwach z sitowia albo, wsparci o włócznie, stali dokoła trzciniowych chat podobnych do domków bobrowych. Stara dama przyglądała mu się kiedy, stojąc na krześle, brał do ręki tom za tomem. Świadomość tego wzroku za plecami psuła Piotrowi chwilę powrotu ku dawnym dniom, ku rzece nad którą budował chaty imitujące chaty murzyńskie, ku czółnu wydrażonemu z pnia, o którym wyobrażał sobie, że jest pirogą. Pewnie sądzi, że jestem przysłany żeby bibliotekę zarekwirować — pomyślał. Rzucił okiem na tom który trzymał i zeskończył z nim z krzesła.

— Pozwoli pani, że wezmę to — powiedział. — Odniosę zanim pójdziemy dalej. Widział na jej twarzy falę ulgi, odpływające napięcie trwogi kiedy odprowadzała go do drzwi, jeszcze niepewna czy nie odwróci się i nie zażąda zegarka albo pieniędzy.

Siedział na trawie na skraju parku oparty o pień drzewa. Rude słońce przesłonięte było chmurami, które dźwigały się z ziemi, wzbijane ruchem kół i marszem tysięcy stóp. Białe popiół osiadał na liściach. W powietrzu trwała gorączka pochodu. Samoloty warczały gdzieś w górze, idąc nad obłokami. Kątem oka śledził przez chwilę czołg, który

zatrzymał się na zboczu koło chat wsi, przechylony i niezgrabny. Uwijały się koło niego figurki ludzkie. Psucie się czołgów było ulubioną rozrywką żołnierzy. Nigdy nie mógł sprawdzić w jakim stopniu pomagali w tym motorom, żeby odbić się od swojej jednostki i przez jakiś czas oddawać się rozkoszom maruderstwa. Rozpiął mundur. Paryż, który ukazywał się na stronach książki wydawał mu się zastępy na wieki w tym kształcie w jakim utrwaliła go ręka tych rysowników: malarze w długich bluzach, midinetki stukające do pokoju studenta, który w obcisłych spodniach i długim żakiecie przeciąga się nad książkami, słodkie anioły w krynolinach oddane myślom jak przyprawić rogi koszmarnym kupcom-małżonkom. Ten Paryż w którym mieszkał przed 1939 rokiem zdawał się Piotrowi nie istniejący, zlewał się w jedno z Paryżem konnych omnibusów, który miał mocniejszy byt, umieszczony, zamknięty w czasie. Dlatego zapewne Piotr nigdy nie umiał jak należy opowiedzieć o Paryżu Iwanowi. Działo się to na Uralu gdzie pracowali obaj jako drwale. Iwan był chłopem z gór karpackich i analfabetą. Nigdy nie znał żadnego większego miasta i wieczorem, kiedy kładli się na pryczach, zadawał pytania, domagając się dokładnych odpowiedzi. Ale Piotr chciał prawdopodobnie odsunąć cały okres tamtego życia, nie mógł zaakceptować go jako części swoich dziejów na którą patrzy się spokojnie; spostrzegał, że z Paryża nie zostaje mu nic; to było życie nierzeczywiste które należało zniszczyć — jeśli nowa faza miała mieć jakąś wartość.

Wielkie sosny Uralu walące się z trzaskiem; dłonie starte do krwi od siekiery, ciało pokłute przez straszną plagę północnej puszczy: mikroskopijną muszkę której czarne roje wciskają się w oczy, w nos, w usta; groza zimy, gromadzenie szmat, którymi okręca się nogi aby uchronić od odmrożenia; i pewność śmierci: jeszcze rok, jeszcze rok i wszystko będzie dokonane. Nie trzeba było niszczyć dawnego życia: samo rozsypywało się, jeżeli myślał o nim, wzruszał ramionami. Piotr przyjmował to co mu się zdarzyło jako karę losu. Karę za to że był obywatelem Herkulanum i Pompei. Wokół niego ludzie dogorywali od niedożywienia i szkorbutu, wspominając, modląc się i złorzeczając. On zaciskał usta i uczył się milczeć. Ostatecznie nie było nic do powiedzenia. Było jak było. Mściwa sprawiedliwość.

I teraz, pochód Czerwonej Armii — jak lawa, jak siła przyrody. On w tym pochodzie. Rozumiejąc coś z tej surowej siły, której tylko zewnętrzną powłoką — albo raczej koniecznym objawem — był i terror i niepokój mrówek. Rozumiejąc. Czy wystarcza rozumieć? I ta kobieta. I miliony ich wszystkich miotających się bezradnie w strachu i nadziei, że Anglicy, że Amerykanie, że zakopać złoto, że uciec, że schować za tapetę dolary, że uśmiechać się, ukryć nienawiść. I ziemia — znieważona, pogrodzona drutami koncentracyjnych obozów, przyjmująca krew, ostatni krzyk ludzki i popioły. Europa midinetek i opasłych kupców w szlafmycach, która spokojnie przygotowywała jad, co miał ją zabić.

Szczęście bycia wśród żywych, słońca na twarzy. Urywane serie z automatów purkały niżej, w opłotkach wioski. Z daleka, zza linii horyzontu, odzywały się oddechy artyleryjskich strzałów. Podniósł dłoń i poruszył palcami w zdumieniu nad rokiem, miesiącem, dniem i godziną.

II

W ciągu ostatnich miesięcy, kiedy dywizja Piotra — załazek nowej administracji w pierwszym ze zdobywanych krajów — posuwała się na Zachód, Piotr przyglądał się głowie Wintera; znał na pamięć każde jej wklęsnięcie, każdą zmarszczkę. Duża czaszka, gładko ostrzyżona i wskutek wątlności porostu włosów niemal łysa, szczeka kwadratowa, wysunięta naprzód, wąskie wargi, nieduży, z lekka przygarbiony nos i czarne punkciki oczu — z wyrazem nieco małpim, patrzące bystro spomiędzy fałdów skóry. I teraz, w ten niedzielny ranek miał ją przed sobą. Zuchwy Wintera pracowały, gniotąc wielkie glony chleba, które zapijał kawą, siorbiąc. Muchy spacerowały po dzielącym ich stole, gromadząc się wokół małych sadzawek rozlanego płynu i zapuszczając weń swoje wibrujące pyszczki. Myśl o tym że oto wkrótce już zniknie konieczność patrzenia co dzień na Wintera, była dla Piotra tożsama z myślą o końcu wojny. Choć ta obecność nie była różna od obecności wielu innych rzeczy przyjmowanych przez niego jak

się przyjmuje uciążliwe cechy przyrody — to jednak Winter niepotrzebnie zamącał pamięć, przywołując początek wydarzeń. Gdyż on to był wtedy, w tej odległej już epoce, bezpośrednim powodem aresztowania Piotra i jego podróży na Ural. Jako jeden z dobrze widzianych, przygotowywał raporty, a oczywiście znał dobrze Piotra, przesiadywali razem kiedyś w literackich kawiarniach Warszawy. Znalazłszy się w strefie wschodniej w 1939 roku, Piotr nie bardzo wiedział co robić. Zastanawiał się nad ucieczką przez rumuńską granicę, ale, zważywszy po prostu na obserwację socjologiczną, nie miało to wielkiego sensu: limuzyny, futra, klejnoty i pekińczyki, które towarzyszyły ucieczce dawnego rządu, kiedy armia niemiecka zmiażdżyła polską armię, były symbolem; powrót do władzy tej warstwy był niemożliwy; nie zdarza się to nigdy w historii. Tydzień wędrówki po drogach ostrzeliwanych przez Messerschmidty był dla Piotra tygodniem obrachunku, z którego tylko mglisto zdawał sobie sprawę. Na zewnątrz było to tylko rozgoryczenie i wściekłość — ale w istocie był w tym wstyd współnictwa. Wstyd: kim był pisać swoją doktorstką tezę o poezji francuskiej, obserwując ironicznie świat dążący ku klęsce i ostatecznie zawsze urywając dostateczne stypendia na względnie wygodne życie w Warszawie czy przy ulicy Monsieur-le-Prince? Uciekać? Z nimi? Jednak źle znosił atmosferę sowieckiej okupacji. Zdecydował się wreszcie przekroczyć granicę dwóch stref i powrócić pod rządy nazich; nie przyznawał się przed sobą wtedy co go do tego skłaniało; była to chęć oczyszczenia, okupienia win, dzielenia losu poniżonego i nieszczęśliwego ludu. Również nadzieja, całkowicie irracjonalna, że z chaosu wyłoni się kiedyś coś nowego, o kształtach lepszych, jeszcze nie zarysowanych. Te motywy były przesłonięte przez wielkie, jak mu się zdawało, egoistyczne, pragnienie: uporządkować siebie, mieć czas, czas, znaleźć się tam gdzie jest się poza życiem publicznym i gdzie można wszystko zacząć od nowa, gdzie myśl jest wolna, bo pracująca całkowicie w podziemiu, bo całkowicie zabroniona. W chwili kiedy powziął decyzję, przyszło aresztowanie; o świecie, według wszelkich reguł. Po kilku tygodniach dostał wyrok: pięć lat; za działalność kontr-rewolucyjną. Winter, który złożył denuncjację, miał ostatecznie słuszość. To też była sfera, którą należało zbyć wzruszeniem ramion. Win-

ter spędził przed wojną parę lat w więzieniu jako komunistą. Był fanatyczny i zjadł w poczuciu krzywdy; poza tym sam bał się Rosjan. Piotr rzeczywiście był autorem artykułu, który stał się podstawą oskarżenia. W artykule tym złośliwie mówił o komunistycznych poetach, zarzucając im nieuczciwość intelektualną. Czy, gdyby nie amnestia, Winter byłby winien jego śmierci? Zapewne. Kiedy Piotr, późno, przybył z Azji do dywizji, zastał tam Wintera. Wszystko musiało być zapomniane. Uścisnęli sobie ręce, małe oczy Wintera były twarde, spokojne i uważne.

Obok nich, za stołami, ludzie w niezgrabnych mundurach kończyli śniadanie, gadali, powietrze pełne było papierosowego dymu. Za oknem stało światło pogodnego ranka, niosły się krzyki jaskółek, gwizdanie i śmiechy żołnierzy. Winter otarł usta, spojrzał na zegarek, wstał i obciągnął kurtkę.

— Idziemy? — zapytał Piotra.

— Książd bez nas nie zacznie. Wie.

— To nic. Trzeba żebyśmy pokazali, że jesteśmy punktualni.

Batalion wychodził z bramy parku, której wrota z giętego żelaza, wyrwane, leżały w pokrzywach. Droga wiodła w dół, sypka, pyłaca buty. Piotr patrzył na małe chaty kryte słomą, na wysokie słoneczniki przed nimi i malwy. Moja ojczyzna. Wszystko drobne, uczepione skrawków ziemi, poletka, ogródki, miedze, chłop ze swoim koniem, babina ze swoją krową, karczma, sklepik, sąsiedzi oparci o płoty, małe gęsiarki o bosych, czerwonych nogach — poza czasem, który przynosił wojenne maszyny i rodził książki politycznych doktryn.

Batalion śpiewał skoczną ludową piosenkę. Ludzie w niedzielnych strojach przystawali w ulicy wioski gapiąc się w zdumieniu: polskie wojsko, te same, dawne mundury, ta sama piosenka. Sowieccy żołnierze wsparci plecami o wielkie czołgi, przyglądali się maszerującym w nowych, niesplamionych mundurach ponuro i z odcieniem ironii. Co myśleli chłopci, oni, których ziemię gniotły czołgi zbudowane w Zagłębiu Ruhry, którzy znali terror, oblawy, wydzierane matkom dzieci o niebieskich oczach i płowych włosach aby w Rzeszy wzmacniały nordycki biologiczny potencjał, którzy wreszcie widzą czołgi zbudowane za Ura-

lem — i wszystko przychodzące z zewnątrz, wyrok, dopust Boży, skrzydło cyklonu, który ma swoje centrum zawsze poza, gdzieś na nieznanym obszarach czy w umysłach nieznanym ludzi.

Na trawniku przed kościołem kolorowe chustki kobiet, czarne kaszkiety mężczyzn. Kościół był drewniany, festony liści i zwiedłych kwiatów wisiały nad jego otwartymi drzwiami. Pierwsze rzędy żołnierzy weszły do środka. Piotr, obejrawszy się, widział twarze tych co zostali u wejścia, masę żołnierskich, gładko ostrzyżonych głów i wąsate pomarszczone twarze chłopów. Żołnierze. Tak samo jak on wywiezieni kiedyś na obszary Azji, do obozów na brzegach Lodowatego Oceanu, zdychający z głodu i szkorbutu. Tak wiele wiedzieli. W jakim stopniu istniało w nich poczucie, że uczestniczą w maskaradzie, że ich obecność, tutaj, w wiejskim kościele, z woli rosyjskiego dowództwa, jest zabawą losu? Ale byli szczęśliwi. Po tamtym wszystkim, po rozpaczach, po nieobjętych przestrzeniach kontynentu, byli znów tutaj, znów, jak w dzieciństwie, wdychali zapach starego drzewa, kwiatów i kadzidła, uczestniczyli w zbiorowym obrzędzie, który istniał poza rozumowaniem, był zmysłowym, najsilniejszym, potwierdzeniem rodzinne-go kraju.

Mali chłopcy w komżach potrząsali dzwoneczkami. Dźwięk organów, ornat księdza, stare chłopki wodzące palcem po wielkich literach książki do nabożeństwa. Piotr myślał o grobach sowieckich żołnierzy. Tysiące tysięcy tych grobów na obszarach od Wołgi aż tu, po Wisłę. Zna-czyły je małe drewniane piramidki z czerwoną gwiazdą. Nie wiedział czemu należało przypisać smutek tego znaku; może to był tylko nałóg wyobraźni; a może krzyż jest najprostsza formą dwuwymiarowej przestrzeni jaką spotyka się w naturze: formą człowieka, formą drzewa; nagrobki sowieckich żołnierzy naśladowały murowane mauzoleum, deski z których były zbite podrabiały nieudolnie kamień. Leżeć pod tym symbolem nowej religii, która dla indywidualnej śmierci nie zna innego upamiętnienia niż pomniejszoną piramidę, którą wznosi się na chwałę imperiów i królów? Czy ścisnięcie serca jakiego doznawał patrząc na te groby nie pochodziło czasem z pretensji do Państwa że nie zostawia umarłych w spokoju, że nie pozwala im na inny, jakikolwiek znak, byle to nie był znak jego potęgi?

Małe słońce monstrancji. Myślę na pewno to co oni wszyscy — powiedział sobie Piotr. Za to że żyję. Za to że doznałem nieszczęścia. Za to że nie jestem kim byłem. Abym nie zapomniał o wspólnym losie ludzi i nie żądał dla siebie innego losu. Abym odnalazł drogę sprawiedliwości. Abym odrzucił w sobie i w każdym człowieku to co zbędne i zachował tylko to co godne jest zachowania. Abym z mojego gniewu zrobił użytek. Abym miał w sobie tę siłę, która przychodzi z milczenia. Winter stał obok niego z pochyloną głową: syn żydowskiego introligatora z warszawskiego ghettą, traktujący swoją obecność tutaj jako coś co jest użyteczne a więc konieczne a więc racjonalne, duchowy potomek namiętnych ateistów, którzy jeszcze nie zrozumieli, że religia może być środkiem politycznym jak każdy inny. Piotr miał dla Wintera niechętną przyjaźń, bo znał jego zacięte, skryte cierpienie; rodziców Winter nie odnajdzie. Matka Piotra może też nie żyje, ale Winter miał przed sobą tylko gruz i popiół krematoriów, nic z nadziei. A za sobą śmierć swego dziecka. Z urywanych słów rzucanych w ciągu tych miesięcy, Piotr odgadnął, że rok spędzony przez Wintera w Aszhabadzie nie był dla niego o wiele lepszy niż dla Piotra pobyt w więzieniach i obozach. Dziecko umierało mu na glinianym klepsku turkmeńskiej chaty, nie mógł nic, nawet złorzeczyć przeciwko Bogu czy Państwu; przyjąć absurd i nie nazwać go nawet absurdem. Jak ci starzy Turkmeni o żółtych pomiętych twarzach, mógł tylko patrzeć w bezlitosne, palące słońce i godzić się na malarię, na nędzę, na przemoc: konieczne. Piotr nauczył się rezygnacji, ale była to — myślał — inna może rezygnacja niż Wintera. Raczej ostrożność, instynkt. Czuł ją w sobie jako chwilową falę, jak rozluźnienie mięśni u zwierzęcia rzuconego z wysokości. Jednak, zdawało mu się, był od Wintera szczęśliwszy. Jeżeli to było tylko złudzenie, to pomagało ono pozbyć się niechęci — do chwili kiedy Wintera nie będzie musiał już oglądać. Ale teraz gotów był prawie wyciągnąć rękę i dotknąć jego dłoni na znak braterstwa i wspólnoty.

Wychodzili na jaskrawe światło. Sowietcy żołnierze siedzący na murze dokoła kościoła gapili się na nieporównanie egzotyczne dla nich widowisko. Polscy żołnierze mieszały się z ludnością, żarty, chichoty dziewczyn. Nagle Piotr usłyszał krzyk. Zanim zdał sobie sprawę skąd pochodzi ten

wysoki, przenikliwy skowyt, coś gorącego, kłęb ruchu i jęku rzuciło mu się pod nogi i sięgając go z dołu objęło go wpół. Chustka zsunęła się w tył z głowy chłopki, zmierzwił włosy, wyblakłe błagające oczy, usta otwarte w wołaniu. „O Jezu, o Jezu, zabrali, panie, ratujcie, syna zabrali”. Czepiała się jego munduru. „Panie, wy Polak, jak tak może być, on nie winien, on bił się z Niemcami”. Piotr odsunął jej ręce. „Pomóżcie, ratujcie, bracia Polacy. Enkawude syna zabrali. Za co? Za co?” Piotr widział gromadzących się dokoła swoich ludzi. Ich oczy były spuszczone, usta poważne. „Nic nie mogę zrobić, kobieto. To do nas nie należy”. Winter zjawił się przy nich. „Nie płaczcie kobieto, to wojna, linia frontu, sprawdzą i wypuszczą”. Zarządził zbiórkę. „Diabli nadali te wszystkie historie — powiedział do Piotra — ale to nieuniknione. Czyszczą teren. Trudna sprawa, jeżeli w tej okolicy nie było innej partyzantki niż londyńskich faszystów. Właściwie wszyscy młodzi należeli tu do A.K.”

III

— Powoli, powoli. Co dla nas jest najbardziej niebezpieczne, to słowa. Musimy nauczyć się innego języka, który by bardziej przylegał do rzeczy. Nawet opowiedzieć coś jest trudno, sam wiesz. A zresztą ja nie ukrywam mojej nienawiści.

Julian. Mieć go przed sobą było równie niepojęte jak mieć przed sobą wskrzeszoną postać ze stronic podręcznika historii. Dla Piotra jego przyjaciel był częścią wielkiego tłumy cieni — i oto jest tutaj, jego oczy jak dawniej mrużą się, jest w nich, pomimo wszystko, ten sam mieniący się odbłask, jakby wewnętrznych wybuchów złośliwego śmiechu.

— Oczywiście, że mogłem wyjść wcześniej z ghetta. Michał chciał mnie u siebie umieścić. A, Michał — wiodło mu się dobrze. Handlował mąką. Ale duszyczka jego jest brudna. Humanitarna, brudna duszyczka. Widziałem jak się boi. A jego żona jeszcze więcej się bała, o niego. Ten obowiązek. Jak wtedy kiedy ten plugawiec, Tomasz, wy-

gryzł mnie z asystentury i były protesty: wstydlivość sumienia, że wyrzuca się za drzwi Żyda. Wstydlivość — walka między jednym tchórzostwem i drugim tchórzostwem. Wolałem zostać w ghetcie.

— Chcesz żeby człowiek nie musiał przezwycięzać tchórzostwa? Aby go w nim nie było?

— Tak. Chcę. A zresztą tak było lepiej. W ghetcie zarabiałem lekcjami. Wszyscy młodzi się uczyli. Nie widziałem nigdy ludzi, którzy by tak się uczyli: angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, hebrajskiego — nawet łaciny i greki. Dużo słówek i deklinacji poszło do nieba z dymem. Ale to pomagało tam, w ghetcie, pozwalało żyć. Kto uczy się słówek czyż może przyznać się przed sobą, że nie ma nadziei?

Julian opierał łokcie o lepiący się blat stolika. Jego czarna marynarka błyszczała od wytarcia i brudu. Pod nią miał wojskową, sowiecką bluzę. Chudą twarz pokrywał mu ciemny zarost.

— Jednak chciałem ratować swoją skórę. W 1942 wszystko było jasne. Byłem wtedy w brygadzie, którą codzień wywożono do pracy na miasto. To zostało przygotowane. Opłaceni, zawieźli nas wieczorem po pracy, zamiast z powrotem do ghetta, na sam koniec Alei Niepodległości, na pola. Cztery ciężarowe samochody. To był wrzesień. Nie wiesz jak wygląda Żyd-niewolnik: dwie torby, w których niesie wszystko co ma, jeżeli zdoła, przywiązuje coś w worku na plecach. Uciekający zostawiali na śmierć swoje rodziny. Zostawiłem rodziców. Powiedziałem im, że chcę uciekać.

Kelnerka postawiła przed nimi kawę. Luźne bransolety dzwoniły na jej szczupłych rękach. Kobiety ze zdeklasowanej przez wojnę inteligencji były dla Piotra nowością. Zdał sobie sprawę, że jego spojrzenie musi być nieprzyjemne: przyglądał się jej jakby była egzotyczną rybą w akwarium. Odchodziła kołysząc z lekka biodrami, elegancka, wyprostowana, balansując tacą. Julian nie spozrzał na nią. Uważnie mieszał łyżeczką.

— Teraz oczywiście jestem dobrze notowany. Partyzant ludowy. Dobrze, niech to będzie przypadek. Ale dziś przypadki są nieprzypadkowe.

— Julian, ty i życie w lasach. Ten przypadek jest śmieszny.

— Naturalnie, że byłem źle przygotowany do życia w lasach. Szliśmy na południe, żeby potem zawrócić na wschód. To była jedyna szansa. Tylko tam można było znaleźć czerwonych partyzantów. A.K. nie przyjmowało Żydów.

— Nie?

— Nie. Szliśmy nocami. Było nas pięciu. Trzech mężczyzn i dwie dziewczyny. Wpadliśmy w obławę Narodowych Sił Zbrojnych. Michał w Warszawie był teoretykiem tego szlachetnego ruchu. Naród, tradycja, walka z Niemcami, katolicyzm i tak dalej. Publikował swoje brednie w ich pismach podziemnych. Ale w praktyce działalność ich oddziałów polegała na czyszczeniu kraju z Żydów i komunistów, co dla nich jest, jak wiesz, tym samym. Ich obława wyganiała nas z lasu na pola, gdzie czekali niemieccy żandarmi. Tamci czterej poszli i zginęli. Było małe jezioro. Wskoczyłem i zanurzony wystawiłem tylko usta między trzciną, żeby oddychać.

Więc to w taki sposób dane im było uczyć się rzeczywistości. Piotr przypominał sobie dyskusje o fenomenologii jakie toczyli do późna w nocy w małej kawiarence koło uniwersytetu. Uśmiechnął się i powiedział:

— Nazywano ciebie Julian Apostata.

— To nie było bardzo pomocne. Nie wiem jak to zrobiłem. Ale potem byłem zupełnie sam. Bałem się podejść do wsi. Szedłem nocami, póki miałem siły. Wreszcie położyłem się żeby umrzeć. Byłem tak głodny i słaby, że to wydawało się najłatwiejsze. Spałem po prostu. Łagodne przejście.

Czy naprawdę trzeba było aby stało się to wszystko? Czy to co przeżyli przyniesie jakieś oczyszczenie? Czy przeciwnie? Patrzył na Juliana jakby starał się odgadnąć siebie samego w tej twarzy. Tamten opowiadał dalej.

— Wtedy zdarzyło się coś jak w starych romansach. Uratowali mnie leśni Żydzi. Znaleźli mnie i przynieśli do swego bunkra. Było tam diabelnie ciasno. Cała rodzina: stary z brodą jak u proroków, syn z żoną i troje dzieci — wszystko w jamie wygrzebanej w glinie. To było pokryte dachem z desek, na nim gruba warstwa ziemi, zasadzone krzaki. Nawet ktoś kto by natknął się na to miejsce, nie mógłby poznać.

— A oni, czy się nie bali? Cóż ich akt?

— Bali się? To za mało. Tam dla nich ledwo było miejsca. Musiałem słuchać ich klótni, jakbym był rzeczą. Kobieta skakała im do oczu za to głupstwo, które zrobili. Stary mówił, że tak trzeba. Syn tłumaczył, że lepiej było mnie zabrać, bo znalazłby mnie ktoś w lesie, zaczęliby szukać i byłoby nieszczęście. Ale oni nie ukrywali swego strachu. Nie wstydzili się strachu.

Piotr czuł na plecach spojrzenia kobiet i mężczyzn szepczących ze sobą przy sąsiednich stolikach. Wrogość pomiędzy nimi i tymi którzy nosili sowieckie czy polskie mundury była niemal dotykalna.

— Byli z sąsiedniej wioski — mówił Julian. — Mieli tam przedtem sklepik. Co kilka dni syn szedł o zmierzchu do wioski, do znajomych chłopów i przynosił od nich żywność. Miał z nimi jakąś ugodę. Najgorzej było w zimie — ślady na śniegu. Bo kiedy tam się znalazłem, mieszkali tak już rok. Starali się zebrać zapasy, żeby zimą wcale nie wychodzić. Jeden człowiek więcej psuł wszystkie rachunki.

— Zostałem tam przez miesiąc. Później syn dowiedział się od chłopów, że sąsiednimi lasami przechodzi oddział czerwonych partyzantów. Zbiegli jeńcy sowieccy, Żydzi, trochę różnych z miast: zbieranina. Na zasadzie przypadku, oczywiście. Nie wiedziałem czy to co mówi było prawdą czy po prostu chcieli się mnie pozbyć. Ale poszedłem. Dali mi żywność i pokazali drogę. Znalazłem ten oddział. Bardzo mnie honorowali. Intelktualista. Redagowałem im pismo odbijane na powielaczu.

Piotr chciał powiedzieć coś o dawnym Julianie Halpernie, przeciwniku Hegla, ale nim powiedział, wydało mu się to nonsensem. Stwierdził tylko jak się stwierdza pogodę.

— Więc jesteśmy po tej stronie. Wkrótce będziemy w Warszawie.

— Oni tam i oni tu — Julian zakreślił krąg ręką. — Czy wiesz co myślą? Tu, w tym mieście, koło Majdanka gdzie leżą setki tysięcy okularów, szczotek do zębów i zabawek. Każda zabawka to jedno zabite dziecko. Myślą, że pomimo wszystko jest korzyść. Nie ma Żydów.

— Tak. Nie ja ich będę bronić. Jednak musisz wiedzieć co się zdarzyło na Ukrainie. Tam, na sowieckiej. Kiedy przyszli Niemcy nie ocalał żaden Żyd. Tam nawet przypadek nie był możliwy. Wydawali wszystkich. To jest zresztą

tylko uwaga techniczna. Gdzie nie ma prywatnej własności człowiek jest na łasce kolektywu. Kolektyw pozbywał się Żydów.

— Czy ty właściwie rozumiesz siły?

— Rozumiem, że inaczej nie może być.

Julian zasyczał.

— Te deklamujące psy. Zostaną w Anglii i lata będą szły i będzie ich żerać ich własne kłamstwo. Będą wydawać dwa pisma zwalczające się nawzajem: „Pszczołka londyńska” i „Osa szkocka”. Na tym dokonają żywota.

— Wiesz także coś o nowym wspaniałym świecie.

— Naturalnie, że wiem. Nikt nie wybiera czasu, w którym się urodził. Ani obyczajów. Ani, choć źle znosi samolot, nie będzie podróżował kareta.

IV

Redakcja „Nowej Epoki” mieściła się w biurze, w którym jeszcze niedawno Niemcy wydawali swoje propagandowe pismo. Podłoga była zaśmiecona słomą; w nocy sypiali na niej wszyscy współpracownicy. W kątach stały worki z żywnością, które udało się Barudze załapać dla ich stołówek. Redaktor Baruga, w rozchełstanej koszuli, w wojskowych spodniach wpuszczonych w ciężkie rosyjskie buty, na próżno walczył z telefonem, ciskając z wściekłością słuchawkę i znów ponawiając wysiłki. Jego powieki były czerwone, twarz spuchnięta od niewyspania. Sypał przekleństwami, którym jego gruchający głos nadawał dziwaczne brzmienie. „Durnie, krzyczał. Durnie, mówiłem im, że trzeba wysłać samochód. Potrzebujemy tych ludzi. Kurwa ich mać, teraz będą się bawić w aresztowania kiedy ludzi trzeba do roboty”. Cisnął jeszcze raz słuchawką i wyprostował swoje wielkie cielsko. „Gajewicz, musicie iść zaraz do tego Pekielskiego. Mi-ni-ster, psia jego godność. Idźcie do tego mi-ni-stra niech to natychmiast załatwi, żeby ich wypuścili”.

— Co z tymi ulotkami do cholery — zagrzemiał na całą salę. Armia jest już nad Wisłą. Warszawa będzie oswobodzona dziś czy jutro, jak my będziemy wyglądać. Ja im

kark skręć tym drukarzom, jeżeli nie nauczą się pracować. Kark skręć a nauczę.

Piotr Kwinto, pocąc się w upale, pośpiesznie pisał artykuł. Przy sąsiednim stole Julian Halpern, ze słuchawkami na uszach, notował komunikaty. Piotr, przydzielony do redakcji odczuwał to jako wejście w nowy i być może wygodniejszy dla niego w tej chwili świat: gorączka pracy, ryki Barugi, splątane dzień i noc, artykuły, korekty, zapach drukarskiej farby. Poza tym nagle zniknął z jego pola widzenia Winter, który został w armii.

Artykuł, który pisał, był komentarzem do Manifestu ogłoszonego przez nowy rząd, dążący na Zachód razem z Czerwoną Armią. Powtarzała się sytuacja 1920 roku, kiedy to trzech polscy rewolucjoniści: Dzierżyński, Marchlewski i Kon przygotowywali się do objęcia władzy w Warszawie, zwracając odezwy do narodu. Ale — myślał Piotr — istnieje doskonalenie się rewolucyjnych sytuacji. W ciągu tych paru dziesiątków lat, armia która nosła nowy ład, przestała już być armią źle uzbrojonych, niezdyscyplinowanych rebeliantów. I w ciągu tych lat nacjonalizm który mógłby się jej przeciwstawić, spróchniał jak próchnieje obumierająca gałąź. Ten nacjonalizm, który żył jeszcze tylko odrobina soków czerpanych z ubiegłego stulecia. Nazizm redukowało go do absurdu. A wreszcie istniało tak wielkie udoskonalenie rewolucyjnej techniki.

— Miodu, przede wszystkim miodu — mawiał Baruga. Świadomość etapu. „Na ile lat rozłożą się etapy?” — myślał Piotr pisząc o reformie rolnej proklamowanej przez nowy rząd i o poszanowaniu prywatnej chłopskiej własności. Tak, należało mówić o tym że nikt nie chce krwawych przewrotów, że rewolucja będzie łagodna. Nowe formy społeczne — nie takie jak w Rosji, nie takie jak w kapitalizmie. Inna, nowo wynaleziona droga do socjalizmu. Aby ci, którzy jak żołnierze Piotra kryli w swoich przezornie milczących ustach słowa nienawiści do tego, co tam na Wschodzie, widzieli, mogli czuć ciepło swojskości, aby zdolni byli z czystym sumieniem krzyczeć hurra na widok narodowej flagi.

Jednakże sos narodowy, którym należało przyprawiać każde zdanie był dla Piotra szczególnie nieprzyjemny. Przed wojną tromtadacja patriotycznych krzykaczy była ulubionym przedmiotem kpin wszystkich intelektualistów. Baru-

ga, wtedy jeden z redaktorów kryptopartyjnego pisma, szczególnie używał sobie wyszydzać te frazesy i zapewniał sobie przez to uznanie „myślące” publiczności. Teraz emocjonalne slogany zyskiwały nowe zastosowanie czy uzasadnienie. „Bić Niemca, zarzynać, nie oszczędzać kobiet ni dzieci, użyźnić ziemię wrażą posoką, walczyć o wielkość i niepodległość narodu” — to powtarzało się bezustanku. I te wezwania radiowe, kierowane na tamtą stronę Wisły: „Powstańcie, strzelajcie do Niemców, odcinajcie im drogę odwrotu, chwytajcie za broń, godzina zemsty wybiła” itd. Piotr zauważał trudność używania tego rodzaju słów. Trudność osobistą: u innych być może takie słowa przychodzą od razu w gotowych zlepkach, są wygładzone w użyciu jak kolba karabinu. Kwestia wychowania, treningu. Ale on za każdym razem musiał je odważać, układać na nowo, dziwiąc się tej pracy i jej wynikowi. Były poddane refleksji, ukazywały charakter tej konwencji jaką jest obiegowy język służący ludziom do wzajemnego komunikowania wzruszeń. Całe zdania zamiast tych kilku dźwięków jakie wystarczały pierwotnemu człowiekowi do wyrażenia sympatii i wrogości. Jednak Valéry był trochę bardziej precyzyjny. Ale nic nie można było poradzić. Te elementarne dźwięki były częścią rzeczywistości i, być może, przez sam fakt, że, pisząc, przekreślał słowa zbyt, jak mu się zdawało, wytarte, nadawał swoim zdaniom większą niż należało siłę.

Postawił kropkę i przeciągnął się. Baruga hałasował za swoim stołem, tym razem wymyślając komuś za niedokładne korekty. Wtedy to się zdarzyło. Julian krzyknął, zagłuszając klótnie i stukanie maszyn: „Cicho!” Patrzyli na niego, przyciskającego dłońmi słuchawki. Podniósł oczy; nie były jak zwykle zmrużone, kierowały się prosto ku nim z napięciem i z zainteresowaniem; ogarniał nimi obecnych i zdawał się, zanim powiedział, czekać odpowiedzi.

— W Warszawie wybuchło powstanie. Londyńczycy grają ostatnią kartę.

Baruga trwał wychylony naprzód, nieruchomy. Jego twarz przybrała ten wyraz, który miał zawsze kiedy milczał i zastanawiał się: smutnego psa. Sięgał po papierosa, kręcił go w palcach. Z gardła wydobył mu się głośny pomruk. Zapalił, oparł się na łokciu. „No — powiedział — no”.

Oczy Juliana zmrużyły się i ukazał się w nich znów odbłask wewnętrznego wybuchu. Dziewczyny przy maszynach gapiły się z otwartymi ustami, jak widać nie bardzo wiedząc co należało manifestować i jak się zachować. Ktoś chuchał w okulary, przecierał je i przyglądał się im pod światło. Ulicą niosła się pieśń sowieckich żołnierzy. Piotr ułożył artykuł, przycisnął go popielniczką i, starając się robić jak najwięcej rumoru, odsunął krzesło.

V

Jest to zupełnie płaska równina, prostą linią stykająca się z niebem. Równina szara — rżyska pół, płowość piaszczystej ziemi, słaba zieleń sosnowych lasów. Niebo u schyłku lata blade i przezroczyste. Kłęb dymu rozwijał się leniwie w tym niebie, przesunął się, rozprasał się wysoko, ponad linią lotu ptaków. Zaczęły się już pierwsze przeloty: z tundr Laponii, z jezior Szwecji szły kluczami na południe, warstwy powietrza drgały od pracy ich skrzydeł, ich głosy były czasem tylko dosłyszalne na ziemi małemu pastuszkowi, który boso, z długim biczem, zadzierał głowę; ale nawet niedosłyszalne, trwały jako obecność, niepokój.

W dymie wirowały małe skrawki blasku, lusterka w których igrało słońce: płatki papieru, białe albo zetlałe, gnane do góry ciepłem ognia. Były to także skrzydła gołębi: spłoszone ze swoich domostw zataczały koła, zawracały, srebrne na ciemnym tle, spadały w dół i znów wzbijały się w górę, wyżej, coraz wyżej, nie znajdując miejsca na lądowania.

Nisko, dym zbierał swoje dopływy. Jasne punkty palących się domów miasta owinięte były w czarną watę, która sączyła się do góry. Powolny ruch tej ciągłej materii był zakłócany wrzieniem wybuchów: wytryski pyłu wznosiły się nagle tu i ówdzie, tracąc stopniowo szybkość, rozpuszczając swoje rdzawo-białe obłoki w ospałej dymnej mazi. Czerwony odbłask pojawiał się na kłębach dymu, niknął, pojawiał się gdzie indziej, znów ustępował miejsca czerni.

W dole, u źródeł ognia, wielka rzeka, nad którą stało

miasto, była linią różowo zabarwionego metalu. Szczątki mostów leżały w niej jak wraki okrętów.

Równy z linią horyzontu, nisko, przesuwający się szybkie samoloty w różnych kierunkach. Ich pojawieniu się w okolicy dymów towarzyszyły detonacje. Z bliska tylko można było usłyszeć wszystkie dźwięki jakie kryła w sobie pozornie cisza widowiska. Był to stukot olbrzymiej kuźni. Działa czołgów uderzały pracowicie, zgęszczając swój rytm, śpiesząc się. Mieszały się z nimi płaskie, puste dźwięki artylerii przeciwlotniczej, jak odkorkowywanie butelek. Z rzadka, w regularnych odstępach niósł się szerokim echem wystrzał ciężkiej artylerii i przenikliwy zgrzyt miotacza min jakby nakręcanego starego, zardzewiałego zegara; detonacje bomb przychodziły seriami — i znów wracał tło zgiełku złożone z częstych, drobnych strzałów, ze zrywających się i gasnących terkotów automatycznej broni, których diagram musiałby mieć formę małych łuków.

VI

Z południowo-zachodniej strony miasto urywało się nagle. Wielkie nowoczesne bloki graniczyły tutaj z polami owsa i kartofli. Rzadkie mieszkalne domy zaplanowanych, ale jeszcze nie zabudowanych ulic były połączone wiejskimi drózkami. Kobiety tej dzielnicy korzystały z chwil kiedy słabł obstrzał, aby wypelzać na pola i przynosić dzieciom wykopane pośpiesznie kartofle i marchew. Tego południa oddziały Dywizji SS Hermann Goering zaczęły podpalać domy. Spokojna, szeroka panorama równiny. Szły nią pośpiesznie gromadki ludzi, obładowanych tłumoczkami i węzełkami. Niektórzy pchali przed sobą taczki i ręczne wózki. Na tykach mieli przywiązane białe chustki. Świerszcze grały w owsach, czerwonych od odbłasku łuny. Oglądali się za siebie ku dobrze widzianym sześcianom budynków, w których oknach buzowały płomienie. Ciekawi byli czy pożar dosięgnął już okna, które dobrze znali, myśleli o tym które w tej chwili trawi sprzęty. Blask odbijał się w oczach kota, którego przyciskała kurczowo do piersi kobieta we wzorzystej, letniej sukni. Mały chłopczyk

przemawiał do kanarka, którego niósł w klatce. Szli dalej, bez zamiaru i bez decyzji, z jednym tylko pragnieniem ucieczki.

Na prawo od palącej się dzielnicy stały rzędami niewykończone bloki z czerwonej cegły. Naprzeciwko nich rozwijało się natarcie. Kilka czołgów wlokło się naprzód wzbijając pył na kartofliskach. Ta-ku—Ta-ku—Ta-ku, echo odpowiadało ich strzałom. Po każdym strzale ze ścian czerwonych bloków wzbijał się kłęb ceglanego pyłu, kiedy rozpraszał się, widać było dziury o dziwacznej formie, psujące symetrię okien. Na gwizdek dowódcy wynurzały się z płaskiej ziemi figurki żołnierzy w zielonkawych mundurach, pochylone biegły naprzód. Trwało to chwilę, tyraliera nikła w zakurzonej zieleni kartoflanych naci. Z bloków odpowiadały pojedyncze karabinowe strzały. Wzbijające się dymki kurzu na linii tyraliery znaczyły miejsca gdzie padały kule. Znów zrywali się mali ludzie, znów dymki pykały, było ich coraz więcej. Rozległ się długi gwizdek. Figurki żołnierzy biegły teraz skacząc w przeciwnym kierunku. Czołgi zawracały. Natarcie było skończone.

Słońce zachodziło i pola były objęte podwójnym światłem — łuny miasta i łuny zachodu. Gromady wróbli ciągnęły nad owsami. Jezdnia szosy prowadzącej do lotniska mieniła się tęczę. Słaby wiatr powiewał suknią na trupie kobiety leżącej jak porzucona lalka na brzegu szosy. Chwiejnie poruszali się tam i z powrotem żołnierze rosyjskiej pomocniczej brygady zygzakując i rozstawiając szeroko kolana: w pustce, na tle teatralnych płomieni miasta, udzielali sobie, nawołując się krzykami, lekcji jazdy na rowerach.

VII

Wielkie betonowe słupy i rozpięta na nich sieć drutów znaczyły tor podmiejskiego tramwaju, który idzie równiną na zachód. Co kilka minut przebiegały nim pociągi złożone z trzech wagonów. Na ostatniej platformie stali żandarmi w hełmach; lufy ich automatów ułożone poziomo,

sterczały zza krawędzi. Ciasno zgnieciony w przestraszonym, ponurym tłumie, profesor Gil poczuł, że ktoś go ściska za ramię. Patrzyły na niego z szarej twarzy robotnika okrągłe niebieskie oczy. „Profesorze — mówił przez zaciśnięte usta — ja pana znam. Teraz trzeba skakać. Bo zgnoją nas w Oświęcimiu. Teraz jeszcze pora”. Pociąg chylił się na zakrętach, słupy migwały. „Potem już nie będzie okazji. Teraz nie trudno. Oni mają dość ludzi, nie bardzo im chce się strzelać. Skakać w przód. Jeżeli skoczmy z dwóch stron to większe szanse”. Profesor obejmował dłonią dłoń żony, gładząc ją delikatnie. Gdyby nie tłum który ich ściskał nie miałyby pewnie siły stać. Widział jej głowę przewiazaną chustką. Nie podnosiła oczu. Starał się ruchem palców wyrazić wszystko — swoją miłość i swoją litość, to że jest, jest z nią, że wszystko co się zdarzyło od chwili kiedy otoczyli ich żołnierze rosyjskiej pomocniczej brygady nie miało znaczenia. „Nie — powiedział — mnie jest wszystko jedno. Jestem z żoną”. Mężczyzna odwrócił głowę. Krzyki i przekleństwa rozległy się w ludzkiej masie, rzucanej od ściany do ściany pędem pociągu. Przeciskał się ku platformie. Upłynęło kilka minut. „Więc jednak nie skoczył” — pomyślał profesor i w tej chwili usłyszał wrzaski i trzaskanie strzałów. Pociąg pędził nie zwalniając, głosy ludzkie bulgotały, przenosząc sprzeczne wiadomości, widzieli, żywy, nie, trafili, żywy.

Mężczyzna, spadając, miał świadomość, że wszystko już zależało od przeszłości — od siły z jaką odepchnął się nogami od platformy. „Byle nie w szynę” — i cały pełen błysku szyny nad którą leciał dostał uderzenie ziemi w ręce i w twarz. Jego ciało wiedziało że musi się podnieść, ale przez chwilę leżało bezwładnie w wysiłku i walce. Kiedy podniósł głowę, widział daleko przed sobą znikający tył pociągu. Stoczył się z nasypu. Przetarł twarz; ręce miał pełne krwi. Wycierał je o trawę. Stał na czworakach i wczuł się na ściernisko. Pochylony biegł ku zagonom kartofli. Kiedy dystans od toru zdawał się bezpieczny, zapadł tam w bruzdę.

Macał kolana, poruszał kciukami dłoni; kości były całe. Był wolny. Przewrócił się na wznak starając się oszczędzać bólu, który odzywał się za każdym poruszeniem. Wieczorne niebo zachodziło chmurą i wlokły się po nim dymy od miasta.

Obudził się w środku nocy. Wysoko nad nim huczały motory samolotów. Wsparły na łokciu, nasłuchiwał ich odgłosów. W zabarwionej rudo ciemności, nad Warszawą, sypały się czerwone punkty układając się w długie proste sznury. Krzyżowały się ze sobą, to znów biegły równolegle, dążyły w górę ukośnie, z różnych stron, napędzając przestrzeń niepokojem małych wędrownych gwiazd. Reflektory szukały po niebie. „Jednakże są. Kto?” — pytał siebie leniwie. Wciągał w nozdrza zapach gleby. Próbował sobie wyobrazić kim są ludzie przesuający się, tam, wysoko, w niewidocznych maszynach, które są celem niemieckiej artylerii.

Był sam, jeden człowiek na wielkiej, ciemnej ziemi. Wszystko co się ostatnio zdarzyło wirowało w nim jak milcząca płyta: jeszcze szybkość ale już żadnego dźwięku. Nagle oddzielony od życia tych lat, od miasta, w którym mieszkał od dzieciństwa, oddawał się poczuciu bezpieczeństwa. „A niech się pali” — powiedział do siebie. „Co mnie do tego”. Wyzwolenie z obowiązku: zrobił co do niego należało, teraz już mógł patrzeć i nie brać udziału. To było dobre. Ale zaraz przyszedł wstyd i ze wstydem, nienawiść.

Niech diabli wezmą ich wszystkich. Ich jasno oświetlone kawiarnie, ich auta, toalety ich kobiet — i on i tacy jak on, z dnia na dzień, zarobić, przetrwać, nic więcej. I jak się stało, że dał się wciągnąć potem, od pierwszego roku okupacji? Walka z Niemcami, ojczyzna. Ale w ich słowach było zawsze coś fałszywego, nic nie było wyłożone jasno. Nie będzie już tak jak przed wojną, inny świat, szczęście dla wszystkich — ale nieokreślone, każdy z nich mówił: najpierw pobić Niemców. Nie można się było wycofać, ambicja, i tak szło. I to on robił całą robotę, każdej nocy zakrywał żarówkę papierem, kładł pistolet w zasięgu dłoni, nakładał fartuch i zasiadał nad czcionkami. Ta ulica, tam. Czuł się oszukany i zdania, które składał, codzienne narażanie się. Gestapo, które przyszło po niego wtedy właśnie kiedy wyszedł na chwilę z domu po chleb, zmiana nazwiska, to ginące miasto, łączyły się jakoś w jedno. Skończone i bez sensu. Więcej już nie.

Przypomniawszy Gila. To było co innego. Redaktor nie lubił artykułów Gila, które zresztą zdarzały się rzadko. Nazywał

je pogardliwie „intelektualne eciepecie”. „Wy Martyniak jesteście marzyciel” — mawiał wyciągając zza cholewy rękopisy. „Filozof z rewolwerem”. Ale ten Gil nie łął jak oni. Można się było od niego czegoś nauczyć.

Ziemia. Daleko czekały psy. Myślał teraz tylko, że jest, że nad nim jest niebo, w którym huczą odległe motory. Starał się odróżnić lecące ognie od gwiazd.

VIII

Samoloty zrzucające broń i amunicję nad Warszawą musiały odbywać długą drogę. Startowały w Bari, na dolnym skraju włoskiego półwyspu, przelatywały nad całym południem europejskiego kontynentu i wchodziły nad Polskę od strony pasma gór. Ponieważ Rosjanie odmówili prawa do lądowania na swoich lotniskach, te, którym udało się przedrzeć przez zapory artylerii i wypełnić zadanie, odbywały tę samą drogę z powrotem. Załogi składały się z Polaków albo z obywateli Zjednoczonego Królestwa.

Edmund Lompa, żołnierz dywizji SS. Hermann Goering znalazł na polach pod Warszawą koło szczątków rozbitego samolotu czarny notes. Zachował go sobie na pamiątkę. Widział koniec tego samolotu: trafiony nad miastem szedł nisko, wlokąc za sobą długi ogon ognia. Lompa był Ślązakiem, w domu z rodzicami mówił po polsku. Przymusowo zmobilizowany do SS, był na różnych frontach. Po wojnie nie wiedział co ze sobą robić. Rodzice jego zostali na Śląsku, ale bał się tam wrócić. Zaciągnął się do legionu francuskiego i został wysłany do Indochin. Dopiero w roku 1946 czarny notes dotarł do pastora Nathana Hawkes w Hobart-Town, Tasmania. Ostatnia strona zapisana przez Hawkes'a juniora brzmiała:

Szczegół. W drodze do Julii. Grube mury, siwy cień. Gęste wino, w nim okno. Na stole z wytartego drzewa gliniany dzban, chleb, rodzina przy kolacji. Za nimi otwarte drzwi, stamtąd jaskrawe światło. W półmroku wino w szklankach, od światła rubinowe. Ręce na stole, nagie, dotykalność, okrągłość mocnego ludzkiego ciała. Szyje. „Ma

dziewczyna moja przezroczystą szyję, widać w niej pod światło co je i co pije". Przypomnienie tej piosenki. Za nimi na ścianach rondle. Połysk miedzi.

Nic nie można wyrazić inaczej niż poprzez szczegół. Kiedy jest szczegół, trzeba odkryć szczegół szczegółu. Ta włoska rodzina; ale same szklanki i ręce i każda twarz i miedziane rondle: nieskończoność barwy i kształtu. Jednak szczegół nic nie znaczy, jeżeli jest zmieniony tylko na barwę i kształt, kiedy nie czuć że jest tylko szczegółem. Malarstwo jest złe.

Dziś powiedziałem Julii, że po wojnie zostanę. Biedna Betsy. „An Englishman italignate is a devil incarnate”. Być tam gdzie jest najmniej abstrakcji, najwięcej szczegółu. Życie ludzi rozłożone nierówno. Dla jednych ta sama przestrzeń wypełniona tysiącami szczegółów, odcieni, połysków, inni mówią: morze, ziemia, kolacja i to wszystko. Moja zatoka abstrakcyjna. Nie wiedziałem jak trzeba pa-trzeć. Można nauczyć się tylko jeżeli ludzie mają drobne sprzęty, obyczaje, nagromadzone stulecia, stare mury. Wojna jest dobra. Pomimo wszystko.

Z Julią nad miasteczkiem, między oliwkami, przy starych beczkach od wina. To co w książkach w szkole, jest dla nikogo z uczniów niezrozumiałe. Uważają za symbole, za „tak-wypada-żeby-ładniej”. Ale nic by nie mogło być gdy-by nie to, że można doznać szczęścia.

IX

Podchorąży Foka pochylał głowę z uwagą nad warsztatem. Usta miał przygryzione w wysiłku, mrużył oczy pilując metal pilnikiem. Zatluszczony, kiedyś niebieski, robotniczy kombinezon był nieco za obszerny, nadawał jego długiemu, zgarbionemu ciału wygląd obły i niechlujny. Na ramieniu miał zmiętą przepaskę Armii Krajowej. Foka zawdzięczał swój konspiracyjny pseudonim sennym, kołyszącym się ruchom i temu, że będąc w szkole został raz mistrzem w pływaniu. Cała piwnica pełna była zgrzytu bor-maszyn, pilników i stukania. Naprzeciwko niego, pod światło idące z wejścia, stał chłopak w panterce SS, w hełmie. Za pas miał zatknięty granat.

- Foka podniósł głowę.
- Mówię, że piętnaście. Więcej nie możemy.
- Chłopak zaklął.
- Choć dwadzieścia. Do pistoletów nie mamy już nabo-
i.
- Nie jesteście jedni. Nie możemy podolać. Ale uprze-
dzam. To nie będą takie jak przedtem. Nie ma materiału.
- Więc jakie?
- Tniemy teraz wodociągowe rury. Mielście już takie?
- O — pokazał mu.
- Chłopak przyglądał się z niedowierzaniem.
- Cholera. Czy to będzie działać?
- Będzie. Wypróbowane.
- Piwnica zadygotała. Słysząc było szerokie echa wybu-
chów.
- Jak stoicie poza tym. Załapaliście jakieś zrzuty?
- Tak. Dwa piaty. Ale amunicję mają ci od Roga.
- Targujemy się teraz. Reszta zdobyczne.
- Butelki macie?
- Mamy, ale nie te samowychowowe. Te co dostaliśmy
mają zapalniki z taśmy filmowej. Trzeba zapalać.
- Jak tam u was? Gorąco?
- Dziś było spokojnie. Dwóch rannych. Wczoraj pu-
ścili Goliata. Spaliliśmy czołg i wybiliśmy szkopów. Ale
pięciu chłopców zabitych.
- Co z Goliatem?
- Ekspłodował. Szkoda.
- Szkoda. Tyle dynamitu.
- Więc jutro?
- Jutro.

Foka pracował. To było najlepsze co można było robić.
Było źle, o, źle. Ale czuł, że spokojny gniew zmienia się
w nim w coś innego; nie wiedział co to było. W ciągu
paru tygodni jakie upłynęły od początku zdołał przejść
przez tak różne fazy.

Zaczęło się to tak. Piąta popołudniu, szedł ulicą, żeby
odwiedzić starego socjalistycznego lidera, Artyma. Po-
wstanie oczywiście nie mogło wybuchnąć, wiadomo było,
że jest odwołane. W tej sytuacji byłoby nonsensem. Chciał
porozmawiać z Artymem o tym co dalej, co robić, teraz,
kiedy kraj miał dwa konkurencyjne rządy. Nagle spostrzegł,
że przechodnie zaczynają biec. Oglądnął się i zobaczył.

że chodnikiem za nim postępuje zbита gromada chłopców i coraz to nowi dołączają się do niej z bram domów. Na czele szedł gruby blondyn, uroczyście dźwigając automat. Krzyczał: „Naprzód!” „Naprzód!” odpowiadała niepewnie reszta — i zdołał złowić spojrzeniem ich trwożliwe ruchy z jakimi zbijali się w stadko za dowódcą, ocenił lufy broni jaką nieśli: dubeltówki. Tłum przechodniów, który biegł, zwinął się, zawirował w miejscu, zaczął znikać w bramach. Od rogu ulicy, od bunkrów przy niemieckich budynkach wznosił się terkot karabinów maszynowych. Gromada chłopców rozproszyła się, razem z nimi dopadł klatki schodowej i zatrzymał się tam, dysząc. Przy nim stał szczupły uczeń. Mógł mieć siedemnaście lat. Ciemne włosy spadały mu na czoło, grzebał nerwowo w kieszeniach. Wyjmował z nich kolejno: mały granat, skrawki zmiętego papieru, kawałek sznurka i brudny grzebień z połamanymi zębami. Nie miał prócz tego granatu innej broni. „Przez podwórza! Wychodzić! Za mną!” krzyczał gruby blondyn-dowódca. Chłopiec zawahał się. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Foka widział, że drży. Zęby mu dygotały, przesuwał po spieczonych wargach językiem. Nagle pochylił się i pobiegł za innymi.

X

Nerwowo chłopiec się boi. W jego świadomości jest jeszcze zadanie algebry, sen erotyczny, marzenie o rzekach, nieznanych miastach, podróżach. W cieple jego ciała, o świcie, zwinięte jak mała sprężyna wszystko czym może się stać. Każde odbicie się stopą od ziemi niesie w powietrzu: olbrzymi lot nad światem, wolność, przestrzeń. Są w nim setki, tysiące przodków, nieobjęte wieki dziedzictwa. Ci, którzy polowali na potwory i rysowali ich kształty na ścianach jaskiń; ci, którzy uprawiali zboże i przychylali do ust gliniany dzban w skwarze żniw. Ci, którzy rylcem pisali na woskowych tabliczkach. I pokolenia po nim, nieznani ludzie, w których mógłby zachować się ślad jego uśmiechu, przechylenie głowy, jego indywidualne pragnienie i los. Teraz jest pusta, szeroka ulica, pod ogniem

karabinów maszynowych, i jego towarzysze. Nie może być od nich gorszy. Chciałby z płaczem przytulić się do matki. Jest słaby w tej bezlitosnej chwili, w której trzeba iść naprzód i wiedzieć, że to on, który nosił marynarskie ubranko i puszczał łódki na stawie, jest celem pocisków. Ale wie, że inaczej być nie może, że powinien.

Foka patrzący na niego. Czuje niejasny wstyd. Wie, że oddział atakujący od frontu niemieckie bunkry nie ma żadnych szans („Skąd oni wywlekli dubeltówki” myśli z wściekłością). Ale w istocie ocena przegranej jest tylko zamaskowaniem jego braku gotowości, braku akceptacji. Mała, jasna kobieta o różowej twarzy dziecka wypełnia go całego, jakby był tylko płaszczem okrywającym jej ciało. Nie może zrozumieć, nie, to niemożliwe, być rozdzielonym z Katarzyną nagle, w środku rozmowy, którą przerwał trzasknięciem drzwiami. Pierwsza sprzeczka od czasu ich małżeństwa, miesiąc temu. Dlaczego ją skrzywdził. Biec do niej, wytłumaczyć, całować jej nogi, prosić o przebaczenie. Upłynie wiele dni, z których każdy jest jak rok, nim rozluźni się w nim napięcie woli przedostania się do Śródmieścia, gdzie została Katarzyna. Musi, musi ją zobaczyć, choćby na najkrótszą chwilę, choćby miał zginąć: ale zginąć nie przed tym. Zdumiony koniecznością, która stanie w poprzek jego woli, nie potrafi uznać przegranej. Aż wreszcie, któregoś ranka, pojmie, że jego szaleństwo było bezużyteczne, że nie dojdzie dalej niż Stare Miasto i że trzeba godzić się tak jak inni, jakby tamto jego życie nigdy nie istniało.

Na placach zamienionych w czasie wojny w ogródki działkowe. Jest zmierzch, biegnie, każdy krok zbliża go do Katarzyny. Trzaskanie ekrazytowych kul. Leży w kartoflach, pociski świetlne idą ku niemu. Przywiera do ziemi, terror świetlnych kul, widzi się ich szybkość, czuje się je jakby suche pęknięcie powietrza. Dawny sen: śniło mu się wtedy, że ściga go światło które spala wszystko co żywe na ziemi. Uciekał, dosięgało go, umierał, obudził się. Przed nim niski mur przegradzający pole. W chwili kiedy będzie przełaził, dostaną mnie. Na drugim końcu pola, tam gdzie nie ma muru, zrywają się dwie postacie. Chłopak w wysokich butach, w bryczesach i w długiej modnej marynarce

noszonej przez złotą młodzież. Skacze nieco teatralnie, wysuwając naprzód rękę, w której trzyma rewolwer. Za nim dziewczyna, loki ufryzowanych włosów, żakiet, torba na ramieniu. Przebiegli. „Muszę. Czekam mnie” — nakazuje sobie i krzyczy sam na siebie. „Naprzód!”, wskakuje na mur, czuje plecy wystawione na ogniste śmiertelne klaskanie świetlnych biczów. Stacza się na drugą stronę. „Więc jednak sny nie zupełnie się sprawdzają” — pierwsza myśl.

Siedzi za okrągłym stołem, pani domu nalewa kawę. Nowoczesne obrazy, tkaniny, ceramika, filiżanki ze złotym brzegiem dygocące od kanonady. Kobieta pali papierosa w długim munsztuku. Jej mąż, adwokat, odłożył książkę Huxley'a. „Nie, tamtędy pan nie przejdzie. Tam są niemieckie pozycje. Ale to skończy się lada chwila. Paryż zdobyty. Rosjanie przeprawiają się przez rzekę. O — ten niski ton, to ich armaty”. Krzyki pod oknami, serie dział czołgu. Drzwi otwarte na oścież, w nich tłoczący się młodzi chłopcy w niebieskich kombinezonach i beretach. W rękach butelki i granaty. Kobieta zagradza im drogę. „Panowie, tylko nic nie róbcie! Panowie, bo spalą dom!” Nie widzą jej, biegną do okna, rzucają, wybuchy, szkło sypie się na tkaniny, filiżanki zlatują ze stołu na Fokę, kobietę i adwokata, którzy leżą na dywanie.

Podważa kilofem płyty chodników i z rozpaczą myśli o tym, że każda godzina tutaj oddala go od Katarzyny, że może zdołałby przejść, że powinien spróbować z innej strony, przez inne ulice. Budują barykadę. Później nie ma siły, żeby myśleć. Leży na trawniku, granatowa, sierpniowa noc, w podwórku cicho, słysząc tylko trzaskanie płomieni palącego się niedaleko domu, czerwone światło miga na murze. Nagle w ciemnościach niski basowy głos, jakby chrząknięcie. Dziwi go intonacja tego dźwięku. Znów. Wstaje i podkłada się pod okno, z którego głos zdawał się pochodzić. Widzi w odbłasku pożaru stół, na stole dużą litrową butelkę. Ciężka, poryta bruzdami twarz grubego mężczyzny (kupca? lekarza?) i druga chuda (starego majstra murarskiego? tramwajarza?) z wąsami. Podnoszą ku sobie ręce. „Dzyń” dzwonią kieliszki. „Cykl” mówią obaj, i wychylają z bulgotem. Nieruchomi, milczący, trwają w mroku. Śmieje się cicho. Ale uświadamia sobie nagle,

że w tym ponurym, pijackim rytuale, w twarzach zamkniętych, jak wykutych z kamienia, jest wiedza i beznadziejność.

XI

Pułkownik zgarniał dłonią z mapy warstwę drobnego gruzu. Pył, który zakrył wszystko kiedy bomba rozbiła oficynę domu, opadał. Jego oczy w czerwonych obwódkach mrugały, starając się pozbyć białej mąki pokrywającej mu twarz. Długi nos z fioletowymi, sklerotycznymi żyłkami wysuwał się z tej mąki jak u cyrkowego kłowna. Dowódca ugrupowania, krępy, barczysty, trzymał na kolanach swój niemiecki hełm. Palcem narysował automatycznie linię na jego zapylonej powierzchni. Przyzwoitość nakazywała nie wkładać tutaj hełmu w czasie nalotu. Patrzył na pułkownika nieżyczliwie. Nie lubił tych wszystkich oficerów kawalerii.

— Sytuacja była już jasna w dniu, w którym Niemcom udało się przebić do rzeki. Wtedy był jeszcze wybór. Teraz mają do zlikwidowania cztery izolowane dzielnice.

— Z wyjątkiem południa. Według tego co wiemy, tam nasi trzymają brzeg.

— Dziś już to nie jest pewne.

— Musimy wytrwać. Taki jest rozkaz. Przecie nasz rząd...

Dowódca ugrupowania wysunął dolną wargę.

— Rosjanie nie ruszą się.

— Żadne inne rozwiązania nie są już możliwe.

— Byłem za tym, żeby przebić się do Kampinosu. Ocalilibyśmy ludzi. Nie mogę patrzeć na śmierć tych dzieci.

— Teraz nie przebijemy się. Za późno. Zresztą nie mogliśmy uciekać. Niemcy wymordowaliby cywilną ludność.

— Wypełniłem rozkazy. Straciłem już połowę mego stanu. Ludność cywilna i tak ginie. Te stare domy spią się jak próchno.

— Jak morale?

— Moi będą bić się do końca.

Pułkownik ocierał chustką twarz i sięgając do karku

próbował wydobyć odrobiny gruzu zza kołnierza koszuli. Zapytał:

— Co ci z Armii Ludowej? Nie rozumiem. Co oni myślą? Gdzież ich sojusznik?

— Stracili prawie całe dowództwo. Teraz nie wiem, zdaje się, że są tam tendencje do przejścia kanałami na Żoliborz.

— Włazy do kanałów są przez nas dobrze strzeżone.

Dowódca ugrupowania patrzył na ścianę, na której miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazy znaczyły się ciemniejszymi plamami.

— Stare Miasto jest najgorszą dzielnicą do obrony. Stara architektura. Nic już prawie z niej nie zostało. Brak wody. To kwestia dni.

— Więc?

— Należy spróbować przebić się do Śródmieścia.

Pułkownik rozważał kiwając powoli głową.

— Należy to zbadać. Pozycje niemieckie od strony Ogrodu są mocne. To ostateczność.

— Jeżeli może udać się, to tylko przez zaskoczenie. Ludność cywilna nie powinna nic wiedzieć bo zacznie się popłoch.

— Trzeba przedstawić ten plan naczelnemu dowództwu.

Pułkownik czuł chęć, żeby zapytać co człowiek siedzący naprzeciwko sądzi o możliwościach obrony Śródmieścia i czy naprawdę jest przekonany, że nie przyjdzie żadna pomoc. Powiedział tylko:

— Nasz czyn jest manifestacją wobec świata. Świat nie będzie patrzeć na to obojętnie. Warszawa zapisuje kartę wiekopomnej chwały.

Dowódca ugrupowania spuścił oczy.

— Trzeba szukać za wszelką cenę sposobu, żeby ocalić choć część naszych ludzi — powiedział.

XII

Nigdy nie zobaczę Katarzyny. Rysy jej twarzy zacierają się, nie umiem już sobie przedstawić jej uśmiechu. Czym jest przywiązanie jakie ma się do drugiego czło-

wieka, jeżeli niszczy je czas. I czas tak nierówny, nie sam jego bieg, ale natężenie, gęstość. Mam już nie dwadzieścia cztery lata a trzydzieści pięć chyba. Czy była Katarzyna? Czy dziś jestem inny niż byłem wtedy kiedy ją poznałem, czy może nie liczy się to, jak nie liczy się do dystansu, który przebiega pociąg, boczny tor, na którym przez chwilę manewrowała lokomotywa? Tutaj, na tym skrawku ziemi zostanie dla mnie wszystko zakończone. Ze wszystkich miejsc, miast, kontynentów, krajów ten właśnie skrawek. Kamienice z szesnastego wieku, z których frontów wybuchające żelazo zdarło rzeźby i złocenia. Winiarnie w podziemiach, drukarnie z których okien usypiska gruzów wylewają się nieruchome jak piargi w górach, zmieszane ze stronicami książek z welinu. Piwnice klasztorów i kościołów, w których kobiety i mężczyźni chórem śpiewają błagalne religijne pieśni i równocześnie odpychają słabszych w głąb, dalej od wejścia: pomoc Bogu, nie zostać zasypanym żywcem, wydobyć się z rumowisk na czworakach, jak ta kobieta, niosąca martwe zakrwawione dziecko, rycząca żeby ratowali, żeby odkopali to które zostało, nie rozumiejąca, że dziecko które trzyma już nie żyje. Oslupienie tych co przeżywają: modlili się, wierzyli, ksiądz w piwnicy celebrował mszę i mówił, że ich sprawa jest sprawą Boga, że Bóg ich nie opuści. Mieli wtedy poczucie bezpieczeństwa, magia słów starej pieśni łączyła się w jedno z instynktem ukrytym w głębi ich ciała, który powiedział: niemożliwe żeby to czym jestem zmieniło się w nic. Ci z którymi przed sekundą trzymali się za ręce, teraz drgający w agonii; strzęp metalu i tamte dnie, noce, godziny, Janek siedź prosto, Janek nie garb się, ile jest sześć razy siedem, kupię ci szczyryk jak będziesz grzeczny, mój Janek jest pierwszym uczniem. Ropiące się kikuty, wielkie muchy brzęczące w podziemiach zmienionych w szpitale, smród, zwierzęce wycia operowanych bez narkozy. I ciągle w oczach, jak stały rytm, rytm świata, wielkie wytryski pyłu, ziemi i cegły. Świat jest wytryskiem, tak poczęły się planety, w międzyplanetarnej przestrzeni wszystko wybuchła, tryska przez miliony milionów lat, to co było na ziemi nie trwało dłużej niż lot ćmy między ogniem i ogniem, teraz powraca stan trwały, wiecznego wrzenia materii.

Stare Miasto jest otoczone. Nieprzyjaciół atakuje od

południa, równocześnie atakując Śródmieście od północy, tak aby nie pozwolić na połączenie się powstańców z tych dwóch dzielnic. Pcha swoje czołgi, goliaty i piechotę na pozycje obrońców od zachodu. W wąskich uliczkach koło katedry Świętego Jana w którą biją pociski dział toczy się bitwa o każdy załom muru, hełmy piechoty niemieckiej i hełmy powstańców pojawiają się w białych kłębach wzlatującego tynku, nagłe zdumienie, przerażenie spotkania, rzuty granatów, serie z automatycznych pistoletów, pióropusze miotaczy ognia, od którego człowiek spala się żywcem, wijąc się, opuszczony przez swoich towarzyszy, którzy patrzą na to z daleka myśląc o tym ile jeszcze mają naboí. W chwilach ciszy słyszą siebie nawzajem: z tamtej, niemieckiej strony harmonia i pieśni poczęte w winnicach nad Renem, z powstańczej strony fortepian, na którym gra Chopina chudy uczeń konserwatorium, położywszy swój pistolet pod krzesłem na podłodze. Na północ od starego miasta przestrzeń ghetta zburzonego w 1943 roku; tamtędy jeszcze dwa tygodnie, jeszcze dziesięć dni temu można się było przebić na Żoliborz, który jest w rękach powstańców i stamtąd do lasów. Teraz Niemcy podciągnęli tam swój pociąg pancerny i ze stanowisk w ruinach nacierają na domy broniące wejścia w głąb dzielnicy. Samoloty Stukas lecą nisko, tuż nad szczytami dachów. Chwila oderwania się bomb od kadłubów, twarze pilotów są widoczne dla tych, którzy przywierając do ziemi, podnoszą oczy aby widzieć jak dokonuje się zagłada. Stukasy nie muszą przylatywać z daleka. Startują z lotniska po drugiej stronie miasta. Zrzucają ładunek, zawracają natychmiast, aby nie wejść za linię Wisły. Z okien kamienic na szkarpie widać pozycje niemieckich dział, za nimi rzekę i tamten brzeg, na którym, nie wiadomo dokładnie gdzie, są Rosjanie.

Foka poprosił aby go przeniesiono na linię. Kiedy skakał z innymi, zapadając w leje od bomb, czołgając się, miał poczucie zakończenia, wszystko co było ukazywało się z jasnością; czy tak widzi człowiek, który tonie? Znów teraz mógł na chwilę dotknąć niemal twarzy Katarzyny, jej jasne rzęsy były opuszczone, spokój, uśmiech, jak wtedy kiedy zasypiała. Teraz trzeba wykonać dobrze, to było ważne, wyobraźmy sobie, że jestem stary, że przeżyłem co mia-

łem do przeżycia. Był dobrze uzbrojony, rusznikarz zawsze ma stosunki, niósł Stena.

Ale nigdy nie ma definitywnego zakończenia, nigdy nie zamyka się życia, to co miało być post scriptum rozrasta się, dalej sprawy, ludzie i zmieniający czas. Był to wysoki budynek na granicy zburzonego ghetta. Z jego okien widać było szaro-różową przestrzeń gruzów, które zdążyły już porosnąć chwastami. Jeszcze półtora roku temu stały tu domy, z ich okien strzelali z rewolwerów powstańcy żydowscy do Niemców. Pamiętał tygodnie tamtej wiosny. Broń którą naprawiał wtedy z rozkazu swojej socjalistycznej grupy szła do ghetta. Ale poza tym był tylko widzem. Stał w tłumie na placu Krasieńskich, dzieci podbiegały przyglądając się niemieckim armatom. Widział chodzenie łuf w czasie strzału, okna, z których wychylała się ręka, rwanie się odłamków muru. „O, o, trafili!” — krzyczał tłum — „tam, o, o, wisi z okna!” Wiatr niósł dymy z płonącego ghetta ku kościołom, z których niedzielnie ubrani ludzie wychodzili gwarząc, nad karuzele, na których łopotały suknie dziewczyn. Stare kobiety mówiły z troską: „Pałac Żydów, teraz na nas przyjdzie kolej”. Tu, na tej przestrzeni, pamięć stu tysięcy śmierci i dwustu tysięcy śmierci i pięćset tysięcy śmierci — każda inna, indywidualna, przerywająca inną miłość, inną wolę, inną nadzieję. Teraz w jesiennym słońcu chwiały się zielska wczepione korzeniami w tłusty popiół, w grudki użyźnione przez krew. Przymykali się wśród nich niemieccy żołnierze przetaczający działka. Daleko za tym monotonnym obszarem widać było białą linię północnych dzielnic.

Dom był mocny. Artyleryjskie pociski wygryzały jego ściany ale dotychczas nie zrobiły mu większej szkody. Z okien mieli obrońcy dobry obstrzał i nie podpuszczali Niemców blisko. Sąsiedni dom, o kilkaset metrów, był już w rękach nieprzyjaciela, który urządził tam swoje gniazda karabinów maszynowych.

W piwnicach dziewczęta gotowały im zupę (jedyna żywność: worki fasoli). Tam też ci, którzy zostali zluzowani, sypiali na posadzce. Większość załogi stanowili siedemnastoletni i osiemnastoletni uczniowie: skauting śmiertelny, ruchy starych żołnierzy, hełmy olbrzymie przy cienkości szyi. Byli również i starsi. Stopniowo Foce zaczęły się ukazywać konflikty i starcia, prywatne dzieje i upodo-

bania zebranych tu ludzi. Jak w łodzi podwodnej w czasie akcji nic nie zacierano się, jeżeli tak, to tylko na chwilę szczególnie intensywnego boju. Każdy przynosił tutaj całe swoje przeszłe życie.

XIII

Danek, dowódca. Przed wojną zawodowy oficer, podporucznik artylerii. Głowa owinięta bandażem. Kąty ust ściągnięte ku dołowi jakby skóra twarzy była za ciasna. Miał zapas wódki, pił rozważnie, utrzymywał się w stanie alkoholowego podniecenia, ale nigdy nie był pijany.

Michał. Znany już przed wojną jako teoretyk narodowej rewolucji, za okupacji wydawca i redaktor podziemnego pisma, w którym zalecał krajowi ustrój oparty na katolicyzmie i dyktaturze, jak w Portugalii Salazara. Miał krótki, prosty nos, jasne, rudawe włosy, które zaczynały łysieć od czoła. Jego głowa wydawała się mała przy kwadratowych ramionach. Wysoki, długie ręce z łopaciastymi dłońmi. Przyszedł tutaj po tym jak bomba rozbiła drukarnię, w której przez pierwsze tygodnie powstania wydawał swoje biuletyny rozdawane ludności i żołnierzom. Jego żona, sanitariuszka, była na Starym Mieście ze swoim szpitalem. Danek odnosił się do niego z szacunkiem i udzielał mu swego poparcia przeciwko Bertrandowi.

Bertrand: trudno do niego było się przyczepić, bo był szczególnie dobrym strzelcem. Jednakże w oczach Danki miał liczne winy na sumieniu. Dwudziestodwuletni student Politechniki, blada, okrągła, spokojna twarz, ciemne oczy. Proklamował swój wstręt do wojska i do wojny. Koledzy z batalionu nazywali go nieco pogardliwie pacyfistą. Kilka dni temu wyniósł spod ognia z narażeniem życia rannego Niemca. Było w nim coś co nakazywało mieć się na baczności. Nie był całkowicie „swój chłop” myślał dziwnie, zresztą zaznaczał dystans nagłym milknięciem w połowie zdania i pobłażliwym uśmiechem. Foka wiedział, że Bertrand przybrał pseudonim na cześć swego ulubionego autora, Bertranda Russella. Po wojnie chciał zająć się wyłącznie logiką matematyczną. Dla Bertranda tra-

gedią była obecność Michała. Zmuszał się do przyjaźni, ale kilka wymienionych słów wystarczało, żeby odchodził ponury. Cierpiał, bo ta obecność podważała sens jego decyzji, odbierała czystość jego ofierze. „To jest faszysta — powiedział raz do Foki — i ja jestem z takimi jak on”. Michał był zaczepny i złośliwie odzywał się o racjonalistach i liberałach. Danek z zadowoleniem przyjmował te drwiny. Bertrandowi nie mógł wybaczyć zamiłowania do niezrozumiałych teorii i książek.

Sanitariuszka Wila: gruba, niska, osiemnastoletnia dziewczyna, o białej skórze i rudawych włosach. Hałaśliwa, władcza, narzucająca chłopcom posłuch samą siłą swojej wybuchowości. Przeplatała głośnie modlitwy seriami przekleństw zbudowanych dokoła słów dupa i gówno. Cała na zewnątrz, nie ukrywała swego strachu, mówiła: „O Matko Boska jak ja się boję” i równocześnie nie cofała się nigdy, było to jakby spostrzeżenie nie mające związku z jej osobą, dotyczące kogoś innego.

Sanitariuszka Magda: lekko zadarty nos, niebieskie oczy, szczupła, nieco bezbarwna. Mało ją było słyhać. Foka zauważył ją kiedy raz Bertrand, któremu nalewała zupełnie jedną ze swoich sentencji. Odrzuciła mu inną sentencją jak piłką, było to zabawne, Bertrand patrzył na nią ze zdumieniem, ona była już daleko, ta sama co poprzednio, automatyczna. W istocie jednak Magda stała się postacią od historii z kapitanem Osmanem.

Kapitan Osman: nikt nie wiedział nic o jego przeszłości. Ubrany był w ciemny mundur, jakby mundur oficera lotnictwa przefarbowany na czarno. Twarz miał żółtą, zmiętą, długie fałdy koło grymaśnych, ruchliwych, szerokich ust, spojrzenie ironiczne. Na lewym oku nosił czarną przepaskę, na głowie czarny beret. Znikał nieraz na dwanaście godzin, kiedy już sądzono, że zginął, zjawiał się i zdawał krótką relację. Zajmował się polowaniem na Niemców czy — jak mówili chłopcy — na własną śmierć. Wypelzał w ruiny ghetta i samądy wybijał nieprzyjacielskie obsady. Przesiadывał z karabinem na schodkach wieżyczki na szczycie ich domu czekając na jakiś ruch w oknach domu zajętego przez Niemców. Nieraz kiedy do niego strzelali odstawiał się i wygrażał im pięścią. Historia z Magdą tak się odbyła. Magda poprosiła go, aby wziął ją ze sobą na górę. Zapytał ją czy nie będzie się bała. Nie. Na pewno? Na pewno.

Kiedy weszli na najwyższe piętro, Osman pokazał Magdzie wielką dziurę sięgającą od sufitu do podłogi, wybitą przez artyleryjski pocisk. „Stań tam i pokaż się Niemcom” — rozkazał. Patrzyła na niego nie rozumiejąc. „Mówiłaś, że nie będziesz się bać”. „Ależ będą strzelali do mnie”. „Właśnie o to chodzi. Jak będą strzelali zobaczę ich i ich sprzątnę”. Magda oczywiście — bała się, ale było jej wstyd. „Wysunęłam tylko głowę — opowiadała później — i zaraz cofnęłam, ale Niemcy zaczęli strzelać jak szaleni”. Osman wezwał Magdę do swego okna i biorąc za rękę poprowadził jej palec: na tle szarych koców którymi założone było okno w nieprzyjacielskim domu, zwisały ręce i głowa o jasnych włosach. Ręce chwiała się, wciągali go z tyłu za nogi. W ten sposób linia życia Magdy przecięła się z linią życia nieznanego jej człowieka — zegarmistrza z Heidelbergu, robotnika z Berlina czy rolnika z Schwarzwald, jakkolwiek kim był, nie będzie nigdy wiadomo.

XIV

Konflikt pomiędzy Dankiem, Michałem i Bertrande osiągnął największe napięcie w dniu, w którym zjawił się ojciec Ignacy. Siedział w dawnej pralni na ławie, pił wodę z butelki, jabłko Adama poruszało się miarowo w jego przegiętej szyi. Spod panterki zwisała sutanna w strzępach, jak brudna zszargana spódnica. Na piersi miał przywiązaną puszkę, w niej nosił komunikanty. Po całym domu rozszła się zaraz wiadomość. Każdemu znany był ten heroiczny Jezuita. To że przyszedł do nich zmieniało wszystko: zginęło napięcie samotnej łodzi podwodnej, na chwilę świat odzyskiwał swój ład, była to po prostu wojna, linia frontu, nie zapomniano o nich, mieli wizytę kapelana. Foka poznał ojca Ignacego; wiadome mu było jego prawdziwe imię i nazwisko. Pamiętał tę chudą, ciemną twarz z czarnymi oczami i te wąskie usta — co prawda pamiętał je układające się w wyraz triumfu, najwyższego zadowolenia z matematycznej doskonałości, kiedy ojciec Ignacy odwracał się od tablicy, na której wyprowadził swoje wzory i ogar-

niał salę spojrzeniem. Teraz usta ojca Ignacego były sine, twarz pełna znużenia, szara, pełna sadzy i tynku na nosie i policzkach. Chłopcy podchodzili do niego, zdejmowali hełmy, klękali, czekając na chwilę kiedy zacznie spowiadać. Bertrand stał z boku, przyglądał mu się z przechyłoną głową, oczy miał nieruchome, chciwe, jakby chciał na zawsze utrwalić jego obraz w pamięci. Potem nagle zafiarował się, że pójdzie zluzować tych na górze, żeby mogli przystąpić do spowiedzi. Foka widział jak odchodził, śpiesząc się, na schody, niosąc swój karabin w opuszczonej bezwładnie ręce. Przechylenie głowy. Zrobiło mu się żal. Nie zastanawiał się nad tym co robi. Zachowywać się tutaj inaczej niż wszyscy wydawało się niemożliwe, pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia. Ojciec Ignacy wyjmował z kieszeni zgniecioną fioletową stułę. W samotnym odejściu Bertranda było bolesne wyzwanie. Nie. Nie mógł go zostawić samego.

Dopędził go na schodach górnych pięter. Gruz zgrzytał pod jego butami. Bertrand obejrzał się. Wyraz zacięcia ustąpił nagle z jego twarzy, niedowierzanie, zdziwienie, zatrzymał się. Uśmiechał się miękko, łagodnie i usta mu drżały jakby po płaczu.

Leżeli obok siebie na podłodze, obserwując przez dziurę w murze pozycje w ruinach ghetta. Nierówne fale zgiełku bitwy wibrowały w murach domu, wzmagaly się, słabły. Bertrand pochylił ku niemu głowę opierając ją na dłoni zaciśniętej na zamku karabinu.

— Czy wiesz kto to jest?

— Wiem. Spotykałem go za okupacji.

— Czy wiesz do czego używa matematycznej logiki?

— Wiem.

Ojciec Ignacy był autorem traktatu, w którym przy pomocy logiki matematycznej dowodził istnienia Boga. W czasie okupacji zapraszał wielu z młodzieży na swoje tajne wykłady, które miewał w jezuickim klasztorze. Foka był na trzech takich wykładach. Dwa pierwsze były interesujące, choć Foka, słuchając wykładów popieranych wzorami, miał poczucie wewnętrznego protestu, jakie powstaje kiedy ktoś jest zmuszony iść za cudzym rozumowaniem, nie mogąc wyłowić błędów, ale wiedząc, że nie wszystko jest tam w porządku. Trzeci wykład jednak był niemiłym wspomnieniem. Ojciec Ignacy przystąpił w nim do wyło-

żenia swoich koncepcji politycznych, które rzekomo wynikały z jego metafizyki.

— Foka, czy ty może czytałeś „Czarodziejską górę” Tomasza Manna?

— Czytałem.

— To pamiętasz spory Jezuitę Naphty z Settembrinim. Ja zostanę do końca z Settembrinim.

Tak, Bertrand miał słuszną. Ojciec Ignacy był Naphtą. Ciekawe, że nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy w czasie trzeciego wykładu. Dlaczego? Foka pamiętał tylko wyzwicka jakie ojciec Ignacy rzucał na kapitalistów, socjalistów, masonów, komunistów, demokratów — i własną przykrość, wstyd, że tamten się poniża; w istocie do kolekcji brakowało tylko Żydów, którzy, o dwa kilometry od miejsca gdzie odbywał się wykład, byli ładowani w wagony wiozące ich do komór gazowych. Ojciec Ignacy roztoczywszy wizję, uporządkowanego, czystego, idealnego społeczeństwa, nawoływał do krucjaty w jego imieniu: „nie cofać się przed radykalnymi środkami! nie oszczędzać krwi!” Od tego wykładu Foka stracił odżywające w nim sympatie do katolicyzmu i za to, że nie miał już chęci czytać św. Augustyna, czynił odpowiedzialnym ojca Ignacego. Ale dlaczegoż by nie miał przystąpić do spowiedzi? Cóż tu miał do czynienia ojciec Ignacy czy to nie to samo co mówić swoje winy wobec gór, czy nieba, czy morza? A dlaczegoż by miał koniecznie to robić? Czy tak czy nie, nie miało to znaczenia, wszystko czym był i czym był świat zawierało się skrócone, równoczesne, w słowie „być” i w słowie „nie być”, miał chwilę oderwania się od siebie — widział wtedy, jakby na dnie wielkiej przepaści, siebie samego leżącego z bronią, bitwę, miasto, Katarzynę (co robi teraz Katarzyna?), ziemię. Tak, stało się lepiej, że był tu z Bertrandem. Bertrand istniał obok, konkretny, żywy, potrzebujący pomocy i Foka wiedział, że ta chwila była ważna, że to był początek przyjaźni. Zazdrościł Bertrandowi koncentracji, uporu decyzji. Ten, tak jak golił się starannie i w tym skazanym domu utrzymywał wygląd schludny i normalny, tak samo ani na chwilę nie wyrzekał się swoich intelektualnych przywiązań, matematyczne wzory i strzelanie były dla niego na jednym poziomie, każda z dziedzin dobrze dostosowana do okoliczności. Kiedy rozmyślał

nad tym, Bertrand powiedział, śledząc uważnie (zbyt uważnie), pole przed nimi:

— To co jest w literaturze czasem się spełnia. Dziś jest już tylko Jezuita Naphta. Albo czarny albo czerwony. Dlatego ja powinienem zginąć.

Ojciec Ignacy siedział w podwórzu na schodkach prowadzących do piwnicy. Po wysłuchaniu spowiedzi czuł galopujący w nim rytm cudzych żywotów, spraw, poświęceń. Te dzieci. Był winien, był odpowiedzialny za ich śmierć. Przez całą okupację zachęcał ich do tej ofiary. Po ludzku odpowiedzialny, na pewno. Ale czy to jest wystarczająca miara? A równocześnie strach ubezwładniał mu nogi. Wstać i znów biec w to piekło, między wybuchami pocisków, wydawało mu się czymś nieprawdopodobnym. Wyjął brudną chustkę i ocierał z czoła pot przerażenia. Szczupły, drobny, czarny przy wielkim Michale, który czochrał się ramionami o schodki, pochylony w tył na łokciach, trwał w wewnętrznej walce, przysmykając oczy aby tamten nie odgadł co się w nim dzieje. Słuchał odgłosów kanonady, w absurdalnej nadziei, że nagle ucichnie, że wszystko się skończy zanim będzie musiał wstać. Zapytał Michała:

— Czy wszyscy przystąpili do spowiedzi?

— Wszyscy, z wyjątkiem dwóch. Są na górze. Nie chcą.

— Komuniści?

— Nie, ale z tej samej bandy. Studenci. Jeden racjonalista, nabił sobie głowę różnymi sofizmatami neo-pozytywizmu. Drugiego widywałem w tych latach. Zdaje się, że z socjalistycznej rodziny. Domowe tradycje.

Ksiądz zmagał się ze swoim strachem, który czuł w swoim ciele, jak obrzydliwą chorobę a równocześnie jak chorobę najściślej indywidualną, jego tylko własną, nie mogącą się zdarzyć nikomu innemu.

— Michał, z czego człowiek może czerpać siłę, jeżeli odrzuca jedyne źródło siły? Ci młodzi, których spowiadałem. Jakież tam grzechy. Jeden pytał czy grzech że strzelał choć widział że Niemiec ranny. Ci mają siłę. Ich własnej czystości.

Michał pogładził zarośnięty szczecina podbródek.

— Dla wielu, jak dla tych chłopców bić się jest tylko

obowiązkiem. Wobec Boga i ojczyzny. Ale dla niektórych jest formą samobójstwa.

Ksiądz wystawił twarz na słońce, spokojne słońce kłęski, toczące swoją rozżarzoną kulę za dymami.

— Tyle śmierci. Wszystkie nasze nadzieje, kwiat tego narodu. Kim trzeba być, żeby nie widzieć z czego to wszystko. Ich cywilizacja! Renesans, oświecenie, racjonalizm, demokratyczne hasła. I sojusz amerykańskich plutokratów z bolszewikami. Zachód, Zachód. Ten Zachód będzie musiał zrozumieć, ale poniewczasie, to co się tu odbywa.

Michał prychnął pogardliwie.

— Tak dla nich wygodniej. Oszczędzili życie swoich żołnierzy. Życie, ponad wszystko. Jakość życia nie wchodzi w rachubę.

— Kościół miał rację kiedy walczył z lichwą. Ich racjonalisci, ich opętani reformatorzy. Po to tylko, żeby znaleźć argumenty do napychania kieszeni. Kiedy napchali kieszenie, nie chcą ginąć.

Ojciec Ignacy wstał nagle. Górując nad Michałem, wyrzucił gwałtownie swój podbródek warszawskiego Savonaroli. Dokończył:

— Nie, kurczowo będą trzymać się życia. Wezwą do pomocy barbarzyńców ze stepów. Barbarzyńcy znają cenę swojej krwi. Płacić im trzeba miastami, krajami, zagładą niewinnych. Ale upadnie rzymskie imperium tchórzów.

Po odejściu ojca Ignacego Michał zaprzestał prób dyskusji z Bertrandem. Wobec niego i Foki zaczął być milcząco uprzejmy. Danek patrzył na nich spode łba. W zachowaniu się ich obu była dezaprobata. Złamana została wspólnota duchowa, która powinna była łączyć załogę okrętu żeglującego po morzach zniszczenia.

XV

Nikt nie był świadkiem śmierci kapitana Osmana. W czasie wizyty ojca Ignacego był na jednej ze swoich wypraw. Wróciwszy, przesiadywał jak zwykle na swojej wieżyczce. Podwórzem przechodził właśnie oddział idący

na zmianę, kiedy czarny beret kapitana Osmana spadł im pod nogi. Rzucili się na górę. Leżał na wznak, twarz miał porysowaną pasmami krwi, jak tatuażem, rozrzucone szeroko ręce. Stali nad nim, niektórzy pociągali nosami, hamując płacz. Był przedmiotem cichego uwielbienia tych chłopców, których wyobraźnię podniecały nieznane motywy jego zachowania. Danek pochylił się i przeszukał kieszenie jego czarnego frencza. Z portfelu wydobyl dokumenty. Odczytał głośno prawdziwe imię i nazwisko. Wypadły fotografie. Młoda kobieta, gładko zaczesane włosy, głowa schylona ku małej dziewczynce, którą trzyma na ręku. Danek zamknął portfel i schował go do kieszeni swojej kurtki, zaplął. „Więc miał rodzinę. Trzeba będzie odnaleźć i przekazać co po nim zostało”. Znieśli go ostrożnie i pochowali w podwórzu obok innych sypiąc ziemię zmieszaną z cegłą na czarny mundur, na głowę, na którą włożyli jego czarny beret, aby zakryć czoło rozbite ekrazytową kulą.

Wieczorem tego dnia Foka trzymał Magdę za rękę, nie myśląc o niczym, powstrzymując oddech, — aby myśl i oddech nie spłoszyły tej obecności. Dom ciemny, przed nimi ghetto na którym, w błyskach, krzaki piołunów pojawiały się, gęste, zwiększone, jak spokojne ogrody pod letnią burzą. Zaczęło się tak, że w tym zmiennym świetle zobaczyli grupę białych postaci stojących nieruchomo. Foka sądził, że ma przywidzenia. To samo myśleli inni. Czy duchy ludzi tu pomordowanych? Wlepiali oczy w tę zjawę. To, że na nogach miał gęsią skórę było zawstydzające. Ale rzecz wymykała się rozumowi. Postacie zaczęły poruszać się powoli. Niemcy?

„Nie strzelać!” — ktoś powiedział. I ton głosu człowieka, który obserwuje i coś wie, przerwał napięcie. Po chwili już spokojnie: „To wariaci od Jana Bożego. Szpital rozbity”. Teraz widział ich wyraźnie. W białych, długich płaszczach, w wiankach z zielska na głowach, powiewając zielonymi gałęziami odprawiali swój niepojęty obrzęd, chwiejąc się miarowym ruchem, ginący w ciemności, to znów ukazujący się w czerwieni, albo w sinych refleksach pulsującego nieba. Mijali się, zawracali, powiew wiatru przynosił ich przeciągłe śpiewy.

Z dołu przyszły Wila i Magda. Wtedy właśnie od strony nieprzyjacielskich pozycji seria świetlnych pocisków poszła ku białym postaciom. Przewracali się, powiewając

szatami, obrzydliwie teatralni. Inni nie zaprzestali swoich śpiewów. Tańczyli, teraz skacząc po stosach gruzów, jak miotający się chór bezsensownej tragedii. Magda schwyła Fokę za rękę. Czuł ciepło jej dłoni i nagle nic, tylko zdumienie. Odkrycie drugiego człowieka. Serce pompujące ciepłą krew, nogi, ręce, mała kępka włosów na częściach rodnych, myśl, przeszłość, ten sam strach, ta sama samotność. Przystawał być czymś osobnym, nikło wszystko co go wyróżniało. Litość, czułość — właśnie dlatego, że nie wiedział o Magdzie nic i nie potrzebował nic wiedzieć. I całkowite bezpieczeństwo, nic z tego co było, nic z tego co będzie, trwanie wiecznej chwili. Postacie znikły, znów pusta przestrzeń, wspomnienie sadów z odległych lat w świetle dalekich błyskawic. Jej ramię dotykało jego ramienia, dłoń zwolniła uścisk strachu i łączyła się z jego dłonią, nie rozumiejąca. Pewność, że w niej tu obok nie ma ani jednej myśli, ani jednego odruchu, które by nie były te same z tym co istniało w nim. Sekundy, minuty czy godziny. Milczeli, uczestnicy i świadkowie odkrycia nieprzygotowanego żadną zapowiedzią.

Kiedy odeszła, rozpamiętywał dotknięcie spokojnej i szerokiej rzeki, muskające ciało pióra jej nurtu. Mała dziewczynka o brzydkiej, chłopięcej twarzy płacząca rozpaczliwie, zadzierająca sukienkę w wodzie, próbująca dosięgnąć jej oddalający się okręcik. On płynący za okrękiem, brodzący ku niej, okręcik między nimi, uśmiech na jej umorusanej łzami twarzy i zacięcie się jego oddechu, bezbrzeżna tkliwość, jej chude łopatki, na nich śmieszny warkoczyk, słońce, wikliny. Osman z rozłożonymi rękami płynący na wznak, twarz tatuowana krwią — z nieznanych miast i krajów w nieznane kraje. Uszczypnął się w ramię, bo zasypiał, po raz pierwszy od dawna wchodząc w sen pełen barwnego marzenia. Na niebie gonily się reflektory. Bertrand do niego powiedział:

— Niemcy zajęli dziś dwa domy za nami. Jesteśmy prawie odcięci. Przygotuj się na taniec.

XVI

Tej nocy, kiedy zeszedł na dół, do piwnic, poczuł na ramieniu dotknięcie. Zatrzymał się w ciemności. Serce mu biło. Wzięła go za rękę. Miękki mrok, tęczujące koła w oczach, poddawał się tej ręce, która go prowadziła. Potknął się, przebiegło puste echo od niskich pował. W jej ustach nie było nic niespodziewanego. Powrót we własne wczesne dzieciństwo, rozdzielenie siebie na dwoje ust, matka i on, czy tylko on, to samo. Jej włosy były krótko ostrzyżone na karku, tylko to wiedział, poza tym ani kształt, ani ruch, ani zapach nie przedostawały się osobno do świadomości. Była tym wszystkim. Miętko, równocześnie, przechylali się na posadzkę i równocześnie szukali jedną ręką po zimnych płytach, aż dosięgli miejsca, gdzie były rozłożone jakieś puste worki. Znów zdumienie, czy to może być że rosła, chodziła, pracowała, że była osobna, własna, nieznajoma, kiedy w istocie była jednym z nim, od początku, na dnie jedwabistej przepaści chroniącej ich od świata. Zawsze, nigdy to nie ustanie, nic im nie grozi, nie ma, nigdy nie było przegrody między człowiekiem i człowiekiem. Wyspy szczęśliwe, nagie brunatne plemiona, kwiaty, pieśni radości, rytm jeden, niepodzielny. Policzką przy jej policzku słyszał jej wewnętrzny krzyk, krzyk szczytu góry, triumfalny.

Potem w ciemności jej spokojny głos.

— To i smak jabłka i słońce będą takie same kiedy nas już nie będzie.

Prowadził palcami po jej oczach. Powieki były zamknięte, w kątach wilgoć łez. Znów niski głos, nie ku niemu, w przestrzeń.

— Mieć czas. Stare kobiety przed domami, wieczorem.

Pod dłonią czuł gładkość jej podbródka, wykrój ust jak w rzeźbie. Ciemność nieprzenikniona, w plecach chłód posadзки. Szczury z piskiem zaszurały goniąc się gdzieś po ścianach. Rzęsy Katarzyny. Ale te dwie były, rzecz dziwna tożsame, używały sobie nawzajem cech, stapiały się, niemożliwe do rozdzielenia. Mówiła :

— Może to wszystko jedno. Chce się zrozumieć, myśli

się, że żyjąc zrozumie się świat. Za godzinę, jutro, za rok. I nigdy nie zrozumie się nic. Może to wszystko jedno.

Sarkofagi, na których mężczyzna i kobieta leżą obok siebie na wznak, patrząc oczami z kamienia w ciemność, przez wieki. Linie ich kolan, dotykające się łokcie, w górze zmienia się księżyc, tysiączny, dziesięcioletni raz.

Poczuł, że się uśmiecha.

— Jesteś z Bertrandem. To dobrze.

Powiedział:

— To, że ty istniejesz. Nie mogę tego zrozumieć.

Jej dłoń na policzku. Pieszczota łagodna, pobłażliwa. Obróciła usta ku niemu.

— Ten chłopak za dużo cierpi. W tobie to już się przesiliło. We mnie pewno też.

Nagle ta chęć: ogarnąć jej całe życie. Wszystko, każdy jej ranek, dzień, wieczór, ulica gdzie mieszkała, suknie, które nosiła, siebie jej oddać całego, kim był, do czego dążył. Tak trudno.

— Katarzyna została w Śródmieściu. To moja żona. Rozpaczalem.

Sarkofagi i dłoń pojmująca, dłoń jak dawno umarłej matki. Czy żyły sine na wierzchu, kostki wystające, wąska dłoń, nie zobaczył jej dotychczas nigdy.

— Któż nie rozpaczał. Nie trzeba.

I po chwili:

— Lata albo jedno mgnienie. W jednym mgnieniu mieć dom, drzewa, ogrody, dzieci, lata. Byli przed nami tacy, co tak musieli.

Zapytał:

— Dlaczego chciałaś wtedy pójść z Osmanem?

— Bo — szukała słów — ludzie są jednakowi. Jeżeli człowiek coś może, chce się sprawdzić dlaczego może.

Przyciągnął jej twarz do swojej.

— Mgnienie.

— Jesteś dla mnie czym ja jestem dla ciebie.

Powiew odległego wstrząsu przetoczył się gdzieś w górze, drzwi trzasnęły, osypywanie się tynku, znów ciemność, cisza. Olbrzymia rzeka toczy się, ogarnia, chłód i słońce, znajomy, od dawna, kształt jej warg, którego dotyka zamkniętymi ustami.

— Powinieneś wiedzieć kim jestem. Moje prawdziwe imię jest Joanna. Nazywałam się Joanna Gil.

Światło naftowej lampy leżało na papierach. Cma, która przedostała się przez zamknięte okiennice, trzepotała i od powiewu jej skrzydeł płomień drgał, oddając zmiennym pasmom cienia zamek automatu na skraju stołu. Winter, przechylony w krzesło, z rękami zaplecionymi na brzuchu, słuchał tamtego. Monotonny półgłos, wznoszące się i opadające brzęczenie. Twarz spalona słońcem, wytarta, lata nędzy, niedojadania, poniżenia, brudna szyja z siatką zmarszczek nad parcianą koszulą, zapiętą pod grdyką na biały guzik. Guzik przyszyty czarnymi nićmi. Czy pokorne, pełne uszanowania, wlepione w usta Wintera, szukające znaku aprobaty, czy niezadowolienia.

— Ale najgorszy jest Stasiak. Chodzi, judzi, straszy. Jak to on, niby nic nie powie wyraźnie, tylko tu rzuci słówko, tam rzuci słówko, zaśmieje się, splunie — że niby on lepiej wie. I ludzie boją się, bo to nie żeby powiadał, że tak będzie czy tak, ale że źle, nawet nie wiedzą jak, tylko źle. Najgorszy z całej wioski.

Winter zapytał:

— A ileż on ma ziemi? To pewnie jemu dobrze było, jeżeli trzyma z bogaczami?

Tamten skrzywił się pogardliwie.

— Iii... To lichota. Osiem hektarów, a i to piasku. Lichota. Konia ma, to jeździł pracować do państwowego lasu. Albo do Joniewicza, tego młynarza, to orać, to kosić. Sześcioro dzieci. Głupi człowiek.

— Cóż on mówi?

Oczy tamtego przeskoczyły z ust Wintera na papiery, na automat, niespokojne, niezdecydowane.

— Ci bogaci to mówią tak: nie brać ziemi, bo panowie wrócą, przyjdą Amerykanie. Jak kto weźmie, to sądzić będą, powieszą. Ale on to nie. On chytry, mówi panów to już nie będzie. Tylko, że niby nie cieszcie się, dają nam ziemię, chcą chłopów oszukać, a potem zapędzą do tych, jak to ich, kołchozów. Mówi chłopą gnietli i będą gniesć, kto mądry pójdzie do fabryki, do miasta, a z tej reformy żadna pociecha. Taki człowiek. Że panowie wrócą to ludzie nie za bardzo wierzą. Ale jak on tak plecie, to słuchają.

— A jak za okupacji? Trzymał z leśnymi?

— Nie można powiedzieć że tak, ani że nie. Dzieci małe, najstarszy syn dwanaście lat. Tu lękali się wszyscy leśnych, żeby nie gadać co na nich, bo zaraz wiedzieli. A on taki zawsze, niedowierny. Po cichu to nawet mówił, że nic dobrego z tych leśnych nie wyjdzie. Głośno nie. Jak teraz Ruskie aresztowali Joniewiczów, to też głośno ni, tylko to, że złoto im na nic co przez wojnę zbierali i ta wódka co fundowali leśnym też na nic.

Winter wiedział, że żołnierze prowadzą już do niego Stasiaka. Informacje były na ogół zgodne. Człowiek siedzący przed nim nie miał prawdopodobnie żadnych osobistych porachunków ze Stasiakiem. Zyskiwał po raz pierwszy w życiu poczucie własnej ważności. Biedny owad deptany przez wszystkich, wygrzebywał się teraz z kurzu ścieżek. I wiedział jak trzeba, znał miarę. Wstąpi do Partii, jego gruby paluch będzie przesuwac się powoli po rządach liter zatrzymując się przy nieznanych mu, trudnych słowach. Ostatni, stanie się najważniejszym człowiekiem wioski. Kiedyś to on będzie przewodniczącym kołchozu. Jego dzieci pójdą do szkół, do uniwersytetów i przy stole w tej rodzinie padną nigdy dotychczas niesłyszane nazwiska uczonych i pisarzy przeszłości.

— A to jeszcze — urwał i patrzył na ćmę, która spaliwszy sobie skrzydła kręciła się w kółko na papierach — kiedy Gestapo wywiozło Żydów, to on co? Żydowskie rzeczy brał?

Szybkie spojrzenie tamtego ogarniające twarz Wintera. (Ciekawe co odpowie. Oczywiście nie lubi Żydów. Widzi, że jestem Żydem. Tu budzi się ich solidarność przeciwko Żydom. Ale jeżeli chce tamtego pogrzebać, to dobra okazja).

— Byli tacy co brali. Pierzyny porozbierali, graty. On to nie. Co prawda, to prawda. Później żona tego Abramki, co miał tu karcznię, z ghettą uciekła, tu wróciła, sołtys zebrał starszyznę, radzili i nic nie uradzili. Strach Niemców, ale nikt nie chciał wziąć na siebie. Niemcy przyszli, Żydówkę zastrzelili w lasu za wioską. Stasiak dał koty z sołtysiem, powiadał, że to on posłał swego chłopca po cichu i dał znać Niemcom. Ale nikt na pewno nie wie.

— Sołtys to kto?

— Bulanda.

Winter wziął ze stołu ołówek i zanotował nazwisko.

— Tylko że dziś ten Stasiak nam szkodzi. O, szkodzi. Winter wstał.

— Dziękuję wam, obywatelu. Władza dziś należy i będzie należeć do ludu. Do takich jak wy. A ciemnotę zwyciężymy. Czy oni chcą czy nie chcą, reforma rolna będzie przeprowadzona.

Schyłony nad papierami rozważał ubiegły dzień. Trudny dzień. Ci, którzy mogliby pomagać, czają się, przychodzą ukradkiem, w nocy. Boją się. Lasy pełne partyzantów. Znow w sąsiednich wioskach dwa wypadki zastrzelenia agitatorów. Przez okno, przy kolacji, ktoś znajdzie sprawców. Obławy, krew, krew, żony lamentujące po tych zabitych przez leśnych, matki lamentujące po tych aresztowanych i zabitych przez nas. O, wizja. Czysta budowla niedosiężna, zawsze w przyszłości. Jego ojciec, kołyszący w rozmarzeniu głową: „Synku, zginie ten świat. To zły świat, niegodny świat. Biją nas, krzywdzą ludzi tacy jak my, tak samo krzywdzeni”. Ojciec i matka tam, w popiołach ghetta po drugiej stronie Wisły. Co robił tutaj? Czyż w istocie nie był obcy, tu, w tym kraju, kiedy nie ma już ulic, na których upłynęło jego dzieciństwo, ludzi o których losie myślał, kiedy czytał Lenina? Znużenie.

Żołnierz w drzwiach zasalutował.

— Przyprowadziliśmy tego Stasiaka, obywatelu kapitanie.

— Dajcie go tu.

Był to mały człowieczyna, z opadającymi ciemnymi wąsami. Jego oczy mrugały, oswajając się ze światłem. Winter odprawił żołnierzy, podsunął mu krzesło, Stasiak przysiadł na brzeżku, przyglądając się czapce, którą położył na kolanach. Ta sama szyja co tamtego, który siedział tu przed chwilą: kratki zmarszczek, włosy niestrzyżone opadające na kark, między włosami żdźbła słomy.

Zza kręgu lampy Winter powiedział ostro:

— Prowadzicie w wiosce agitację przeciwko reformie rolnej.

Stasiak przygarbił się. Spod jego wąsów wyszło nieokreślone mruczenie.

— Nie przeczcie. My wszystko wiemy. Występujecie przeciwko władzy ludowej. Tej władzy, która wam, chłopom, daje ziemię.

Teraz tamten powiedział wyraźnie:

— To tak nie jest. Ja nie. Ziemia chłopom należy się.

— Chodźcie i opowiadacie, że tu będą kolchozy. Nigdy w Polsce nie będzie kolchozów. Ziemia chłopom jest dawana na własność. Czy wiecie jak nazywa się taki, który rozpowszechnia fałszywe wiadomości o władzy ludowej? Nazywa się szkodnik. Kara za to jest pięć lat więzienia.

Stasiak milczał. Jego palce otwierały się i zwierały na czapce.

(Dlaczego do diabła on nie odpowie: myślał, że kolchozy to nic złego. Mógłby tak odpowiedzieć. Nie, nie używa chytrkości.)

— Komu zależy na tym żeby chłopci nie brali dworskiej ziemi? Panom co żyli z waszego potu, z waszej męki. Bogaczom w wiosce, takim jak Joniewicz, bo jak chłopci nie mają dosyć ziemi, muszą iść do nich pracować. Wy chcecie im pomagać. Władza ludowa wydobywa was z nędzy, z poniewierki. Ale wam nie zależy na tym, żeby wasze dzieci były szczęśliwe. Nie, wy będziecie straszyć innych, żeby wszystko zostało jak było dotąd. Żeby wasze dzieci zostały ciemne i ubogie jak wy sami.

Oczy siwe z czerwonymi żyłkami (naiwne — określił).

— Jakżeto tak. To tak nie jest. Nigdy nie mówiłem, że ziemi nie trzeba brać.

Winter rzucił niespodziewanie (zobaczmy jak zareaguje):

— Znacie Bulandę, sołtysa?

— No znam.

— W czasie wojny on kumał się z Niemcami. Czy tak?

Głowa tamtego była nieruchoma. Ledwo dostrzegalny rumieniec pod brunatną skórą policzków. Otarł wąsy.

— Tego to ja nie wiem.

— A Żydówkę, co ją Niemcy zabili, to kto wydał? Czy nie Bulanda?

(Jak daleko sięgają te wiejskie nienawiści? Tłumiona uraza zapada wewnątrz, tkwi jak drzazga, odgrazanie się w myślach: „Poczekaj, jeszcze przyjdzie czas, jeszcze ciebie dostanę”. I oto chwila przychodzi, upragniona, oczekiwana. Przed sobą ma oficera, który tu jest wszystkim: władzą, policją, sędzią. I jest Żydem. Teraz strach. Żołnierze przyszedli, w nocy, wywlekli go z wyra, wrzask żony i dzieci. Powie słowo, zgubi swego wroga, pomoże sobie, między sobą i inkwizytorem ustali ton zwierzeń.) Winter, podparł

podbródek dołem dłoni i w palcach kręcił ołówek. Przyglądał się Stasiakowi i ukradkowy uśmiech przebiegł kątem jego wąskich warg. Stasiak nie patrzył teraz na niego. Z wysiłkiem, jakby szukając w pamięci, powiedział:

— Niemcy przyjechali. Żydówka była w swoim domu. Albo sami chcieli sprawdzić czy Żydów nie zostało, albo kto wydał. Ludzie będą mówić, że ten, albo ten, ale kto to zrobił nie przyzna się i będą oskarżać fałszywie. Ludzie jak ludzie. Będą zawsze na siebie skarżyć. Ze złości.

(Co ja mam z nim zrobić? Ta etyka. Czy tylko solidarność? Zle przygotowany do czasów, które idą. Nie uchowa się. Ale ostatecznie po co mam niszczyć tego nędzarza? Jaki z tego pożytek? Terror? Tylko głuchy ferment, szept, litowanie się, jeden punkt dla leśnych.)

— Mogę was teraz w nocy, odesłać do więzienia. Za wasze szkodnictwo. Ile macie dzieci?

— Sześcioro. — Czapka Stasiaka była ciasno zgniecioną w jego palcach.

Winter wyrzucił ku niemu głowę znad stołu (Kiedy tak patrzę, sam mój pysk jest dostatecznie przerażający).

— Mogę was odesłać do więzienia. Ale na ten raz daruję. Tylko pamiętajcie: spróbujcie jeszcze gadać, będziecie aresztowani. My nie panowie i nie Niemcy. Władza ludowa wie wszystko co kto powie w wiosce. Zrozumieliście?

Stasiakowi zabolgotało w gardle. Odchyłał się powoli w tył, spojrzał na oficera (zawsze poniżeni, zawsze zgnieceni, zawsze drżący, zawsze nienawidzący, pomyślał Winter).

— Tak jest.

Winter wstał i wyciągnął do niego rękę.

— Sami zobaczycie czego my chcemy. My chcemy waszego dobra. Bierzcie ziemię, nie przeszkadzajcie innym brać. Ta ziemia wasza. Nikt jej wam już nie zabierze.

XVIII

Jest to długi trzask, jak rozdzieranej mocnej jedwabnej materii. Mur pęka i zasypuje schody. To pocisk artyleryjski wpadł przez okno i wybuchnął wewnątrz. Równocześnie

nie z tym odgłosem słysząc wrzask Danka: „Wychodź wszyscy! Szybko wy, z noszami, po rannych! Michał! Gdzie Michał?!” Brudny bandaż na jego głowie rozwinęty spada mu na oczy, gwałtownie szarpie go i zrywa odsłaniając krwawą bliznę idącą ukośnie przez czoło. Zatrzymuje się, wyciąga z kieszeni płaską butelkę, popija, ociera rękawem usta. „Michał, weź ludzi i obsadź parter od niemieckiego domu. Stamtąd pójdzie natarcie. Trzymajcie, żeby nie wiem co. My mamy ich z góry i tych od pola”.

Długie echo kładzie się po wystrzałach artylerii. Joanna, Wila i kilku chłopców z noszami biegną na górę. Chłód wczesnego poranka. Różowo perłowe niebo. Wychodzą na podwórze. Znów łomot, prucie się muru, smak cegły w ustach, psujący smak przejrzystej godziny. Michał grupuje koło siebie Fokę, Bertranda i jeszcze dziesięciu. Bertrand podchodzi do Danka.

— Chcę coś zaproponować.

Danek klnie, palcem prowadzi wzdłuż blizny.

— Mówcie.

— Lepiej nie obsadzać góry, wszystkich umieścić na parterze, od ghetta i od domu. Górne piętra nie wytrzymają. A jak chcą nas mieć, puszcza samoloty.

Danek rzuca mu złe spojrzenie.

— Bzdura. Z dołu żadna robota. A ja tam idę nie wy — dodaje pogardliwie.

I za odchodzącym posyła:

— Defetysta.

Bertrand zawraca, głowę ma przechyloną.

— Dlaczego tak mówicie, jeżeli to nieprawda?

Twarz Danka robi się purpurowa. Krzyczy:

— Ja was dobrze znam, pogardzacie tutaj wszystkimi. Módlcie się do swego świętego Marksa żebym ja was jeszcze kiedyś nie dostał. Szlachetna ofiara, psiamać. Myśli, że jemu jednemu nie chce się zdychać. Tfu!

Michał interweniuje:

— Zostaw go Danek, czego chcesz od niego. Teraz nie pora.

Dom zajęty przez Niemców, milczący, żadnego śladu życia, pierwszy promień słońca na jego płaszczyźnie, radosny. W załomach siny cień. O tej godzinie rosa, na niej

ślad zajęczy. Skrzypią w wioskach żurawie, echo niesie dźwięk młotka naprawiającego pług. Gęsi gęgają przy ruchaju, we mgle ich podniesione białe skrzydła. Znow wstrząs, przed oknami sypie się z góry gruz.

Foka mówi szeptem do Bertranda:

— Szkoda czasu na dyskusje z Dankiem.

Tamten obejmuje sobie dłonią szyję.

— Ja go rozumiem.

Pięć minut, dziesięć minut. „Stefan”, woła Fokę po imieniu Joanna. „Tylko na chwilę, pomóż mi przy rannych”. „Czy mogę?” pyta Michała. „Ale wracaj natychmiast”.

Zakrwawione nosze, na nich Jaś, najmłodszy z załogi. Lniane włosy w strąkach spadają z zwisającej w tył głowy. Papierowa skóra z niebieskimi żyłkami.

— Chcę się z tobą pożegnać — mówi Joanna. — Musimy go odnieść zaraz. Konieczna operacja. Tutaj umrze.

Stojąc naprzeciwko siebie ściskają sobie obydwie ręce. Ręce Joanny są lepkie od krwi rannego.

— Pamiętaj, uważaj — mówi bez sensu Foka.

Jej uśmiech. Mówi nagle:

— Nie garb się. I opuszczaj ręce.

— Zdrowaś Mario — mruczy Wila i żegna się. Łaskiś pełna, Pan z tobą. Najgorsze te dwieście metrów do rogu ulicy. Potem głupstwo. Błogosławionaś pomiędzy niewiastami, błogosławiony owoc żywota twego. Żebyś miała nie takie grube nogi. Sznur, trzeba rannego przywiązać, bo go zgubimy.

Foka stoi oparty o mur w bramie. Czuje się poniżony, zostając tu w bezpiecznym miejscu i równocześnie jakąś częścią samego siebie zdaje sobie sprawę, że bierność jest ulgą.

Wypadają z bramy. Joanna biegnie pierwsza, schylona, szczupła, duży dla niej ciężar, nosze chwieją się, za nimi białe mocne łydki i szeroki tyłek Wili. Skaczą omijając leje. Koło nich wytrysk ziemi i bruku, jeden, drugi, biegną dalej, karabiny maszynowe zaczynają szczekać.

Foka wbija palce w mur. I nagle gwałtowne pchnięcie jakby podrzuciła go sprężyna. Nie pojmuje nic, jest na otwartej przestrzeni, pęd powietrza, nogi w skoku i z tym razem ten obraz, mgnienie: Joanna padająca naprzód, prze-

wracające się nosze, Wila na czworakach, ciągnąca nosze w bok. I już to jest blisko, już chwytą na ręce Joannę, krew, czy to jej krew czy rannego, bieg o, nie potknąć się. Boże, wielki Boże, nie pozwól, nie pozwól, żeby to było to. Brama, kładzie Joannę, szarpie za jej bluzkę i wtedy przewraca się na nią uderzony podmuchem. Warkot ogłusza, widzi jak ściana domu pochyla się, pochyla, równocześnie uświadamia sobie, że Joanna nie żyje, potem łoskot i ciemność. Wycie powietrza, to bomba w podwórze, teraz, i czuje uderzenie w plecy. „Tamci”. W ciemności strzały. „Żyję?” Być z nimi. Głos Michała. „Nie podpuszczaj! Tych co dojdą, granatami”. Jasne otwory okien, parter stoi, rozpoznaje Bertranda. Od strony słońca Niemcy. „Ten, ten” — puszcza serię. Niemiec ześlizguje się w bok, krzyczy. Tynk rwie się, Michał woła: „Uważać, na boki, grana...” i przez okno wpada czarny przedmiot. Foka zarywa się w sypką warstwę na podłodze, wybuch. Bertrand kogoś wlecze, ruchy rąk rzucających granaty. Foka rzuca swój, byle jak najbardziej ukośnie, podchodzą stamtąd, z boku. „Cofać się — krzyczy Michał, to ci od pola”. Zrozumienie, że góry domu i tamtych już nie ma.

Bertrand wlecze rannego. Foka skacze dwa stopnie, żeby mu pomóc i wtedy Bertrand puszcza rannego, przysiadła, w oczach zdumienie. Trwa to sekunde, twarz staje się białą, kiedy wyciąga po niego rękę, Bertrand mówi „Mamo” i przewraca się na wznak, rysy mu sztywnieją. „Nieść?... Nie, nie jego”. Foka chwytą rannego pod ramiona. „Ależ on ma całe plecy rozwalone”. Maż krwi i pyłu, bezwładne buty bębnią o schody. To strzelec Gdula, ten co naśladował Hitlera, ściskając między wargą i nosem kawałek czarnego grzebyka.

„Szybko! Szybko” słyszy nawoływanie. Strach. Za chwilę tu, Niemcy. Kładzie Gdulę na brzuch, dopędza innych w bramie, tam zapylony trup Joanny, tylko kształt ciała, pochyla się, ociera dół jej twarzy i usta, półotwarte, połysk zębów. Ale już pędzą, dzień, poranek, jasny świat, nie, nie, żyć, żyć, jeszcze nie.

Już tu, róg ulicy, wskakuje do leju. I nagle, mając przed sobą wilgotną ziemię, pojmuję co się stało. Nikt nie dowie się, nikt nigdy nie będzie wiedział. Jakby to on sam zabił Joannę. Nikomu nie może powiedzieć, że zostawił jeszcze żywego strzelca Gdulę. Dostaje ataku histerycznego płą-

czu. „Walcie go w łeb” — mówi ktoś za nim — to się uspoko!”.

XIX

Pociągnięty za drut dzwonek zaklekotał u furtki. Martyniak, który utykał jeszcze po swoim skoku z transportu, wyszedł zza grządek pomidorów i spojrzał pytająco na bratową. Ogród warzywny stał cichy w słońcu popołudnia.

Bratowa położyła motykę na ziemi, wytarła ręce o fartuch.

— Ja zobaczę przez szparę. Jak dam znak, to chodu przez tamten płot, za rów.

Poszła w stronę płotu. Patrzył za nią, gotów do biegu. Zaglądnąwszy, odwróciła się i zrobiła gest uspakajający. Potem podreptała dalej i przez deski zaczęła rozmowę. Wreszcie przekręciła klucz.

Tęgi mężczyzna, z czerwoną twarzą siedł z nią ścieżką ku domowi. Poznał go już z daleka. Jak zawsze długie, oficerskie buty, kędzierzawiące się włosy; pod pachą niósł czarną teczkę. Machał ręką ku Martyniakowi. Wołał:

— Ho, ho, kopę lat, ledwo was znalazłem.

Przywitali się. Uśmiech Martyniaka był szeroki, pokrywał nim niepokój. (Więc jest jednak, ten Borkowski, czego ode mnie chce?)

— Myślałem już, że Niemcy. Nie wiedziałem, że pan żyje, panie redaktorze.

Borkowski rechotał:

— Ja tak boczkciem, boczkciem. Byłem już w łapance, tu co dzień jest coś takiego. Ale na tej linii spotyka się cała Warszawa. Wy toście dobrze się urządzili. Taki ogród — ogarnął przestrzeń wzrokiem — jest kędy uciekać jakby co. A kiedy z Warszawy?

— Piętnastego sierpnia. Skoczyłem z pociągu.

— No, to już dwa tygodnie. A dom gdzie drukarnia?

— Spalili.

Borkowski wyjął wielką chustkę.

— Już jesień a gorąco. Chciałbym z wami porozmawiać, Martyniak. Ważne sprawy. Na osobności.

Dom ogrodnika był jednopiętrowy, drewniany, jak więk-

szość domów w tych podmiejskich miejscowościach przy linii zachodniej. Martyniak wprowadził redaktora przez krzywe drzwi do izby, gdzie stało metalowe łóżko, miednica i dzbanek z wodą; na podłodze rozsypane były na płachtach nasiona. Siedli naprzeciwko, gość na łóżku, które zadzwoniło pod jego ciężarem, Martyniak przysunął się do niego z krzesłem.

— Zapalcie. Świństwo te papierosy. Podrabiane.

I gładząc dłonią kolano, powiedział:

— Więc żyjemy. Polutek tu jest. Inni nie wiadomo. Poszli do Abrahama na piwo.

Martyniak zapytał:

— Ale Warszawa, panie redaktorze. Co to będzie? Miasto nam rozbijają w drobny mak.

Wzrok Borkowskiego był nieobecny.

— Trudno. Ofiary muszą być. Ale Rosjanie, choćby i nie chcieli pomagać, nie mogą tak stać. Same konieczności strategiczne muszą ich pchnąć. Miasto, coś miasto. Odбудujemy.

Przechylił się ku Martyniakowi.

— Ale do rzeczy. Jest tak. Nie możemy siedzieć bezczynnie. Trzeba działać. Zaczynamy na nowo wydawać pismo. Pieniądze są.

Martyniak myślał: więc to to. Oni nigdy nie zostawiają w spokoju. Tu miasto się pali a oni pismo. Po co i co tam wewnątrz, to ich nie obchodzi. Ostrożnie wybadywał tamtego:

— Może to i dobrze byłoby. Tylko gdzie tu o tym myśleć. Ani papieru, ani drukarni. I co dzień łapanki. Kolportażu nie da się zorganizować.

Borkowski przeciął:

— Głupstwo. Za pieniądze wszystko jest. Papieru ile chcąc. Choćby na powielaczu. Ale drukarnia będzie. Sami Niemcy wynajdą w Warszawie. Teraz nawet Hitlera gotowi dostarczyć, byle im dobrze zapłacić. A umieścić choćby tu w szopie, w ogrodzie. Dobre miejsce.

Martyniak rozważał, z której zacząć strony. Wreszcie odezwał się:

— Sam pan mówi, panie redaktorze, że tu przyjdą Rosjanie.

Tamten uderzył pięścią w kolano. Łóżko zadzwięczało.

— No to co? Tu pełno takich co kupują złoto i chcą

uciekać z Niemcami, na Wiedeń. Ale ja zostanę i wy zostaniecie, Martyniak. Ktoś musi robić robotę. Nie daliśmy się Niemcom, nie damy się i Rosjanom. A za nami jest Ameryka. Ona nie dopuści.

Znów powracało wszystko z tych lat. Przyglądał się Borkowskiemu. Widział go teraz inaczej niż wtedy. Nie miał już respektu dla jego energii. Dziwił się, że tak długo był w jego mocy. Eech, tacy jak on. Chciałby wstać i splunąć. Ale siedział spokojnie i słuchał.

— Wy Martyniak jesteście potrzebni. Wiem, że zgodzicie się. Składaliście przysięgę. Byliście dobrym żołnierzem. Kraj was dziś potrzebuje.

Zapytał:

— To kiedy to pismo, panie redaktorze? Już zaraz?

— Jak najprędzej. A jak będzie miejsce na drukarnię, znajdzie się drukarnia. Tam gdzie mieszkam niemożliwe. Szpilki nie wsadzić. Tam gdzie Polutek, w jednej willi pięćdziesiąt osób.

Martyniak prowadził wzrokiem po nieheblowanych deskach podłogi.

— To ja się rozglądnę. Może tu, a może gdzie indziej. Jak co znajdę, to dam znać. Gdzie pana redaktora szukać?

Borkowski powiedział mu adres i dawnym zwyczajem zażądał aby adres powtórzył.

Kiedy odprowadził go i zamknął za nim furtkę, podszedł do bratowej. Przerwała kopanie.

— Co to za jeden? Czego chciał?

— E, taki z Warszawy. Ale co chciałem Zosi powiedzieć. Że ja pewnie tam pojadę, do Częstochowy, do Teofila.

— Znowu te wasze konspiracje. Mało wam nieszcześcia.

— Nie żadne konspiracje. Jak wyjadę to jakby ten przyszedł, Zosia powie, że wyszedłem z domu i Niemcy zabrali mnie w łapance. Bo jak będzie tu przyłąził, to nic dobrego tu dla was.

XX

Foka widział gmatwaninę spiętrzonej urwiskami pustyni, wstrząsanej pośpiesznym biciem pulsu w skroniach. Trząsł się w gorączce, poza tym był tylko lekko ranny: kula zdar-

ła mu płat skóry z ramienia. Wysilek jego myśli zmierzał do trzymania się w pobliżu Michała. Byle nie stracić go z oczu. To co ich dzieliło, nie liczyło się teraz, zarośnięta twarz Michała, krople potu na jego czole, podarta bluza, były jedynym punktem, którego można było się ucześcić. Ulice, w których się znaleźli, były rzędami poobtlukiwanych ruin, w których mrowiła się masa ludzka zgoniona tutaj przez zaciskający się pierścień boju. Dowiedzieli się, że próba przebicia się do Śródmieścia, podjęta dwa dni temu, nie powiodła się i że otrzymali rozkaz użycia kanałów. Przechodzenie do Śródmieścia kanałami już się rozpoczęło. Focę wrócił nagle automatyzm tamtego jego dążenia, jakby zepsuty zamek znowu wskoczył w swoje łożysko. Nie przedstawiał sobie tego co się zdarzyło, wiedział tylko, że to było straszne, że odtąd należy robić co można, aby zatrzeć to, usunąć z pamięci, tylko Katarzyna trwała niezmienna, tym niedotknięta i tylko ona mogła mu pomóc. Jakby z daleka dochodził go głos Michała: „Cierpliwości, przyjdzie na was kolej. Wszyscy nie mogą wyjść równocześnie”.

Poczucie bezsensu, nieszczęścia i chaosu było tak silne, że czuł je jak mdłości, wlokąc się za Michałem. Dlaczego tu musiał być, po co? Ale stał przy Michale kiedy chude kobiety w płasko opadających łachmanach sukien, o nieprzytomnych oczach, wygrażały im pięściami. „Zbrodniarze! Mordercy naszych dzieci! Wydalili nas na śmierć, a teraz uciekają!” Ciśnięty kamień rozbił mu usta, ocierał je niezgrabnie, oblizując słony smak. Nie zasłonił się ręką kiedy drugi kamień przelatywał koło jego głowy. „Tak, jestem zbrodniarzem. Jestem, jestem” — powtarzał i było w tym coś jak pociecha, osiągnięcie dna, wszystko było równe w ohydzie, przestawała być czymś indywidualnym.

Zostali wyznaczeni na barykadę od północy. Ale tam, wśród detonacji i wzlatujących brył kamienia też dosięgnął ich ten sam tłum, już teraz obojętny na niebezpieczeństwo. Ciągnąc powiązane sznurami toboły, niosąc dzieci, rozczochrane, zmięte gromady powiewały białymi płachtami zbierając się nie wiadomo skąd, z podziemi. „Puśćcie nas, pozwólcie przejść do Niemców” — wznosiły się głosy. „Dosyć mieliście naszej męki. Dajcie wyjść z piekła”.

Młody chłopak w podartej marynarce ściśniętej skórzanym pasem, stał pod barykadą. Próbował przemawiać:

„Ludzie, co robicie, opamiętajcie się, wypuscicie Niemców”. Zagłuszyli go: „Oni uciekną do swoich kanałów, nas zostawią! Nie słuchać ich, kłamców, niszczycieli! na nich, nie pytać pozwolenia!” Dowódca, szpakowaty oficer, machał pistoletem, strzelił w powietrze, dźwięk zniknął we wrzasku i zgielku kanonady. Już byli przy nich, ręce podnosiły kawały gruzu: „Rozbierać barykadę!” krzyknął jakiś męski głos. Z pasją zdzierali płyty, rzucali je daleko, odpychali obrońców. Młodzi żołnierze rozbiegali się na boki, przestraszeni. Kobiety, furie. Gniew ich matki, posłuszeństwo matce, cios z ręki matki, jej wola. „Niemcy idą!” — usłyszał Foka stojący przy Michale i dowódcy. Na szczycie barykady kłębowisko rąk, głów, białych płacht, przerzucanych worów. Dowódca powiedział. „O Jezu” i zaraz jakby pochodził nie z jego ust, krzyk komendy: „Ognia! Po nich!” Michał złożył się, Foka usłyszał „Ognia”, nacisnął cyngiel, Sten drgał w jego rękach i razem z tym: „Niech będzie, niech się dopełni, zbrodniarz, co robie”. Biegł już za Michałem na barykadę, przeskakując trzepoczące się ramiona kobiety, pas białej skóry, pas dawnej opalenizny, skądś skowyt małej dziewczynki: „Mamo, mamo”. Tam za nimi były włazy kanałów, inni, należało bronić za wszelką cenę. Strzelał zapamiętale i ta myśl: „Jeżeli teraz zginę, to czy broniąc tamtych co teraz wychodzą czy własnej nadziei, że stąd się wydostanę?”

Dopiero po wielu godzinach Michał, który pertraktował z dowódcą powiedział: „Chodź. Teraz może się uda”. Na stanowiska przychodzili jacyś nowi, jak oni ponurzy, brudni, milczący. Grupka Michała ruszyła, język Foki był zaschnięty jak sztywny, obcy przedmiot w ustach, nie było tu już nigdzie wody. Na schodach domu w którym gromadzili się czekający na przejście, oparł się o mur, spał, stojąc. Otworzywszy oczy, zobaczył, że Michał trzyma za rękę kobietę w hełmie. Więc znalazł żonę. Znowu upłynęły godziny. Słyszał przez sen detonacje, huczenie głosów, nawoływanie, jęki. „Niemcy wlewają palącą się benzynę do kanałów”. Ktoś mówił przy nim: „Znowu nasi wrócili, nie mogli przejść”.

Michał szarpnął go: „Uwaga, idziemy, nasza kolej”. Drobną dziewczyną w mokrym kombinezonie, z twarzą która była pokryta warstwą błota, stała w wyrwie prowadzącej na ulicę. Na piersi miała elektryczną latarkę. Kosmyki

jej czarnych kręcących się włosów lepiły się do czoła. „Ja prowadzę. Nie tłoczyć się. Wychodzić pojedynczo. Czołgać się szybko. Rów jest obłożony płytami”. Wyjęła papierosa i zapalwszy, zaciągnęła się raz, drugi, rzuciła go i przydeptała. „Niemcy są przy dalszych włączach. Musi być absolutna cisza. Kto będzie mówił głośno spowoduje swoją śmierć i wszystkich”.

Odbywało się to wolno. Już przygotowywali się. Michał wysunął naprzód żonę, ale znów musieli ustąpić miejsca innym. Rów idący od domu przez ulicę ku włazowi był niegłębokim. Jeden chłopak czołgał się teraz na wznak, włókąc rannego, drugi pomagał mu idąc na czworakach i unosząc rannego za pas. Kule grzechotały o poszczerbione płyty, które chroniły przechodzących. „Czy nie lepiej wyprostować się tam i żeby wszystko się skończyło?” usłyszał w sobie pytanie Foka i wiedział że nie, że nie zdobędzie się na to, bo ucieczka stąd była ucieczką od okropności w nim samym. To było związane z miejscem, tam w Śródmieściu był on inny, jego czyste ubranie zamknięte w szafie, dawne życie niesplamione. Ciągnął rannego, nie wiedząc, że on, tutaj, zostawił Gdulę, Joannę, Bertranda. Stanęli nad Gdulą, puścili mu serię w te rozorane plecy. Nie, Gdula by i tak nie przeżył. Więc jeszcze dodaje do tego usprawiedliwienie? „Michał”, powiedział spieczonymi ustami. Michał wypychał żonę. „Co? Żadnego gadania. Szybko”.

Słońce, trzask, chaos rwącego się świata. Paprał się w żółtej glinie rowu, już dosięgał włazu, z dołu Michał wołał: „Nie stawaj na palce” i nagle półmrok, ucięcie zgiełku. Opuszczał się po klamrach, metr za metrem, w głąb, w bezpieczeństwo, jasny krąg włazu malał, było to jak odkrycie nieznanego wymiaru, w uszach dzwoniła cisza. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Daleko w tunelu latarka przewodniczki. Ktoś trzymał świecę, jej refleks oświetlał słabo wilgotne ściany i postacie ludzi z pochylonymi głowami. Pułap był niski, nie można się było wyprostować. Woda pluskająca na dnie przemoczyła nogi, chłodziła ciało. „Najświętsza Panno, pozwól nam przejść” ktoś modlił się głośno. Wreszcie zaczął się powolny marsz. Chłupotanie, ciężkie oddechy, stęknienia, zderzenia się biegly odbite przytłumionym echem. Mijali wyloty korytarzy, zanurzali się w labirynt pod powierzchnią miasta. Był w tym strach

nieznanego, jak strach podróżnych w czarnej, milczącej puszczy. Wszystkie opowieści o tych, którzy próbowali przedostać się tędy i po dobie błędzenia wracali w to samo miejsce z którego wyszli albo wyłaniali się na ulicy zajętej przez Niemców. Ten zapach czy to nie zapach benzyny? Kark zgięty bolał, nogi ślizgały się, potykały o miękkie przedmioty pod powierzchnią strumienia — trupy tych co tu padli czy porzucone pakunki? Wszystko zależało od przewodniczki. Wątle poruszające się światelko znaczyło tam na przodzie jej obecność.

Uderzył się gwałtownie o plecy Michała. Latarka na przodzie zgasła. Stali nieruchomo. Usłyszał szept: „Nad nami Niemcy. Czekać kolejki. Przebiegać pod włazem po dwóch. Podaj dalej”.

XXI

Karafki z wódką między czerwonymi i białymi kwiatami georginii były pokryte rosą. Piotr Kwinto dziwił się, że mieli tutaj lód, dotykał z upodobaniem białego obrusa. Prawie każda twarz przywoływała mu wspomnienia dawnej, przedwojennej epoki. Baruga zmobilizował na przyjęcie kogo mógł z pisarzy i artystów, którzy znaleźli się po tej stronie, w Lublinie. Trzymali się sztywno, czujni, rzucający niepewne spojrzenia ku miejscu w podkowie stołów gdzie między Barugą i ministrem Pekielskim siedzieli, barczyści w swoich wojskowych bluzach i epoletach, goście — rosyjscy korespondenci wojenni. Piotr sprawdzał na rysach zebranych ślady tych lat: ostrzejszy rysunek podbródka, bruzdy, ale częściej zatarcie wyróżniających się cech, kiedyś pielęgnowanych. Jak przedwojenne wiersze i obrazy traściły ich charakter, który zdawał się kiedyś indywidualny, ukazując teraz swoją przynależność do pewnego pokolenia, pewnej klasy, pewnego okresu, tak twarze ludzi, niechronionych już przywilejem pieniędzy ni uznania przynosiły ze sobą anonimatu tłumu. Również wytarte marynarki czy kurtki robotnicze zapięte pod szyją redukowały ich, jak należało, do skromniejszej niż niegdyś roli, ukazywały czym byli: tymi którym udało się przetrwać.

Minister Pekielski zaczął przemowę zwracając się ku rosyjskim gościom. Mówił o niezwykłej Czerwonej Armii, która przyniosła wyzwolenie i o wiecznym odąd sojuszu dwóch narodów. Skryty uśmieszek przewijał się po ustach uczestników bankietu, oczy były utkwione w talerze. Ton Pekielskiego był podniosły, kadencje podkreślone jak w kazaniu. Łowili w tym jego przeszłość: wiedzieli, że był kiedyś księdzem, zrzucił sutannę, stał się wojującym ateistą; należał do partii socjalistycznej, do jej lewego skrzydła. Zrobiono go teraz ministrem, gdyż był to gest politycznie wskazany. Wzniósł toast, pito, klaskano pobłażliwie.

Następnie wstał Baruga, w swoim mundurze majora. Teraz słuchali uważnie, marszcząc brwi, starając się przyswoić nowe dla nich sformułowania. To było co innego. Baruga nie był Pekielskim. Tak wiele od niego zależało. Balansował zręcznie pomiędzy sprzecznymi wymaganiami jakie stawiała mentalność słabo przygotowanej publiczności i mentalność Rosjan. Dla pierwszych miał słowa o demokracji, suwerenności narodu i „łagodnej rewolucji”. Dla drugich wspomnienia o bohaterstwie sowieckich żołnierzy dzięki któremu sprawdziły się proroctwa, że największy naród słowiański będzie zbawcą świata. W połowie przemówienia przeszedł na rosyjski. Zakończył toastem na cześć generalissimusa Stalina. Wszyscy zerwali się, klaskali stojąc. „Gdyby nienawiść miała czarną barwę — pomyślał klaskając Piotr — ta sala byłaby zalana nią jak atramentem”.

Goście odpowiadali według starszeństwa wojskowego stopnia. Pierwszym był pułkownik, korespondent moskiewskiego czasopisma. Wysuwając szeroką szczękę wyliczał zwycięstwa Czerwonej Armii i każdy ustęp kończył jak refrenem: „My moguczy”, bijąc pięścią w stół. Wybrał dobrą taktykę — oceniał Piotr. Przypominać o sile jest tu najbardziej skuteczne. I skutki były widoczne na twarzach słuchaczy — przestrach i troska. Toast, gorliwe oklaski.

Goście skończyli, zaczął się gwar rozmów, nikło napięcie. Ale już ktoś zadzwonił widelcem w kieliszek. Obracali szyje w tym kierunku. Piotr pamiętał, że mówca — abstrakcyjny malarz — należał dawniej raczej do prawicy. Teraz, jękając się (decyzja musiała go dużo kosztować), czerwieniąc się, zapewniał o oddaniu artystów sprawie reform i rewolucji. W każdym z obecnych toczyła się już

oczywiście walka: czy powinienem zabrać głos i czy, jeżeli tego nie zrobię, nie będzie mi to poczytane za złe? Piotr starał się zauważyć czy Baruga daje poznać po sobie jak się bawi. Ale nie, nie było w nim nic prócz dobrotliwej jowialności. Schwycił rozbawione spojrzenie Juliana Halperna. Było to coś rodzaju totalizatora. Kto będzie następny? Szukali nawzajem po sobie i każdy nowy, wyskakujący nad rzędy głów, wypowiadający kilka zdań zdławionym głosem budził poruszenie i pomrukiem wygłaszane komentarze. Buniewicz, nazywany popularnie Bunio, który siedział obok Piotra, zapijał śmiech małymi haustami wódki. „Jeszcze nie mają wprawy. Tak się męczą. Zdaje się im, że każdy musi powiedzieć coś oryginalnego”.

Stopniowo zainteresowanie słabło, rozgrzane alkoholem głowy pochylały się ku sąsiadom, opowiadano dowcipy, mówcy teraz długo musieli dzwonić czekając na ciszę, dym papierosów gęstniał, wznosił się pod żarówki, które paliły się jak zawsze tutaj nierówno, bo prąd elektryczny był słaby. Kelnerzy w białych kitlach nie pierwszej czystości roznosili mięsne potrawy, które, zważywszy na ilość woj-ska w mieście i trudności aprowizacyjne, były czymś widywanym tutaj rzadko. Służalczość ich ruchów źle maskowała lekceważenie.

Piotr miał przed sobą Korpanowa. Ten nie był gościem. Przebywał w mieście od kilku tygodni, przygotowywał tekę plansz o okrucieństwach hitlerowskich i robił dla niej szkice na terenie obozu koncentracyjnego w Majdanku. Był to nieduży człowiek o ziemistej twarzy, której kolor zlewał się z kolorem zarostu nad górną wargą. Wojskowa bluza z oznakami lejtenanta Czerwonej Armii nie mogła zmienić jego nieodwołalnie cywilnego wyglądu. Siedział ze spuszczoną głową, zamyślony, wstawał, klaskał, udawał że pije, zawsze z tym samym wyrazem nieobecności. Piotr patrząc na niego czuł się winien. Kilka dni temu spotkał Korpanowa na ulicy. Rozmawiali chwilę po rosyjsku i Korpanow dotknął palcem książki, którą Piotr trzymał pod pachą. „Co to jest? Czy można zobaczyć?” Piotr zrobił ruch jakby chciał książkę mocniej przycisnąć ramieniem. Powiedział: „E, to nic ciekawego. Wiersze”. I zaraz podał tom Korpanowowi. Widział gorzki i smutny uśmiech tamtego i zrozumiał, że go zranił. Nasze wiersze, nasz łaciński alfabet, to nic ciekawego dla was, Rosjan, nie mieszkajcie się do

naszych spraw. Korpanow otworzył książkę, obejrzał z upodobaniem fachowca. „Ładnie wydane”. Pożegnał się zaraz. Odchodząc, Piotr wiedział, że to już nie da się naprawić. Kim był Korpanow? Któż może wiedzieć co myślał, jaką miał przeszłość? To, co malował, miało ostre, chorowite barwy — gestapowcy z pejczami, upiory więźniów w pasiakach, stopy nagich trupów w sinym, żółtym i zielonym oświeceniu. Kompromis między dążnością do ekspresji i fotograficznym stylem sowieckich ilustracji. Fałsz, krokodyle łzy? Piotr pamiętał Ural. Ale zbyt, jak mu się zdawało, rozumiał mechanizm życia tam, w Rosji, aby nie odgadywać z malarstwa Korpanowa jego dążeń idących zawiłą drogą. Przypomniawszy sobie pierwsze po latach spotkanie z właścicielką domu od której pożyczył książkę. Zostało to zapłacone. Zachował się wobec Korpanowa tak samo jak tamta dama wobec niego. Więzy pomiędzy nim a tymi, od których jak sądził, już się odciął, były silne, te same reakcje.

Pił jak inni, starając się zagłuszyć obrzydzenie, które było zamać przez wątpliwość czy ma do niego prawo. Postępowanie tych ludzi było poniżające, ale przede wszystkim dlatego, że, nienawidząc, pochwalali i pochwalając tym więcej nienawidzili. Jednak czy naprawdę uzasadniona była ta nienawiść jaką czuł w sobie samym patrząc na wielką pięść pułkownika kiedy opuszczała się na stół przy słowach „My moguczy”? Skąd bierze się ta pogarda wobec Rosjan? Uczucia narodowe? Ufać im? Ulegać siłom tradycji? Dama wobec niego, on wobec Korpanowa. Schematyzm emocjonalny trafiający w próżnię, podległość bezsensownym odruchom. Jeżeli tak myślę, czy nie dlatego, że siła jest dla mnie realna? Razem z tym coś jak mdłości od zapachu nieświeżego mięsa.

Zarumienione twarze pochylały się nad talerzami, jedli żarłocznie, smakując, dyskutując o dawnych, przedwojennych gatunkach mięsiwa i napitków. Już ściągnięte emocją rysy rozplýwały się w rozmarzeniu sytości. Tu i ówdzie zaczynało opowieści na ulubiony temat — o rodzajach śmierci, która dosięgła znajomych i przyjaciół. Wtórowały tym opowieściom głośne rechoty. Czy naprawdę śmiech jest zawsze znakiem triumfu tych którym mogłoby się zdarzyć to co się zdarzyło innym, a nie zdarzyło się? — pomyślał.

Czy śmiejąc się wyrażają przez to swoją radość że im się udało?

„Naturalnie, pierwszą nagrodę powinien dostać Leon — słyszał koło siebie. — To rekord olimpijski. We wrześniu 1939 roku, we Lwowie, akurat weszła Czerwona Armia, zatrul się grzybami. Umrzeć z zatrucia grzybami! Taka wzniosłość, takie lekceważenie historycznych wydarzeń! Cóż za spryt, czy ktoś mógłby go o to posądzić?”

Wychwytywał znane mu nazwiska, które pamięć łączyła ze zdarzeniami, z tym a tym dniem, przyjęciem, spotkaniem... „kazali wszystkim mężczyznom ubrać się i wyjść. Roman jak stał, w piżamie, uciekł na strych. Karol posłuszny, ubrał się i zeszedł na dół. W Oświęcimiu żył trzy miesiące”. „Zawsze był porządny i pilny” — śmieli się. „Za jego zdrowie”. „Za jego zdrowie”... „Mówiłem jej, tłumaczyłem, że to pułapka. Nie, uparła się. Mogła mieszkać spokojnie, papiery miała murowane, z powierzchowności nikt by nie zgadł, że jest Żydówką”. Nagle Piotr zobaczył ją — było to na parę miesięcy przed wybuchem wojny. Grała w sztuce „Nasze miasto” Thorntona Wildera. Amerykański podłotek z zadartym nosem jedzący lody. „Powiada mi, że ci, co wyjechali z pierwszą partią, są już we Francji, w Vittel, przyszły od nich kartki, dostają czekoladę — cze-ko-la-dę! — trząsł się aktor Karcz. Ja jej, że głupia. Ona że nie, że ocenia to jako jedną szansę na sto, ale że ma dosyć tego życia, że to śmiertelna nuda”. „Pieniądze jej się skończyły?” — „Bzdura, miała pieniądze, przyszła do mnie, elegancka, nowa torebka, buty ze świńskiej skóry. Nuda, no. Pokazuje paszport Hondurasu. Zgłosiła się. Wykończyli ich gdzieś w Niemczech”... „Nie był wcale w ghetcie, umarł bo zaciął się żyłką, zakażenie krwi”... „Z Oświęcimia zabrali ją do Ravensbrück”. Ale o tych wszystkich, co znikli bez śladu tam, którzy mieli mniej szczęścia niż Piotr? Nie, o nich wspominać nie należało. Więc odtąd zawsze przemilczenie, spontaniczność uczty podszyta rozumą, utajona cenzura działająca nawet w stanie opilstwa, języki rozwiązujące się do ustalonych obaw granic? Wiedzieli wiele i, tak wiedząc, zachowywali się jak uczestnicy spisku.

Widział, że Julian jest zajęty rozmową z mężczyzną w kurtce wojskowej bez oznak. „Nazywa się Wolin — zapytany Bunio przeciągał z lubością półgłosem, jak zaw-

sze kiedy sytuacja dostarczała mu złośliwej uciechy — mówi, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Czym był dawniej, nie wiadomo. Podobno bił się w Hiszpanii. On jest z tych co będą robić porządek. NKWD. Pomaga organizować Urząd Bezpieczeństwa. Umówiłem się z nim na wódkę, naturalnie". Właśnie wtedy tamten, jakby zgadując, że rozmawiają o nim, spojrzał w ich stronę. Było to spojrzenie szybkie, przytomne, izolowane od otoczenia. Wśród rozciągniętych w śmiechu ust, gestykulujących rąk, stukających o siebie kieliszków, które tańczyły przed Piotrem, sine oczy, które zatrzymały się na nim miały w sobie chłód górskiego szczytu. Trwało to sekundę, nagle trzeźwiejąc poczuł przykrość że jest tu współnikiem czegoś co Wolin sądzi.

„...Przychodzę do niego — ktoś obok opowiadał — i pokazuję zapotrzebowanie do kasy państwa. Zaraz, powiada, to ja zaraz. To może dostanę od was, ministrze, podpis, żebym mógł podjąć w kasie? Nie, nie trzeba, nie ma jeszcze żadnej kasy. Tu kasa. I wyjmuję z kieszeni wypchany portfel. Kasa państwa w portfelu. Ha! Ha!" Przechylając się w tył, oddawali się hałaśliwej wesołości. Wolin przebiegł oczami po nich i już znów tłumaczył coś Julianowi, ważąc w dłoni zapalniczkę.

Rozmawiano o wróżbach. „Mnie wróżka nic nie chciała powiedzieć. — Bunio garbił się z wyrazem smutku. — Powiedziała tylko jedno zdanie: „do osiemdziesiątego roku życia będzie pan jadał w dobrych restauracjach". Gajewicz kiwał głową z aprobatą. „To się sprawdza, ale czasem na odwrót. Na przykład Tadeusz. Ostrzegaliśmy go, to on w kółko to samo — nie boi się Gestapo, wróżka przepowiedziała trzydziestego maja jego ślub. Aresztowali go trzynastego maja. Rozwalili dokładnie trzydziestego. Wróżka pomyliła linie miłości i śmierci".

Śmiech Bunia z absurdu świata miał w sobie odcień zadowolenia z potwierdzonej ciągle na nowo tezy. Tarł twarz pokrytą ciemnymi plamami i pił wódkę ze szklanki od sodowej wody. Przysunął się do Piotra i powiedział niespodziewanie: „Ty widziałeś już to wszystko. Teraz to się powtarza. Będą więc się i grać grę. Wierzaj mi, ja jestem uczciwy. Ja nie kłamię. Jedyna rzecz, którą umiem, to zabawnie pisać. I będę pisać dla każdego kto zapłaci. Tak

było zawsze, jak świat światem, z pisarzami. Reszta to załganie”.

Pijaństwo wchodziło w fazę uścisków i serdeczności. Korpanow, który poprzednio rozmawiał z sąsiadem o Goyi, siedział teraz milczący, melancholijny. Dokoła chwalono nawzajem swoje wiersze i książki. „Ależ to jest najlepsza powieść ostatnich dwudziestu lat!” „Zawsze mówiłem, że poza nami kilkoma literatura nie istnieje!” „Jak możesz porównywać siebie z Tomaszem, jego styl to próchno”. „Józiu, za to żeśmy przeżyli, prosit”. „Piję zdrowie najsławniejszego poety naszych czasów”. Kogoś wyprowadzano, ktoś kłócił się z kelnerem, żądając jeszcze alkoholu. Na zaplamionych kawą obrusach wokoło przepełnionych popielniczek wałały się niedopałki.

Wstawali od stołu chwiejąc się na nogach, stąpając niepewnie. Powietrze przejrzystej nocy odurzyło Piotra, oparł się o framugę. Grupki wychodzących nikły, gadając, w pustej ulicy. Uświadomił sobie, że przez cały czas przyjęcia myślał o tym co się teraz działo w Warszawie i że gniotące go obrzydliwe niedomówienie z tym właśnie było związane.

Spostrzegł, że obok niego Korpanow, sam, z rękami w kieszeniach, gapi się na gwiazdy. Powiedział do niego:

— Nie lubię bankietów.

I stosując wyuczony sposób ograniczonej prawdomówności, uzupełnił wytłumaczeniem:

— Człowiek na nich zapomina o tym, że ciągle jeszcze jest wojna.

— Uhu — odpowiedział Korpanow.

CZĘŚĆ DRUGA

„Korkirejczycy wyrzekli się zamiaru wyważenia drzwi, dostali się na dach, wycięli w stropie otwór przez który obrzucili tych we wnętrzu strzałami i pociskami. Nieszczęśliwi chronili się jak mogli; wielu z nich zadało sobie śmierć własną ręką, podcinając sobie gardło strzałami które ku nim padały, wieszając się przy pomocy rzemieni od łóżek jakie mogli znaleźć albo przy pomocy sznurów sporządzonych z ich ubrania. Tak oto, przez większą część nocy która okryła tę straszną scenę, wszelkie rodzaje śmierci stawały się ich udziałem i zginęli, bądź z własnej ręki, bądź od ciosów które na nich padały z góry. Z nadejściem dnia Korkirejczycy załadowali ich trupy na wozy i wywieźli je poza miasto. Wszystkie kobiety które schwytano w twierdzy oddano w niewolę.

Taki był los, zgotowany przez partię ludową Korkirejczykom którzy schronili się w góry. Ta godna uwagi rewolucja dobiegła końca, przynajmniej gdy chodzi o obecną wojnę.”

Profesor Gil odłożył pióro i siedział nieruchomo. Ta dziewczyna. Jej biała bluzka, czerwony krawat, ona, jedna z tysięcy chłopców i dziewcząt, których dzieciństwo upłynęło w latach wojny, kiedy decydował się kształt tego, czym miało być ich życie, ich myśl. Przyszła żeby zapytać co znaczy słowo „stoicki”. Potrzebne jej to było do referatu. Mieszkała z koleżanką przez ścianę, ale widywał ją rzadko. Wszyscy oni: referaty, praca, dyscyplina, zebrania, pochody ze sztandarami i z portretami wodzów. W mechanizmie społecznym za wszystko się płaci: dla niej, córki dozorczy, i dla takich jak ona, uniwersytety, przyszłość. Ale nigdy nie pozna tego, co on sam znał kiedyś w młodości, niepokoju wymykającej się prawdy, która jest jak dotyk nieprzetłumaczalny na słowo. Joanna umarła walcząc przeciwko hitlerowcom, ale w istocie broniąc tej

dziewczynie dostępu do uniwersytetu: gdyby nie nowy system, córce dozorca byłoby może równie trudno wydość się na powierzchnię jak kiedyś jemu. I nic nie znaczy, że Joanna nie chciała bronić złego porządku. Obiektywnie, jak dziś się mówi, broniła. Obiektywnie? Dał jej co mógł dać. Lata minęły, wiele lat, ale nie zniknęła pamięć jej ręki oplatającej mu szyję, kiedy siedziała, mała, poważna, na jego kolanach, słuchając opowieści o greckich herosach i półbogach. Dał jej poczucie tajemniczości świata i tajemniczości historii. Uczyl ją chwiejności i zmienności ludzkich miar, w obliczu których jedynie ważny jest akt, jego intencja, rzucana na nieprzewidywany osąd potomnych. Wychował ją do nieustającego zainteresowania sprawami ludzi i tą nieznaną przyszłością, której nie zdobywa się inaczej niż poprzez decyzję każdej chwili. Dana mu była nagroda szczęścia miłości między ojcem i córką, codziennych wzajemnych zwierzeń o pracach i nadziejach. Gdyby wtedy, przed wojną, wysłał ją, jak chciał, do Szwajcarii, nie zdarzyłoby się to. Ale łączyło ich zbyt wiele, jej studia, jej pomoc w jego zatrudnieniach. I teraz, tyle razy, w nocy, na pograniczu snu i jawy, widział jak rozpada się w ziemi materia ciała Joanny, mały drobny szkielet oddalający się w minione wieki ludzkości. Tukydydes. „Ta godna uwagi rewolucja dobiegła końca”.

Miary. Mając przed sobą dziewczynę w białej bluzce i czerwonym krawacie wiedział jak ona patrzy na niego: śmieszny odsunięty profesor, reakcjonista, nieszkodliwy, niech sobie żyje, nie rozumie nic z wielkości nowej epoki. Burżuazyjna mądrość, można z niej korzystać, ale ostrożnie. Pojęcia umierają, na długo, jak kiedyś w zmierzchającej Grecji, a kiedy są na nowo podjęte, przypomniane nie są już tym samym, zmienił je bieg Heraklitowej rzeki. To, co było w nim, w Joannie, wróci nie prędko, już inne. Ale temu dziewczątku nie umiałby już nic wytłumaczyć. Nie rozumiałaby go, gdyby jej mówił, że nowy świat w który wierzyła jest dlatego światem okrutnym, iż brak mu szacunku wobec złożoności człowieka, szacunku, który być może winien nazywać się pobożność. Nie rozumiałaby też gdyby podał w wątpliwość to, co stanowiło teraz podstawę wychowania: wiarę w naukę, która odkrywa prawdę absolutną historii. Marks, brodaty obrazoburca, niszczyciel absolutnych prawd, wielbiciel Ajschylosa, czyż mógł przy-

puścić, że w jego imię pokolenia będą maszerować w kar-
nych kohortach, przekonywane przez tych co posiadli siłę
o wiedzy, która nareszcie stała się udziałem ludzkiego ga-
tunku? Wiedza, niewzruszalna, dlatego, że wsparta siłą,
że według tej wiedzy siła jest potwierdzeniem najwyższym,
koło bez wyjścia genialnego Hegla. Za czterysta, za pięć-
set lat, uśmiech politowania będzie pojawiał się na twa-
rzach tych, którzy będą wymawiali słowo: „Weltgeist”.
Tak, ale zanim to nastąpi, nie będzie znana litość; żadnej
innej drogi dokonania niż poprzez ślepą wiarę, tym razem
przybraną w naukowe ozdoby. Wracająca potrzeba fana-
tyzmu, jego użyteczność. Jeżeli ci wszyscy młodzi, tacy jak
ta dziewczyna, byli szczęśliwi? Odbierać im pewność, bu-
dzić burze, które śpią, nieświadome siebie samych, w ich
sercach — jakież prawo?

Trudna do zniesienia była pogarda. Pogardzano takimi
jak on i musiał to akceptować. Nie tylko to: termin „men-
talność drobnomieszczańska” obejmował przecie wszyst-
kich, którzy nie okazywali całkowitej aprobaty. Jego i tych,
których uważał za swoich wrogów. W pierwszych latach
po wojnie, kiedy nie umiał jeszcze znieść samotności, odwie-
dzał znajomych, którzy, jak on, zamieszkali w tym zruj-
nowanym mieście, skąd wygnano niemiecką ludność. Nad
ciastkami i filiżankami kawy szeptano z gorączkowymi wy-
piekami ostatnie wiadomości z zagranicznego radia i opo-
wiadano o bolszewickim rządzie złośliwe dowcipy. Żalсна
głupota tych ludzi, tej warstwy skazanej na zagładę, była
dla niego wyrzutem sumienia: oto ci, którzy byli odpo-
wiedzialni za porządek rzeczy w kraju przed wojną, za
wszystko co było dla niego wstrętne. Od podobnych im,
kiedyś, w młodości, doznał upokorzeń, których nigdy się
nie zapomina: syn galicyjskiego chłopca, przepychający się
przez uniwersytet mocą swego zdrowia i uporu, nie umie-
jący się zachować, nie wiedzący co począć z rękami. Póź-
niej był ich: profesor. A teraz w dodatku jeden z opornych.
Stowarzyszyć się z nimi, znaczyło podtrzymywać fikcję
przynależności do tego środowiska. Przestał utrzymywać
stosunki, nie bywał nigdzie. Ale związek z nimi trwał,
narzucony przez tych, co zarządzili: można było być tylko
za, albo przeciwko. Nie liczyły się niuanse.

Jego koledzy z uniwersytetu jeden po drugim proklamo-
wali swój akces do zasad marksizmu-leninizmu-stalinizmu.

Skłaniała ich do tego nie tylko troska o utrzymanie katedr. Nie mogli znieść pogardy, zaczęli ją okazywać sobie samym; jeżeli byli oporni to czy nie dlatego że, nie wyznając sobie, byli zdeterminowani klasowo? Uniknąć hańbiącego — we własnych oczach — spadnięcia w otchłań, gdzie wydziedziczeni wspominali dawne, dobre czasy i czekali przyścia Amerykanów, można było tylko w jeden sposób — przyjmując całkowicie ortodoksję. Zresztą pomagano im w tym, ułatwiając stopniowe, bezbolesne, przejście.

Dziewczyna w białej bluzce i czerwonym krawacie była mu bliższa niż ci, z którymi przed wojną wymieniał uprzejmości i uściski rąk. Oto marzenie spełnione: uniwersytety otwarte dla chłopskiej i robotniczej młodzieży. A jednak nie, to było poza tym, za co płaci się najwyższą cenę.

Za oknem zegar na poszczerbionej gotyckiej wieży wybił godzinę. Nie lubił tego miasta. Cały jego środek był dotychczas płatawiskiem ruin, spalone zostało w 1945 roku przez Czerwoną Armię, która tu oblegała Niemców. Chodził na spacerzy nad brzeg kanałów, stawiając wielkie kroki, w pustce, która zawsze tutaj, na wiosnę czy jesienią, miała te same barwy: chorowitej trawy, zardzewiałych żelaznych sztang, których skrócone końce wyłaniały się z ziemi, rozsypującej się cegły. Tu, koło tego miasta umarła mu żona, zaraz po wyjściu z obozu, do którego wywieźli ich z Warszawy. Przyjął to wtedy prawie obojętnie, był słaby i myślał, że dla niego również to było kwestią dni. Ale tyfus go oszczędził. Później stąd wyruszył na poszukiwanie Joanny i wrócił w te zrujnowane ulice nie bardzo wiedząc czemu. Dlatego, że trzeba było dokąś wrócić.

Decyzje? Rozwinęło się to przecie automatycznie. Wykładając, mówił o czym był przekonany: że perspektywa w jakiej widzi się wypadki historyczne zmienia się bez ustanku i że przeszłość, jak biedne upiory Hadesu, odżywa na chwilę tylko kiedy jest karmiona krwią współczesnych. Przeszłość Grecji była wskrzeszana wciąż inaczej i za każdym razem służyła do wsparcia tez, dyktowanych przez namiętność historyków. Starał się przekazać studentom na ile niebezpieczeństw jest narażone poszukiwanie prawdy, jak nikłe jest i zarazem jak wspaniałe jej światelko, płomień świecy, którą wciąż gasi wiatr. Nie cofał się przed mówieniem o Marksie. Jeżeli, według niego, prawda jest

narzędziem klasowej walki, to czyż, kiedy powstanie nowe społeczeństwo, i zniknie potrzeba walki, nie musi ukazać się oczom ludzkim nieprzeczuwany jeszcze obraz zjawisk? Usunięcie go z katedry odbyło się grzecznie. Umotywowano to nie tyle wiekiem — pięćdziesiąt osiem lat to było za mało — ile przejściem przez obóz koncentracyjny i potrzebą odpoczynku. Teraz znów, jak ciągle od tamtej chwili, zadawał sobie pytanie: czy była w tym jego decyzja i czy naprawdę liczył się z odebraniem mu katedry, czy też zapomniał o takiej możliwości, biorąc zbyt poważnie okres przejściowego liberalizmu? Znaleźć odpowiedź było ważne. Ale nie można było jej znaleźć.

„Podrywanie wiary w zdolność poznawczą rozumu ludzkiego. Szerzenie burżuazyjnego agnostycyzmu i obiektywizmu”. Taka, wiedział to, była diagnoza jego choroby. Granice pomiędzy zwolennikami względności moralnych i intelektualnych ocen, których uważał za hańbę dwudziestego wieku i tymi, którzy jak on, starali się zniszczyć jak najwięcej fałszu stojącego na drodze do poznania — były przez rządzących celowo zatarte. Ale własna szlachetność była wątpliwa. Być oddzielnym od tych dziewcząt i chłopców w czerwonych krawatach znaczyło być oddzielnym od życia, jakiego, mniejsza o to, ale życia. Izolacja, czy chciał czy nie chciał, już go kształtowała, słowa, które się nie rodziły, ciągle spędzanie myślowego płodu, zatrzymywały wewnątrz. I oni, stworzywszy takie warunki, aby mieć rację, mieli rację: kto był przeciwko nim, cofał się, kto chciał iść naprzód, musiał ich religię przyjąć.

Czy pozostał przez to wierny Joannie? Jej śmierć była fizyczna. Było to zatrzymanie w punkcie czasu. Ale on, przez swój wybór, próbując zostać kim był, nie zostawał kim był. Nie idzie się bezkarnie przeciwko rytmowi otoczenia. Wtedy, kiedy wyszedł z rodzinnej wioski do miasta, pełen woli walczenia o postęp, nie spodziewał się, że kiedyś spotka go taka porażka.

Poczuł chłód, wiosny tych lat były leniwe i bezsłoneczne. Obciągnął swój sweter i spostrzegł, że znów zapomniał poprosić o nici i przyszyć guzik. Wziął pióro.

„Partia arystokratyczna została, rzecz to można, zniszczona. Ateńscy zwrócili żagle ku Sycylii, pierwotnemu celowi ich wyprawy.”

AŻ DO ELBY

I

Dopiero w kwietniu Piotr Kwinto przyjechał jeepem do Warszawy. Przedmieście Praga było takie, jakim je znał przed wojną. Brudne czynszowe domy, między nimi drewniane, wykrzywione ze starości baraki, długie proste ulice zabrukowane niechlujnie okrągłymi kamieniami, wiatr (zawsze tu wiatr) wzbijający wiry piasku i śmiecia. Tylko przełamane wieże kościoła św. Floriana i bryzgi pocisków na niektórych murach przypominały o działaniach wojennych. Ale Praga była inna. Jej główna ulica zmieniła się w bazar i koczowisko. Sowieckie dziewczyny, w wypchanych obfitymi piersiami bluzach, regulowały ruch; wojskowe ciężarówki, jeepy, pordzewiałe samochody służące dawniej za taksówki, riksze, ręczne wózki; tłum: sowieccy piechurzy, tankiści, enkawede, kobiety w chustkach, w narciarskich butach, z plecakami, cywilni obdarcy mężczyźni z workami, polscy żołnierze — wszystko to kłębiło się, sprzedawało i kupowało koszule, samochodowe opony, konserwy, sztuki materiału, wódkę, ręczne harmonie, kalesony, radia, popalone książki — bogactwa zebrane z ruin po drugiej stronie rzeki i zagrabione w Niemczech. Przy bramach niektórych domów stały warty: nowy rząd przeniósł swoją siedzibę do stolicy i umieścił swoje dopiero tworzone urzędy w ciasnych mieszkaniach robotniczego przedmieścia. Ulica dygotała od wrzawy. Ciężarówki zatrzymywały się przy chodnikach i gromady chłopców, służąc szoferom za zapowiadaczy, wrzaskiem zachęcały przechodniów: „Już odjeżdżamy, już odjeżdżamy, Warszawa, tylko dwadzieścia od łebka”. Szofer Piotra kłął. Ulica wiodąca ku miastu była zapchana kolumną pojazdów, która poruszała się powoli, znów przy-

stawiała, znów ruszała tylko na chwilę, zdawało się że będą musieli czekać długie godziny. Piotr zabawiał się obserwowaniem tego co działo się przed nimi: widział tył ciężarowej platformy, na której leżało kilkanaście opon. Żołnierz sowiecki gramolił się na platformę, spadał, ruchy jego były niezgrabne jak na zwolnionym filmie. Wreszcie znalazł się na górze i próbował stoczyć jedną z opon; był jednak zbyt pijany, przewracał się na oponę, opona toczyła się na niego: grał z wysiłkiem woli cyrkową groteskę nieudanej kradzieży.

Dosięgli teraz rzeki. Wiosenne, strzępiaste obłoki, wiatr swobodnej przestrzeni, filary zwałonych mostów. Rybitwy ze skwirem krążyły nad mokrymi łąkami. Po drugiej stronie, w zimnym słońcu, zygzakowata linia ruin. Ich kolor, nie wiadomo dlaczego, przypominał mięso. Końskie mięso — skojarzenie bezsensowne, bo w istocie odcień był jaśniejszy. Piotr mrużył oczy i próbował rozpoznać znane mu dawniej gmachy. Ale nie mógł ich odróżnić; chaos ostro osypanych ścian, dziur, ukośnych pęknięć, plam. Tylko czternastopiętrowy budynek przy placu Napoleona wznosił się nad tym pasmem; stracił dawną swoją wysmukłość, wyglądał jak poobgryzany kaczan kukurydzy. Przejechali przez drewniany most; chwiało się, chodziło na boki, nadmiernie obciążony — jedyna teraz arteria przez rzekę; zbudowali go sowieccy saperzy. Przy wyjeździe z mostu, z wysokich słupów patrzyły ku nim twarze członków nowego rządu, olbrzymie, nieudolnie namalowane na płaszczyznach z desek. Ciężarówka, wypełniona zbitą masą stojących kobiet i mężczyzn, którzy obejmowali się wzajemnie żeby nie upaść — wyglądało to na serdeczny uścisk — skakały, zakręcały, nikły wśród dekoracji rumowisk. Piesi, obładowani tobołkami i walizkami na rzemieniach, meblami, pracownicy darli się pod górę wśród pojazdów po pochyłej jezdni.

Piotr nie bardzo wiedział gdzie się skierować. Nie było adresów, nie było twarzy, telefonów — nic, tylko ulice. Ale te też zaledwie istniały. Na miejscu dawnych jezdni wąska ścieżka, którą wydeptali wracający do swoich dawnych siedzib ludzie i ubili wojskowe samochody. Jeep spadał w dół, ślizgając się po osypiskach, to znów wspinał się na wysokość dawnego drugiego piętra. Pył cegły zgrzytał w ustach. Słodki zapach trupów, rozgrzanych ciepłem wiosny leżał strefami. Zbliżając się do ulicy przy której

Piotr mieszkał przed wojną, natrafili na nierozebrałe jeszcze barykady. Zostawił jeep i poszedł dalej pieszo.

Kostka bruku była zerwana. W piasku stały naprędce sklecone drewniane krzyże. Parę grupek ludzi zajętych było kopaniem. Usta i nosy mieli przewiązane chustkami. Kobiety przykłękały na brzegu dołów zaglądając do środka. Zatrzymał się nad jednym z tych dołów. Wiązka szarych szmat, skrecony zarys ciała roztapiającego się w brudną maź i tylko jasne, płowe włosy nietknięte przez zniszczenie. Długie bruzdy na twarzy kobiety, łzy spadające powoli. Antygona zawsze szuka swego Polinika. Przez wieki szuka Polinika. Ułożą tę wiązkę kości na płachcie, poniosą trzymając za krawędzie. Idąc zaciągał się papierosem, żeby zagłuszyć uporczywy odór.

Cisza. Przez niekształtne otwory w tych podartych, zwierzęcych skałach, błękitne niebo. Nie ma ptaków — zauważył. Stał przed swoim domem: zachował się prawie cały, był tylko spalony. Podwórze poryte lejami od bomb, na miejscu dawnego trawnika, groby. Hełm na jednym z nich. Stojąc pośrodku gapił się w górę, ku pustym oknom. Wtedy zauważył dym. Szedł z blaszanej rury sterczącej nisko ze ściany. Już znów mieszkali tu ludzie. Stary mężczyzna z dużymi wąsami wynurzył się z piwnicy wlokąc za sobą jakieś pogięte żelastwo. Spojrzał na Piotra obojętnie.

— Co stało się z tymi co tu mieszkali? Czy pan stąd? — zapytał Piotr.

Wiedział, że matka jego żyje i jest w jednej z podmiejskich miejscowości. Ale znał tu wielu, śledził ich codzienne sprawy, interesował się tym, co im się przydarzyło.

— Ja spod dziesiątego. Nie znałem tu. Moja żona lepiej wie, chodziła tu na posługę.

Stara patrzyła na Piotra jakby był przedmiotem. Co oni wszyscy mają? Jakby sami byli spalonymi szkieletami domów. Spokój zniszczenia.

— Czy pani wie może co się zdarzyło z Krajewskim? Na pierwszym piętrze.

— Krajewski? — szukała w pamięci. — A, był taki. Ale nie wrócił po trzydziestym dziewiątym. Mówili, że w Anglii.

— A Gontar?

— Ja znałam. Nie wiadomo. W Dachau. Żona i córki tu mieszkały, ale zabiło.

— Znała pani Martyniaka?

— Tego drukarza? Wyprowadził się. Gestapo szukało.

— A co się stało z Urbańskimi?

Piotr lubił przesiadywać w pracowni Urbańskiego, która mieściła się w podwórzu na parterze. Miarowy rytm hebla, zapach drzewa, muskularne ręce dotykające desek ze znawstwem i upodobaniem. Urbański kochał swoją pracę. Kiedy dostał nowy rysunek stołu czy tapczanu dyskutował to z Piotrem, śliniąc gruby stolarski ołówek i stawiając na papierze tłuste, proste krechy. Heblując, pijąc, gadał bez przerwy; były to opowieści i bajki z jego rodzinnych stron, z zapadłych leśnych okolic na pograniczu Prus Wschodnich. Żona jego miała włosy koloru lnu i czarne oczy; trzy małe córeczki były do niej zupełnie podobne. Kiedy zdarzało się, że przychodził do nich wieczorem, stawiała przed nim herbatę, siedziała szydełkując, i czasem tylko na moment podnosiła oczy, bystre, rozumiejące, świadczące, że słucha i że ma o wszystkim swoje zdanie.

— Urbański. To już dawno. Wzięli go w czterdziestym w łapance, na ulicy. Umarł w Oświęcimiu. Żona i córki, to jak prawie wszyscy tutaj.

— Co jak wszyscy?

Stara pokazała palcem ziemię.

— Mówili, że ten dom niebezpieczny. Słaby, nie wytrzyma bomby. Stąd prawie wszyscy uciekli pod szesnasty, do piwnicy w tym wielkim domu. No i padła tam ciężka bomba, żywcem zasypało. Leżą tam dotychczas. Kto to potrafi rozkopać. Na miesiące pracy.

Idąc środkiem ulicy Piotr rozpoznał z daleka miejsce. Wysokie rumowisko złożone z płytów muru. Uświadomił sobie, że oczy Urbańskiej pojawiały mu się nieraz w jego wędrówce. Ten spokojny blask lampy i ukradkowe spojrzenie milczącej kobiety. Wszystko co jest niszczone. Wieczór w pogodnej rodzinie, po dniu pracy. Czy oczy Urbańskiej nie były czasem dla niego znakiem z odległej ojczyzny, samym krajem rodzinnym? A jednak powinien był przyjechać do Warszawy. Zdjął wojskową czapkę i stał myśląc o cierpieniu ludzi konających.

II

Major Baruga szedł ulicą przedmieścia Praga w stronę Komitetu Centralnego Partii. O kilka metrów za nim stał wysoki chłopak w wojskowej pelerynie, z automatem przewieszonym przez pierś. Baruga nie lubił przyznawać się przed sobą, że dba o swoje bezpieczeństwo; tym mniej przyznawać się wobec innych. Ustąpił naleganiom przyjaciółki. Przydał mu się ten chłopiec. Kilka miesięcy temu, jeszcze w Lublinie, ocalił go od aresztowania, które mu groziło, jak wszystkim żołnierzom z AK. Nastroszony i nieufny wobec strasznych bolszewików, ten dzieciak powinien być być przede wszystkim zostawiony w spokoju. Dał mu miejsce do spania w ich domu i pozwolił mu przysłuchiwać się dowoli dyskusjom i utarczkom, w które obfitowała jego codzienna praca organizatora wydawnictw. Ten sposób był najlepszy. Stopniowo, kiedy tamten zaczął zadawać nieśmiałe pytania, wziął go na rozmowy. Mały przywiązał się do niego wierną, niemal psią miłością. Trudno było sobie wyobrazić lepszą niż on ochronę. Tacy jak on byli dla Barugi powodem do dumy. Umiejętności wychowawcze uważał za niezbędną cechę dobrego komunisty. Poza tym ci ludzie, których wydobywał ze zdziczenia wojennych lat i którzy traktowali go jako wielkiego człowieka, stanowili tak mocne potwierdzenie jego ambicji.

Wciągał w płuca wiosenne powietrze. Olbrzymiość wydarzeń i fakt, że idzie tu, ulicą tego miasta, zniszczonego, ale już odtąd należącego do jutra, do nowej ludzkości, były upajające. Gdyby tylko starczyło życia na tę nieskończoną niemal ilość zadań. Ale wynajdą coś żeby życie ludzkie przedłużyć. A gdyby wtedy przed wojną, w chwili zwątpienia, kiedy zdawało mu się że faszyzm zwycięży, wyemigrował, jak chciał, do Wenezueli? Chwila błędnej decyzji zdolna jest wtrącić w nieszczęście na całe życie. Kim byłby dzisiaj? Wracałby tu, pokornie skamłając, że stchórzył, że się pomylił.

Schody w gmachu gdzie mieścił się Komitet Centralny były brudne, pokryte plwocinami i resztkami zdeptanych niedopałków. Trzaskały drzwi, echo niesło gwar głosów. Kiedy powiedział swoje nazwisko osobnikowi, którego mus-

kulatura rozsadała za ciasną czarną marynarkę, nie czekał długo.

Sekretarz generalny podniósł się zza biurka i zrobił ku niemu parę kuśtykających kroków. Przed wojną uciekał z więzienia i dosięgły go w nogi kule więziennych strażników. Jego proletariacka twarz miała na sobie piętno wielkiego zmęczenia. Tylko oczy, ciemne, patrzące intensywnie, użyczały jej blasku. Żółty odcień skóry, łyse okrągłe czoło i usta między bruzdami nadawały jej wygląd twarzy gнома. Baruga zapadł się ciężko w fotel z którego poręczy wyłaziły paprochy. Opierał o kołnierz munduru połażdżone wole z blizną po operacji tarczycy.

— Hm. Mówiliśmy o sytuacji. I proszę was, ja dzisiaj przychodzę do was w konkretnej sprawie. To się łączy. Ja gotów byłbym tablicę przygotować i zawiesić: kto jest przeciwny taktyce rozładowania jest przeciwny w ogóle jakiegokolwiek taktyce. Tak.

Sapał. Sekretarz generalny wyciągnął do niego papierosnicę, sam wyjął papierosa i zamknął ją z trzaskiem. Kiwnął głową. Baruga rozpiął kołnierz munduru, który go uwierał.

— Co tu gadać. Wy to rozumiecie. Bo byliście tu, w kraju, w najcięższym okresie. Oni nie chcą zdać sobie sprawy z układu sił za okupacji. Ale kiedy ma się przeciwko sobie czołgi, nie wykopać rowów i nie zbudować zapadni, to nie odwaga. To nonsens. Trudno, przechodzimy namiastkę rosyjskiego 1917 roku, w skrócie. To narzuca środki.

Sekretarz generalny palił nerwowo, gryząc munsztuk papierosa. Miał pionową zmarszczkę między brwiami.

— Ja zrobiłem wam prasę — mówił Baruga nie wymawiając r. — I będę robił prasę, dopóki tak chce Partia. W tej robocie potrzebuję pomocy. I muszę zwracać się do was i do towarzyszy. Ja, proszę was, robię co mogę.

— Wiecie sami, że jesteście niezastąpieni — powiedział sekretarz.

— Kucharke mojej stołówki zapisali do PPS. W sklepiu — Baruga sapał ze śmiechem — w sklepikach werbują członków. No, powiedzmy, przywódcy ich prawicy albo nie żyją albo uciekli. Bardzo dobrze. Teraz cała swolocz rzuciła się już do nich, bo to partia pa-trio-tycz-na i równocześnie legalna. To też dobrze. Tymczasem będę

miał problem izolowania wszystkiego co myśli i pisze od partii chłopskiej.

Gnom za biurkiem machnął pogardliwie ręką. Baruga wychylił się z fotela.

— Ale nie o to chodzi. Chodzi o to że piorunochronów jest za mało. Samo to rozbite miasto — pokazał okno — to czynnik psychologiczny — przeciwko nam — potężny. Decyzja umieszczenia rządu, choćby tu, na Pradze, wspa-
 niała. Ale to podziśla później. Jest cały ciężar przeszłości. No, wybijają nam ludzi.

Sekretarz generalny powiedział nie podnosząc oczu:

— Pomiędzy koniecznym zastraszaniem i chwilowymi koncesjami musi być zachowana proporcja.

Baruga poczerwieniał. Takie odgradzanie się, ze strony tego zwolennika „narodowego frontu” i to wobec niego, było zbyt ostrożności. Zachrypiął:

— Dla mnie, proszę was, to nie jest ustępowanie przed wrogiem klasowym. Moja rzecz to dbać o psychologiczne warunki. Nasze środki kształtowania świadomości przez byt będą niemal nieograniczone. Nieograniczone. To jest cel terroru. Przez przepaść — wybaczenie mój dziennikarski styl — muszą być przerzucone kładki, w tych punktach, w których to dla nas wygodne. Ze strachu muszą wejść na te kładki. Jeżeli nie ma wyjścia, idą do lasu.

Sekretarz generalny patrząc w okno, zapytał:

— Rozumiecie chyba konieczności chwili? Przypominam wam, że wojna trwa.

Znów ten sam chwyt, zasłania się imputując mi fantazje, pomyślał Baruga. Powiedział leniwie:

— Środki *en masse* są niezbędnym tłem. Dzięki nim stwarza się strach. Ja, cóż, jestem tylko propagandzistą. Mnie interesują kładki. W danej chwili konkretna sprawa.

Gnom obrócił przenikliwe oczy ku niemu.

— Ja, proszę was, mogę się mylić — powiedział Baruga. Ale wydaje się, że jestem konsekwentny jeśli chodzi o program towarzysza Lampego. Nauczyliśmy się nie lekceważyć nacjonalizmu. Ani religii.

Bojąc się, żeby nie spłoszyć (Rozpacz z tymi czystymi. Zawsze zapóźnieni. Jedyne narzędzie jakie znają, to lewica.) podparł:

— Stanowisko Politbiura nie ulega wątpliwości. W cią-

gu najbliższych lat w tym kierunku wszędzie pójdzie taktyka. My mamy kraj trudny, a zrobiliśmy za mało.

Sekretarz generalny bawił się popielniczką. Wstępy Barugi były zwykle podobne.

— Ja wam proponuję. Naturalnie, to musi być uzgodnione. Przedstawię to towarzyszom. Dałoby się, jeżeli zechcecie, zmontować specjalne pismo, które by pomogło atmosferę rozładować. Front katolicki i nacjonalistyczny jest zaniedbany. Dać ujście ich sentymentom i stworzyć ich ugrupowanie w naszych rękach. Zależy mi na waszej opinii. Jeżeli uważacie to za dobre, na waszym poparciu.

— Konkretnie, jacy ludzie? — zapytał sekretarz generalny.

— Nie wiem czy was poinformowano. Radzieckie bezpieczeństwo zwróciło się do nas z propozycją. Są zdania, że ptaszek, którego mają, może nam być użyteczny. Naturalnie — Baruga wzruszył ramionami — możemy nie skorzystać. Znać to nazwisko. Michał Kamieński.

Sekretarz generalny zerwał się zza biurka. Wsadził ręce w kieszenie i obszedł pokój swoim uginającym się krokiem kaleki. Przypominał Barudze krawca, który mu robił ubrania przed wojną, żółtkę za warsztatem biedaka, który miał w dzieciństwie połamane nogi w jakimś wypadku.

— Ten ideolog faszyzmu i antysemityzmu? Najczarniejsza reakcja jaka jest w tym kraju? To po to robi się obławy na głupich szczeniaków z AK, żeby jego wypuszczać? Do czego my dochodzimy!

Baruga powiedział flegmatycznie.

— Ma nazwisko. To się liczy. I walczył w powstaniu na Starym Mieście. Bardzo dobrze. Nasi przyjaciele poznali się na tym, co może być wart. Gdyby nie, nie zaprzęтали by sobie nim głowy. Możemy go mieć. Przyciągnie innych, takich jak sam.

Sekretarz, siadając, rzucił gwałtownie:

— Żeby jeszcze jeden praktykował makiawelizm, czekając na powrót lepszej koniunktury?

Baruga zaśmiał się gardłowo.

— No, nie. Ja was przepraszam. Obrazowość to moja choroba. Mucha siada na lepie tylko na chwilę ale lep ją już ma. Najpierw oszukują nas, potem siebie, potem gubią się w podwójnej grze. Przekształcenia psychiczne są nieuniknione. My mamy klucz.

Usta sekretarza ułożyły się w wyraz goryczy.

— Co za naród! Gdziekolwiek tknąć tam faszyci, nacjonaści, religianci, gracze. Zazdroszczę Jugosłowianom. To szczęście mieć miliony oddanych i wypróbowanych ludzi. My musimy lepić gmachy z gówna.

To jednak prawda, że ten człowiek adaptuje się do rządzenia za powoli — stwierdził Baruga. Zastyganie w pewnej postawie, rewolucjonisty, musi mieć przyczyny. Prawdopodobnie identyfikacja z własnymi sloganami. Niedostateczność intelektualnego treningu.

Sekretarz powiedział boleściwie:

— Oczywiście, uznaję potrzebę dywersji. Zgadzam się, że należy wyłuskiwać grupki i izolować. Obawiam się tylko, że to broń obosieczna. Chciałbym usłyszeć co o tym myślą inni towarzysze.

Baruga był zadowolony. Sekretarz musiał się z nim liczyć, jeżeli przechodził w szlachetny ból, to było dostateczne. Poza tym miał już poparcie ważniejszych niż sekretarz osobistości. Wszystko było jasne. To samo powinno być robione, wcześniej czy później we wszystkich krajach odebranych. Zresztą nie robiłby żadnych posunięć gdyby nie rozmowa z Tuchanowym.

— Miałem coś do was — sekretarz przewracał kartki notatnika leżącego na stole. — Aha, to. Meldunki o pierni na ziemiach zachodnich. W Eichenbergu. Trzeba ją uratować. Tylko szybko. Czy macie kogoś pewnego?

Wydzieranie maszyn z gardła Rosjanom. Jeszcze jeden wewnętrzny konflikt czystego rewolucjonisty. Dokąd go to wreszcie zaprowadzi? Odpowiedział:

— Naturalnie, dziękuję wam za wiadomość. Zaraz kogoś wynajdę i do was przyślę.

— Partyjny i energiczny. Żeby nie żaden z tych co się boją.

Znosząc ciężkie ciało po schodach, Baruga robił przegląd spraw jakie miał jeszcze do załatwienia tego dnia. Jakie było przeciętne trwanie życia ludzkiego na przykład w Średniowieczu? Pewnie czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Śmieszne. Człowiek powinien żyć trzysta, czterysta lat. Ale jeżeli nauka będzie opóźniona w stosunku do tego przełomu jakim jest przejście od pre-historii do świadomej

historii kształtowanej rozumem? Jałowość starości? Nieprawdopodobne.

Przystanął i poczekał aż zrówna się z nim chłopak w wojskowej pelerynie.

— Ty pamiętaj. Ziarno z którego wyrasta drzewo jest drobne i nikt by z jego wyglądu drzewa nie odgadnął. O roku 1945 będziesz opowiadał wnukom.

III

Kiedy znika potrzeba obronności, jakież spokój. Piotr zaplótł ręce pod głowę, patrzył na matkę przez półprzymknięte oczy. Jak w dzieciństwie, kiedy miał grype, była to wyrwa w linii upływającego czasu. Siedziała teraz przy jego łóżku, mieszała mu herbatę, którą postawiła na stoliku. Sama chwila spotkania była dla niego żenująca. Jej płacz, jej niepowściągnięta uczuciowość przypominały mu te dawne okresy, kiedy jej się wstydził, a właściwie wstydził się siebie samego znajdując w niej te same cechy fizyczne i tę samą, jak mu się zdawało, egzaltację jaka była w nim. Nie wiedział czy taki wstyd jest właściwy wszelkim stosunkom dzieci z rodzicami. Być może zawsze rodzice ukazują się dzieciom jako karykatura pewnych przekazywanych nowemu pokoleniu rysów i skłonności. Albo zdarzyło się to tylko jemu z jego matką. Ale kiedy tu, koło niego, po prostu istniała, znów powracał wstecz, w błogość, w bezpieczeństwo.

Ręce matki były pokryte reumatycznymi guzłami. Kości policzkowe wystawały bardziej niż dawniej — te wystające kości policzkowe po niej odziedziczył. Starzała się źle — jej twarz, zawsze wyglądająca na młodszą niż wypadło z wieku, miała się, traciła elastyczność, nie zyskując żadnego nowego rytmu. Ciemna suknia była pocerowana. Tę suknię pamiętał. Teraz nie miała innej: wyjechała w niej tu z Warszawy na parę dni i wybuchło powstanie. Jej gardło pracowało jakby przetykała niewymówione słowa. Jedyne jej dziecko żyło, zostało jej wrócone. Opowiedzieli sobie nawzajem co się z nimi działo w ciągu tych lat. Odnalezienie się ich dwojga czym innym być mogło jeżeli nie cudem.

— Wypij, to pomoże. Dorzuciłam suszonych malin. Dałabym ci aspiryny, ale nie ma. Wyciągnęła ku niemu filiżankę.

— Ludzie są źli. Już doktorowa robiła mi przytyki z powodu twego munduru. Ale ja wiem, że twój ojciec by ciebie nie potępił. Takie straszne czasy.

Pił i myślał o nieosiągalnej tęsknocie swego życia. Ojca pamiętał tylko jako coś dużego, ciepłego, emanację radosnej siły, wielkie chropawe drzewo, obejmujące go gałęziami. Ojciec zginął na wojnie kiedy Piotr miał sześć lat. Burżuazyjna Europa próbowała wtedy coś zrobić na miarę swoich możliwości, odgadując w rosyjskiej rewolucji zagrożenie. Udawało się jej wtedy co nieco. Władzy bolszewików obalić nie umiała, ale zatrzymani zostali w bitwie pod Warszawą. Gdyby nie to, Piotr byłby inaczej wychowany i nie znałby wielu konfliktów. Choć kto wie. Nie znałby także wielu innych rzeczy, złych i dobrych. Ojciec osierocając go, pozostawił mu ślepe dążenie, dziecinny płacz z powodu jakiegoś braku, który jest zbyt nierealny aby go określić. Sprawiał również — jak inni jemu podobni — że Piotr chodził do szkoły, w której mówiło się dużo o cywilizacji zachodniej, o krajach, które są „antemurale christianitatis”, gdzie łacinę uważano za jeden z ważniejszych przedmiotów a spośród obcych języków wyłączano rosyjski. Dwadzieścia cztery lata upłynęły od chwili kiedy szrapnel sowiecki zabił ojca. Miał wtedy tyle samo mniej więcej lat, co teraz Piotr. Dzisiaj jego przegrana była zupełna. Antemurale christianitatis stawało się antemurale nowej wiary. A jednak ten czas który kupił, jakoś się liczy. Inne chemiczne związki, inne koleje ludzkich losów, inny ogólny rachunek. Nie wiadomo, czy ojciec zakosztował już dzisiejszych konfliktów. Wtedy był dopiero ich początek. Choć może tak. Podobnie jak tragiczny Piłsudski, nieulekły rewolucjonista w młodości, który później, kiedy był dyktatorem, mawiał o sobie, że zatrzymał na krótko koło historii.

— Piotrusiu, powiedz mi, co to będzie. Naród ich tak strasznie nienawidzi. Modliliśmy się o wyzwolenie i przyszło wyzwolenie — nowa okupacja. Zrobią nas którąś tam ich republiką.

Piotr odstawił filiżankę i podciągając kóldrę pod brodę smakował ciepło rozchodzące się po całym ciele. Ale rów-

nocześnie z tym ciepłem, matką i kręgiem lampy trwał w nim obraz tego, co było za oknami domu. Po południu wyszedł na chwilę. Włożył wiatrówkę, którą kupił na Pradze, nie było sensu paradować tutaj w mundurze i ściągać niechętne spojrzenia. Niebrukowana ulica tego letniskowego miasteczka była pusta. Krzywe sosny stały nad wydrami sypekgo piasku. Po surowym niebie wlokły się obłoki. Mały chłopczyk siedząc w kucki, przesuwając drewniany samochód, mrucząc do siebie. Był mizerny, jego gołe kolana były sine od chłodu. Ubrany był w wyszarzałą kaptkę. Piotr przykucnął przy nim i zapytał gdzie mieszka. Malec, nie podnosząc głowy, pokazał domek z czerwonej cegły wyrastający z nagiej wydmy. „Tam mieszkam, z mamą”. „Czy nie masz taty?” „Mój tata musi się ukrywać. Przychodzi czasem, w nocy”. Piotr pogłodził go po płowych włosach. Szedł dalej z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową. Wszędzie to samo. I te lata, które tu wszystkim, nawet dzieciom, narzuciły pojęcie „ukrywać się” jako coś naturalnego. I zarazem dziecko nie bardzo pojmując, że on mógłby być też niebezpieczeństwem. Piotr wyglądał przecież jak ojciec i mówił po polsku.

— Ja wiem — mówiła matka. — Wierzej mi, ja czuję. Ja czuję wiele rzeczy. To nie może dobrze się skończyć. Teraz rozwieszają te narodowe sztandary. Mamienie ludzi. To będzie przepaść, bez zatrzymania, miałam taki sen.

Sny i przeczucia matki były dla Piotra zawsze powodem do refleksji. Kiedy jedli śniadanie, on przed wyjściem do szkoły, ona przed wyjściem do biura — opowiadała mu i interpretowała co jej się śniło. Może to były przesady. Sama odnosiła się do tego tylko na pół poważnie — ale jeżeli w nim samym była jakaś intuicja, która pomagała mu wydobywać się z niebezpiecznych sytuacji — to różniąc się w gatunku, nie różniła się w istocie od wierzeń matki.

— Piotrusiu, przeszedłeś przez to wszystko szczęśliwie i jesteś tu. I teraz mogę ci powiedzieć jedno: uciekaj. Nie oglądaj się na mnie. Nie trzeba żebyś tu zaczynał na nowo życie. Mnie nic nie potrzeba, ja dam sobie radę. Uciekaj, bo będzie za późno.

Uciekać. W bydlęcym wagonie, który wioził go na Ural, marzenie jego i wszystkich współwięźniów. Tam, w obozie, odważanie szepem możliwości: żadnych szans. Zawiść ro-

syjskich współtowarzyszy do nich, kiedy przyszła amnestia. Nigdy już nie mieć z Rosją nic wspólnego, wydostać się, za wszelką cenę. Oczywiście poszedłby do londyńskiej armii. Teraz byłby na Bliskim Wschodzie, albo w Italii. Ale wypuszczono go za późno, armia była już w Persji. I cały spryt, balansowanie na linie z myślą że nowa, czerwona armia jest drogą na zachód. Teraz tutaj, w rodzinnym kraju, śledził w sobie tak sprzeczne odruchy. Wstręt i gniew. Jeżeli tu ma powtórzyć się wszystko co ustaliło się tam? Uciec byle gdzie, najdalej, do Australii; robić byle co, zapomnieć. Ale tu był przecie jego kraj. Jeżeli jest, choćby jakakolwiek, słaba nadzieja, że tu powstanie coś innego? Będą etapy i wysiłek milionów ludzi, którzy są jak on. Czyż należy ustępować emocjom powstającym w chwili chaosu, zniszczenia, rewolucji? Czy należy własne życie planować — obliczając co się stanie za pięć, dziesięć lat? Matka wypowiadała jego najbardziej ukrytą myśl. I robiąc to ukazywała mu jego własne tchórzostwo.

— Nie wiem, mamó. Teraz jest stan przejściowy, dużo się zmieni. Tylko że nie zmieni się tak, jak wielu tu myśli. Na Zachód nie ma co liczyć. To zależy od nas, tutaj. Może uda się stworzyć jakiś socjalizm. W takich warunkach w jakich się da. Nie mogą nas tak łatwo strawić.

Uśmiechnęła się z politowaniem:

— Czyż ciebie nie rozumiem Piotrusiu? Ja jestem głupia, nie znam się na tych filozofiach. Ale ty chcesz siebie przekonać że co jest to samo, nie będzie to samo. Bo jednak ci tutaj lepiej, niż tam w Rosji. Człowiek myśli miejscem. Tu nasze tajne organizacje czytały listy niemieckich żołnierzy ze wschodniego frontu do rodzin. Przeklinali kraj morderstw i okrucieństw, tęsknili do *gemütlich* firanek i kwiatów. Tylko że te morderstwa i okrucieństwa sami popełniali. Miejsce za to musiało być odpowiedzialne.

Szukał określenia patrząc w deski sufitu.

— Ale co zrobić, mamó, jeżeli jest jakieś dno — ubóstwa, ucisku, poniżenia — i jeżeli tylko dosięgając takiego dna ludzie zmieniają świat? To, co było przed wojną, wydaje mi się niepoważne, motylkowate, fałszywe. Nie wiem co gorsze — czy tamto, czy ta żelazna filozofia komunistów. Próbuje pojąć i nie mogę. Tam zrobili ohydną parodię. Ale teraz jest cała Europa, otwarta dla nich. Musi z tego kiedyś wyjść coś nowego.

Usta matki zacisnęły się surowo.

— Co się zaczyna kłamstwem, będzie kłamstwem. Twój ojciec cieszył się kiedy wybuchła tam rewolucja. Carat obalony. Ty dobrze wiesz sam, co to jest. Mówisz tak tylko. Jakbyś mówił inaczej, nie wy dostałbyś się stamtąd. Kto mówi, zaczyna myśleć jak mu potrzeba.

Nie, nie był jeszcze w tym stadium. Ale nawet wobec matki nie odstępiał dziwaczego toku swego rozumowania, które było jak skomplikowany mechanizm, pełen wzajemnie zazębionych kółek, funkcjonujących, zdawało mu się, niezależnie od niego. Ten mechanizm odczuwał jako coś obcego, ale równocześnie wiedział, że nie należy przeciwko niemu się buntować: w tym, że kiedyś zdoła rozwikłać rolę poszczególnych jego części, zawarta była jego nadzieja. I rozdwojenie — na publicznie wypowiedane słowa i jasno pracującą myśl, która je odmierzała jako część, tylko część prawdy, było możliwe dzięki tej nadziei. Było to ciągłe zyskiwanie sobie czasu.

— Nie próbuj być inny niż jesteś. Jesteś ten sam, mój syn — otulała go kołdrą. Modlitwa matki wiele może. Teraz powinienes się spocić, przejdzie ci ten katar.

Słyszał jak krząta się, ścieląc swoje łóżko.

Próbował dosięgnąć wymykające się jak zawsze sformułowanie. „Czy zgasić światło?” — zapytała. „Dobranoc, mamo” odpowiedział już przez sen.

IV

Nie było tu nic. Olbrzymia przestrzeń płaskich rumowisk leżała w zimnym świetle ranka. Przechodziły po niej cienie podartych chmur. Małe trąby ceglanego proszku zrywały się tu i ówdzie z nagich wypukłości między ławicami zeschniętych chwastów. Wiatr rozwiewał czarne włosy Bruna. Otarł chustką czerwony nos i czyścił uważnie okulary.

— Widzisz — powiedział do Piotra. To się nazywa zrównać z ziemią. Żeby nie zostało śladu. I moje miejsce było tu. Ale nie byłem tu. Ani kiedy ich wywozili, ani

kiedy oni bronili się w tym rozpaczliwym powstaniu. I kto przeżył, przeżył jak ja. Za cenę złamania solidarności.

Piotr milczał. Nie wyobrażał sobie tak ruin ghetta. Obrzydliwość spustoszenia, całkowita, systematyczna.

— Tam, po aryjskiej stronie, zdychałem co dzień ze strachu. Jakby mnie wzięli, ginąłbym ze wstrętem do siebie. Nic, nawet akceptacji wspólnego losu. Żyję. I wierzę mi, ja wiem. Za to się nigdy im tutaj nie zapłaci. Nie ma ludzkiego sposobu.

Piotr wziął go za rękę. „Bruno, nie wolno ci tak mówić. Masz obowiązek, możesz zapłacić”.

Bruno spojrzał na niego zza okularów.

— Powinieneś zrozumieć co się stało. To nie wielu rozumie. Bo wielkie katastrofy są słabo widoczne dla ludzi co są za blisko. Trzeba czasu. Stało się to, że mój naród nie istnieje.

Nigdy dawniej podobne słowa nie mogłyby paść z ust Bruna. Nie podkreślał ani w rozmowach ani w tym co pisał swojej żydowskości.

— Mój naród nie istnieje. Naród Żydów polskich. Było ich trzy miliony. Ginęli jak ci tu, albo jak tam, w galicyjskim miasteczku, moi rodzice. Wszystko, co było nieskończoną zapowiedzią, łańcuchem nieurodzonych pokoleń: wielcy uczeni, artyści, pisarze, którzy mogliby być a nie będą. Wszystko co najlepsze. A kto się uratował? Trochę tych co mieli pieniądze. Trochę takich jak ja, zasymilowanych, już swoich, już prawie aryjskich. Za cenę złamania solidarności.

Piotr wstrząsnął jego ręką.

— Jak tak możesz, Bruno. Każdy kto teraz tu żyje, żyje za cenę jakiegoś tchórzostwa. Ja też. Każdy.

Bruno zrobił przeczący ruch głową.

— Nie, ja jestem winien. Podwójnie. To co pisałem przed wojną było słomą. I słuchając co nocy podkutych butów na ulicy zrozumiałem że było słomą. To przerażenie: jeszcze mieć czas, jeszcze naprawić. Stworzyć coś wartościowego, zostawić ślad. Ale chcąc żyć, chcąc mieć czas, przekreślałem równocześnie wartość tego co mógłbym zrobić. Bo jeżeli moje książki były złe, to dlatego, że udawałem w nich że nie jestem kim jestem.

— Będziesz pisać i przekażesz światu.

Szli brzegiem usypisk. Zobaczyli daleko dwóch mężczyzn kopiących zawzięcie.

— Szukają złota. Albo może odkopują swoich. Umarłych, z ich powstania. Mówisz: światu. Patrz: tam była ulica Nalewki. O niej powinienem być pisać. O jej codziennym życiu, jej nędzarzach żywiących się śledziami, byle dzieciom dać wykształcenie, o tragedii, wiecznej tragedii narodu.

— Jesteś świadkiem.

Bruno zatrzymał się.

— Józef Flawiusz po zburzeniu Jerozolimy? Kto odważy się na to? Wyjechałbym stąd. Nie mogę tu myśleć, za blisko. Ale nie wypuszczą mnie. A emigrować nie chcę. Język polski to moja ojczyzna. Nie potrafię pisać w żadnym innym języku.

Wielki budynek stał samotny, twierdza wśród fal zniszczenia.

Bruno pokazał go:

— Widzisz, więzienie ocalało. Więzienie było potrzebne. Zawsze jest potrzebne. Pamiętasz Tadeusza? Kiedy go aresztowali, zachowywał się dzielnie. W celi zorganizował wykłady. Czego? Mitologii greckiej. I tak go wzięli na rozwałkę, z opowiadania o Andromedzie czy Minosie. Rozstrzelali go w ruinach ghetta. Zawsze był filosemitą.

Tadeusz, mały, z kaczym nosem, czarnym kosmykiem opadającym na czoło, poeta satyryczny. Ten, któremu wróżka pomyliła linie dłoni i trzydziestego maja spotkał śmierć zamiast miłości.

— I co zostaje, dla mnie — powracał do wątku Bruno — to telepanie się przez jakiś czas. Ci, co ocalili, przybrali inne, słowiańskie nazwiska. Albo teraz przybierają nowe. Żeby zatrzeć, żeby się nie odróżniać. Nie tylko to. Także ukryty wstyd. Swojej chęci życia nadawali wobec samych siebie różne nazwy. Tylko nie będąc Żydami mogą dalej żyć. A ci co zostali Żydami, wyemigrują.

Piotr patrząc na Bruna czuł się winien. Co za przekleństwo. Człowiek jest igraszką społecznych sił. On był igraszką. Wtedy, przed wojną, zapominał. Był antysemityzm, marsze Falangi, rozbijanie żydowskich sklepów. Czy robił coś, czy przeciwdziałał dostatecznie otwarciu? Nie. A przecie był człowiekiem nie najgorszej woli. Tak mu się zdawało. Czyż miał prawo podawać w wątpliwość tę filozo-

fię, która uczy o tajemniczych wpływach środowiska rozkładających niepostrzeżenie?

— To może lepiej dla tych co przeżyli że są jak Julian Halpern — powiedział.

Bruno kiwał się, idąc z rękami założonymi w tył.

— Lepiej? Może. Kwestia żydowska to był epizod w walce z faszyzmem. O tych, tutaj, można będzie mówić i pisać jako o ofiarach faszyzmu, bojownikach. Ale to nie jest cała prawda. Przyjdzie chwila, kiedy ten, kto będzie ich wskrzeszał, spotka się z gniewem. Jeżeli będą istnieć, żywi we wspomnieniu, prawdziwi, to źle. To będzie nazywane żydowski nacjonalizm, Dewiacja. Ja będę próbować.

Piotr zapalał papierosa osłaniając płomień zapalniczki dłońmi.

— Dla mnie to wszystko razem jest za wiele.

— Zmieniłeś się — uśmiechnął się Bruno. — Wszyscy zmieniliśmy się. Ale jak ciebie znam, będzie ci trudno. Tutaj, w tym kraju, każdy nosi w sobie jakąś odrazę do samego siebie. Powinieneś wyjechać. Przynajmniej na jakiś czas.

Czy jest coś zaraźliwego w powietrzu, czy to panika towarzysząca zawsze pochodowi tej wschodniej siły, zbiorowa, której jednostki poddają się na zasadzie prawa społecznej osmozy? Budziły tę panikę w nim słowa Bruna.

— Wiesz Bruno, że świat poza tym w czym znaleźliśmy się, przestał dla nas być realny.

— Są gdzieś Alpy — Bruno oglądał chmury nad pustynią ghetta, jakby widział tam łańcuchy górskie. — Żyłem w czterech ścianach, torturując siebie moimi myślami, wychodziłem rzadko, bo mój wygląd jest niepewny. Jeziora przezroczyste, wielka ziemia.

Od dawna Piotr nosił w sobie to słowo: zapomnieć. Zapomnieć o smrodzie więzienia, o tym co widział tam, na Wschodzie, o Warszawie, o ghetcie. Ale czy jest zapomnienie? Tam, nad przekleństwami strażników, nad drutami kolczastymi obozu, nad nędzarami bijącymi się o kość, o spleśniały suchar, stały w blasku, niebieskie i różowe, czyste, góry Uralu. Wielka ziemia?

— Ty mógłbyś to załatwić — powiedział Bruno. Już zaczynają szukać ludzi do pracy za granicą. I nie mają. Cała ta dawna inteligencja nie nadaje się do użytku. Spróbuj porozmawiać z Barugą.

W górze samolot błyszczał w słońcu idąc na zachód. Bruno stał z zadartą głową na tle pustyni rumowisk, czarny, chudy.

— Berlin pada — mówił jakby odczytywał z nieba. Historia. Ale kto może powiedzieć czy bieg przyszłej historii nie byłby zmieniony gdyby wolno było narodzić się jakimś ludziom, których już nigdy nie będzie.

V

Z lasów i zarośli koło szosy słyszać było rozpaczliwe ryczenie krów. Błąkały się, do nikogo już nie należące, z wymionami opuchłymi od niedojonego mleka. Wzywały ludzi. Ale ludzi nie było. Białe domki niemieckich bauców stały puste, ich podwórza zasypywał śnieg rozprutych pierzyn. Wojska szły na zachód. Sowiecka piechota kołysała się w drobnym, przenikliwym deszczu, żołnierze okryci derkami drzemali siedząc na lawetach dział, leżeli gęsto ściśnięci na ciężarowych samochodach z amerykańską gwiazdą. Patrzyli apatycznie na masę poruszającą się w przeciwnym kierunku. Były to długie rzędy jednokonnych wózków wlokących się krok za krokiem. Konie były zaprzężone na sposób rosyjski. Na wózkach piętrzyły się łóżka, materace, radia, miednice, maszyny do szycia, na tych stosach siedziały opatulone chustkami kobiety, lejce trzymał zwykle stary wąsaty mężczyzna. Deportowani na roboty do Niemiec, powracali teraz na wschód, tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące kilometrów, nad brzegi Donu i Wołgi, wioząc ze sobą to co udało się zagarnąć. Przed nimi były tygodnie, miesiące podróży. Stada bydła szły zmęczone, ciężko stawiające poobijane racice. Poganiał je rosyjski chłop w watowanych sowieckich spodniach, w owijaczach, w furażerce, ramiona okrywał kocem albo wojskową pełeryną. Czasem zganiał do stada bezpańskie krowy, które przyplątały się na brzeg szosy. Żołnierze jadący na zachód rzucali zawistne uwagi ku innym, tym, co wracali na ciężarówkach wyładowanych łupem wojennym. Metalowe rury, części kotłów, zwoje kabli, dynama, obrabiarki — wszystko co można było naładować z ocalałych fabryk pokry-

wał *bric-à-brac* przedmiotów codziennego użytku pochodzących z niemieckich domostw.

Piesi szli grupkami. Ubrani byli w pasiaki, w stare podarte mundury różnych armii, w cywilne ubrania za obzerne albo za ciasne. Otaczali ręczne wózki wypchane walizkami i węzełkami. Na niektórych z tych wózków, na tykach, mokły w deszczu niezgrabnie uszyte chorągiewki francuskie, węgierskie, włoskie. Żydzi, podobni do widm, kuśtykali w obozowych drewniakach albo starych buciorach; ich ogolone, spiczaste głowy na chudych szyjach rzadko były okryte więzienną mycką. Obojętni na pogodę, dążyli przed siebie, jak najdalej od miejsc kaźni, z której wybawiło ich nagłe załamanie się frontu. W tłumie pieszych nie było kobiet. Te nie odważały się wychodzić na szosy.

Polscy jeńcy trzymali się razem, zachowując coś w rodzaju porządku i komendy. Dawało to im nieco poczucia bezpieczeństwa. Większość z nich miała na sobie przedwojenne mundury, połatane i pocerowane. Byli to ci, którzy przebywali w niewoli od 1939 roku. Cywilnymi płaszczami odróżniali się od nich żołnierze AK. wzięci w Warszawie po upadku powstania. Wywieziono ich do różnych obozów na obszarze Reichu; znaczna ich ilość znalazła się na terenie wschodnich Niemiec, zdobytych teraz przez Czerwoną Armię. Jeńcy maszerowali ponurzy, każdy z nich z poczuciem, że jego myśli krążą w kole bez wyjścia. Przed nimi był ich kraj i nadzieja zobaczenia rodzin. Ale równocześnie, mijając nieskończone kolumny wojska, rozumieli, że zagłębiają się tam, gdzie ten co ma wojsko będzie sprawował władzę. Nie pozwalali sobie zgadywać co ich czekało. Doszły ich już wieści o aresztowaniach. Tam, na linii frontu, była jeszcze możliwość ucieczki. Ale zdarzyło się to wszystko tak szybko. Nie wiedzieli czy tym z ich kolegów, którzy wyruszyli na zachód w ostatnich dniach rozprężenia, udało się dotrzeć do Amerykanów.

Stefan Cisowski, zwany Foką, miał obtarte nogi. Zaczyna się to od dziury w skarpetce i źle dopasowanego, zbyt luźnego buta; później trwa i zwiększa się ból, aż zagarnia całą świadomość, a każdy kilometr staje się problemem woli. I ten problem przesłaniał wszystko, a konieczność ruchu sprawiała że był, po raz pierwszy od wielu miesięcy, obojętny na słyszane rozmowy. Te obracały się

dokoła niepewnej przyszłości, choć już przezorność i obawa, że ci którym się ufało, mogą jutro okazać się niebezpieczni, zamykały usta. Były to też rozmowy o matkach i żonach, o niecierpliwości i oczekiwaniu. On już niczego nie czekał. Jakakolwiek nadzieja wydawała mu się sprzeczna z samą zasadą świata, który ściga zemstą ludzkie pragnienia. Kiedy był mały, zatrzymywał się często przed cukiernią, i z nosem przylepionym do szyby, oddawał się rozmyśleniom o smaku niedostępnych ciastek. Bał się poprosić ojca o pieniądze. Ten zrobiłby mu wykład o tym jak powinno zachowywać się dziecko tramwajarza-proletariusza i o tym, że pieniądze są dla młodszego rodzeństwa. Później, kiedy zarabiał, kiedy w latach wojny studiował na podziemnym uniwersytecie, mógł kupić dość ciastek; ale trzeba było żeby wszystko przychodziło za późno, kiedy już zostało pozbawione wartości. Teraz kończyła się wojna i przed nim nie było nic. Czy brat jego i siostra żyją? Wymiotło ich w początku wojny gdzieś do strefy rosyjskiej, nie wiadomo, może są w Rosji, może w Anglii czy na Bliskim Wschodzie.

Nie było Warszawy. Nie było Katarzyny. A przecież wierzył mocno — i w tym był błąd, wykroczenie przeciwko zasadzie świata. Troszczył się o to, aby dotrzeć do niej, zdawało mu się, że przeznaczenie jego tylko może ścigać, nie ją, że ona trwa i czeka. W ten podstępny sposób pozbywał się niepokoju o nią. Kiedy wyszedł z kanału i leżał na płytach chodnika w Śródmieściu znajdował potwierdzenie swojej ufności. Nigdy w życiu nie przeżył równie nagłego odczucia niebywałego piękna jakie miało w sobie normalne miasto. Były tam zielone drzewa, dziewczęta szły pod rękę z żołnierzami Armii Krajowej, słychać było na ulicach radio nadające piosenki i komunikaty. Zdawało mu się, że zakończył sen pełen koszmarów i nigdy już nie będzie wracał ku niemu wstecz. Joanna, Bertrand i Gdula błedli, rozpływali się, zatarci przez radosne życie. I tylko kiedy zbliżał się do domu, w którym mieszkali z jej matką, poczuł strach. Na pierwszym piętrze usiadł i próbował uspokoić bijące serce. Zadzwoił i kiedy spojrzał w twarz jej matki, zrozumiał.

Ze Śródmieściem stało się w kilka tygodni to samo co ze Starym Miastem. Miasta ludzkie są nietrwałe. Każde uczepienie się czegoś na ziemi jest nietrwałe. Walczył, po-

dobno dzielnie. I aby stało się jak trzeba, na opak, nie zginął. W obozie miał czas torturować siebie do woli. Aby pełne było jego poczucie winy, łączył śmierć żony z nocą którą spędził z Joanną. Zdumiewał się, że mógł o tym nie pomyśleć: że przez zdradę wzywał kary losu. Porównywał daty. Nie. Katarzyna zginęła przenosząc rannych dzień przedtem nim zdarzyło się to z Joanną. Ale być może liczy się intencja, gotowość złamania wierności. A przecież wtedy — czemu nie czuł że robi coś złego, żaden wyrzut sumienia nie manifestował się nawet w jego ciele. Zdradził Katarzynę, zdradził, wypuszczając ją, Joannę — ale czy mógł jej nie wypuścić? — zdradził Gdulę zostawiając go na wykończenie. W obozie wszyscy od niego stronili. Sami zachowywali się podobnie jak on — ich słowa pełne były goryczy i bólu, kłócili się i żarli. Milczał, ale jeżeli odzywał się, jego sarkazmy były wściekle i celne. Raz, kiedy coś powiedział o Polsce i powstaniu, jego sąsiad uderzył go w twarz. Wynikła z tego sprawa honorowa, załatwiana zawile i długo przez sąd kolegów.

Szosa wiodła przez okolice pagórków, jezior, polodowcowych kamieni. Wieczorem schodzili na boczne drogi. Noce spędzali w farmach, których właściciele uciekli; gdzieś tam natykali się na przerażone rodziny, skwapliwie pokazujące, że nic już nie zostało, że wszystko zostało zabrane. Dziewczęta były zmęczone, obojętne, gotowe kłaść się na skinienie. Z tej nagłej pokory herrenvolku można było czerpać satysfakcję. Ale nie było w tym żadnego smaku zwycięstwa, jak to sobie w zamknięciu roili. Już budziło się coś w rodzaju litości — choć żaden z nich nie przyznawał się do niej głośno. Piekli na ogniskach krowie mięso, nocą ustawiali warty, z kijami, w braku broni.

Od pierwszych domów miasteczek ciągnął zapach spalenizny. Wypalony był zawsze środek miasta. Dokoła czerwonych ścian gotyckiego tumu, przy rynku, stały już tylko szkielety domów z pokręconymi w ogniu blachami dawnych szyldów. Próbowali znaleźć wytłumaczenie tej powtarzalności. Niektórzy byli zdania, że widać w tym było planową akcję. Inni, że Niemcy musieli bronić się zawsze w śródmieściu.

Zbliżali się do dawnej polskiej granicy. Spotykani miejscowi używali tutaj obu języków. Wśród jeńców tworzyły się konfraternie tych, których celem były te same miasta

i te same części kraju. Mieli już zaraz rozdzielić się i wmieścić się w podróżującą masę ludzką, przedostając się dalej własnym przemysłem. Podobno już chodziły pociągi złożone z towarowych platform na które można się było dostać za cenę wódki. Foka opierał się na leszczynowym kij, który zginał się pod jego ciężarem. Miał w sobie obraz własnych odparzonych nóg i chwila przekłucia bąbli z ropą przedstawiała się jako chwila szczęścia.

VI

Julian Halpern oparty o parapet okna widział prostą, bezbarwną ulicę. To, że udało mu się dostać z przydziału poniemieckie mieszkanie w niezniszczonej Łodzi, było sukcesem. Wszyscy się o to teraz starali, tylko sto pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, tu i tam było centrum spraw, koło których należało się trzymać blisko. Sypiać w czystym łóżku, być u siebie, po tych latach. W szafach znalazł piżamy i ubrania. Nawet mundur SA. Uciekali w popłochu.

W dole chodnikiem szedł Wolin. Był punktualny. Julian zgasił radio i poszedł żeby mu otworzyć. Chodzenie po miękkim dywanie sprawiało mu dziecienną przyjemność. Jeszcze się z tym nie oswoił. Bawiły go pantofle, które niemiecka Frau — Kirche, Küche, Kinder — ozdobiła wyszyciem dla swego małżonka. Wolin powiesił w przedpokoju swój wojskowy płaszcz i rozglądał się.

— No, wszystko w najlepszym porządku. Ekstrakt ich śmierdzącego gustu. A, jest i landszafcik — dotykał obrazu przedstawiającego zachód słońca.

— Portret Führera zdjęłem — śmiał się Julian. — Przyrządę ci kawę.

— Zapomniałem. Coś mam ze sobą. — Wolin wrócił do przedpokoju. — Zrób kawę.

Siedział w fotelu, trzymając wielki album na kolanach.

— Wstrząsy są bardzo pożyteczne. Rzeczy zmieniają właścicieli. Tu w Łodzi można już wszystko dostać. Teraz zaczyna się dopływ z Berlina. A swoją drogą, ci Niemcy pięknie robili reprodukcje. Spójrz.

Pokazywał Julianowi stronę z rysunkiem Dürera.

— Ta twarz chłopki. Życie, realizm. Żadnej tendencji do ładności. I tu — prowadził palcem — ta konsystencja ciała.

Julian nalewał koniak i kawę.

— Baruga odgraża się, że za parę lat jego drukarnie będą wypuszczać najlepsze wydawnictwa artystyczne w tej części Europy — powiedział. Już robi album Korpanowa.

Wolin podnosił do ust kieliszek.

— Baruga. Takich potrzeba. Dziś.

— Cóż chcesz, — Julian nie chciał się angażować — ma energię.

— Talent dowódcy partyzantów jest potrzebny tylko kiedy prowadzi się wojnę partyzancką — ton Wolina był ostry. — Zgubi go jego indywidualizm. Chce lepiej wiedzieć i zgadywać jak pójdzie linia.

— Dzisiaj wszystko jest improwizacją. Czy dużo jest innych niż on? Jest nas ostatecznie garstka.

— Uznać czyjąś potrzebność nie znaczy zapominać o przyszłości. Tymczasem są koleiny dawnego stylu. Baruga ma ten styl. Szlacheckiej megalomanii.

— Jakie jest właściwie jego prawdziwe nazwisko? — zapytał Julian.

— Sztein. Syn kupca drzewnego. Być może w tym trzeba szukać jego oficerskich i dyktatorskich fasonów. Kompensata. Nigdy od tego się nie uwolni. Teraz każdy dzień to w nim pogłębia. Ten koniak jest całkiem niezły.

— Żołnierze wymieniają wszystko za wódkę. Dałem za niego dwie butelki czystej.

— Handel. Miliony rzuciły się do handlu. Ostatni paroksyzm ich parszywej pasji. — Wolin modelował słowa zaciśniętymi ustami. — Zarobić, przetrwać. Może coś się zmieni. Może wróci dawne, dobre życie: ich wolność. Sklepiki, inwestycje, garnięcie do siebie, do siebie, ciepłko ich betów. Zmieni się! Weźmiemy ich w ręce. Czy wiesz co montuje teraz Baruga?

Julian nie wiedział.

— Muzykę na nacjonalistycznej i katolickiej klawiaturze. Zdarzyło się, że ma rację. To może być użyteczne. Zabiega teraz o szefa ideologii bojówek, Michała Kamińskiego. Trzymają go w mamrze Rosjanie.

Julian gwizdnął.

— Znałeś go? — spojrzał z zaciekawieniem Wolin.

— Naturalnie. Polscy faszyci to jak wiesz szczególna odmiana. Wzniosli, czyści, zapatrzeni w niebo, brudna robota to nie dla nich. Starają się, żeby była zrobiona za ich plecami. Prowadziłem z nim dyskusje o filozofii. Za okupacji proponował nawet że mnie ukryje. Chrześcijański obowiązek. Tylko, że ten obowiązek nie rozciągał się na to, co robili ich oddziały.

— Indywidualnie, co to za człowiek?

— Siła woli. Zdolności taktyczne. Oczytany ale anima naturaliter endeciana. Myśli zamkniętymi kategoriami. Nie pojmuje ruchu zjawisk. Fałszywy wobec siebie, jak to musi wynikać z jego światopoglądu. Nie cyniczny. Naturalnie na swój ruch brał pieniądze od przemysłowców.

— Jeżeli robi się tę grupę — mówił z namysłem Wolin — można przewidzieć mniej więcej jakich użyją sposobów. Przed wojną francuskich katolików uważali za zgniliznę, bo byli silni. Podpierali się czasem Tomaszem z Akwinu, ale już Maritain był dla nich żydokomuną. Teraz z kolei będą jechać na katolickim humanitaryzmie i personalizmie. Rzewne tony.

— Tych naszych tak zwanych lewicowych katolików nie przyciągną. Niektórzy szybko ewoluują do marksizmu. Inni są nieprzejednani.

— Cóż chcesz — Wolin gładził sobie policzek. — Kościół jest siłą. Ale nie w tym rzecz. Trzeba tej całej inteligencji dać trochę ideowego komfortu. Uspokoić rozdarte sumienia. No, przy okazji może uda się Watykanowi ułamać jeden ząbek. Nam teraz potrzeba tylko czasu. Na ogół to gra z takimi jak ten Michał jest wygodniejsza niż ten mały bal z socjalistami.

— To razem jest długa sprawa i niech ich biorą diabli. — Julian założył ręce za głowę i prostował nogi. — Co ważne, to młodzież. Najlepsza przyjdzie do nas i to szybko. Na zasadzie wstrętu do głupoty naszych wrogów. Ci intelektualnie są zupełnie rozbrojeni. Nie mają nic do ofiarowania.

— Jak tam u was na uniwersytecie?

— Chaos i początki. I cóż, jestem przygotowany na to, że przez wiele lat będę musiał oglądać gęby tych co się adaptują. Nie wiem czy spośród wszystkich profesorów

w kraju dałoby się zebrać trzech marksistów. I to takich jak ja — nowego chowu.

— Powinieneś pracować nad tą książką o dialektyce.

— Pracuję. Mam teraz dobre warunki.

— Z socjalistami będą kłopoty — powiedział nagle Wolin. Niby konieczność a równocześnie zaraza. W Partii z tego powodu spadnie niejedna głowa. To przepowiadam. Czy pamiętasz o co ciebie prosiłem?

— A — przypomniał sobie Julian. — Te detektywne powieści. Pamiętam, ale nie mogłem jeszcze znaleźć.

Wolin uwielbiał literaturę kryminalną. Mawiał, że nie ma nic dającego równy odpoczynek w tych czasach. Wyławiał ją zawzięcie, obojętne w jakim języku.

— Szukam także dzieł Labiche'a. To rozkoszny autor. Podobno mają wystawić „Słomkowy kapelusz”.

Julian nalał mu kieliszek ale Wolin zakrył go dłonią.

— Nie, nie przebierajmy miary. Zdaje się, że przyjaźnisz się z Piotrem Kwinto? Kwinto, co to za nazwisko? Przybrane?

— Nie. — Julian był lekko zażenowany, nie wiedząc po co Wolinowi ta informacja. — Nazwisko włoskie. Quinto, powinno się pisać przez Q. No, ci włoscy architekci i dworacy tu się osiedlali. To dobry chłopak. Nigdy nie troszczył się zanadto o pieniądze. Feudalne pochodzenie jest lepsze niż drobnomieszczańskie obciążenia.

Wolin przymykał oczy. Feudalne pochodzenie. Zasadniczo mówiło się, że on sam jest z proletariackiej rodziny. Ale dzieciństwo jego upłynęło w wielkim białym domu, który stał w parku nad jeziorem. Jego francuskie guwernantki zabraniały mu paprać się w wodzie kiedy szedł na spacer brzegiem, po ścieżkach wysypanych żwirem. Później nauczył się uciekać, brał łódkę i znikał na całe dni. Już gnębiła go śmieszność otoczenia. Prawdziwe życie było tam, z chłopcami z wioski. Śmieszność stała się jeszcze dotkliwsza, kiedy codziennie rano wysyłano go powozem do gimnazjum w miasteczku odległym o sześć kilometrów. Kiedy miał piętnaście lat, uciekł z domu. Odtąd się potoczyło. Nędza, praca fizyczna, zdobycie świadomości, pierwszy pobyt w więzieniu. Wiele zawdzięczał intelektualnie, więzieniu. Potem przyszła Francja, Hiszpania, znów Francja, Rosja.

— Ci, którzy znaleźli się z nami, mają dużo szczęścia

— powiedział. — Po przeciwnej stronie jest zgrzytanie zębami i z każdym rokiem, z każdym miesiącem większa rozpacz. Przegrywając, nie będą wiedzieli co się z nimi dzieje. Niemal fizyczne. Ssanie w dółku. Powinieneś napisać analizę przegrywającego reakcjonisty. To bardzo ciekawe. Co ten Kwinto pisał przed wojną?

Julian zastanowił się. Wolin musiał znać oczywiście historię Piotra.

— Zajmował się Pawłem Valéry. Sam wiesz dokąd to prowadzi. Jednym słowem był jak całe to nasze środowisko: zawieszone w próżni.

— Artykuły, które pisze, są całkiem niezłe. A swoją drogą nie prędko ktoś pokusi się oświecić Pawła Valéry z marksistowskiego punktu widzenia. Problem jak artysta upadającej klasy kupuje spoistość języka za cenę ucieczki od rzeczywistości. I dlaczego tak się zdarza. Większość z nich ucieka od rzeczywistości poprzez rozpad języka. Quinto. Ten ma na pewno wewnętrzne trudności.

— To zupełnie normalne. Proces dzisiaj we wszystkich jest powolny.

— Tak. — Wolin myślał o pewnej tendencji jaką zauważył w Julianie. Tendencji do przekreślania wobec siebie samego trudności, któreby mogły stanąć na drodze jego ambicji. Dzięki ideologii każdy powinien otrzymać zadośćuczynienie. Na to jest rewolucja. A Julian zawsze wiedział, że należy mu się ta uniwersytecka katedra. — Tak, to jasne. Co mnie bawi, to te kobiety tutaj w Łodzi. Każdy dwór ma swoje *précieuses ridicules*. Już paplają nowymi terminami które połapały z powietrza. Czy widzisz Rudą Manię?

Wolin śmiał się: Julian imitował Manię wchodzącą na polityczne zebranie. Był specjalistą pantomimy.

VII

Drukarz Martyniak siedział na stopniu starego Forda. Szosa była pusta, z rzadka tylko przebiegła koło nich ciężarówka sowiecka. Karwowski, szofer, dłużej w motorze cierpliwie i w milczeniu. Zaczynało się niedobrze. Jeździ

nawalało pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy to co będzie dalej? Martyniak był zły. Nocował na Pradze, żeby wyjechać wcześniej rano i pogryzły go pluskwy. Były ich wszędzie roje. Jakby wyszły w karnym ordynku z palących się domów i skupiły się wszystkie na ocalałej przestrzeni miasta. Poza tym nie mógł sobie wybaczyć: zapominać czegoś zdarzało mu się rzadko. A zapomniał, jak głupi, koperty, w której akurat był bilet partyjny. Wstydził się do tego przyznać, jakby wyglądał wobec towarzyszy podróży. Pozostałe dokumenty, listy, pełnomocnictwa wypisane po polsku i po rosyjsku miał przy sobie. Patrzył na płaskie pola pokryte zieloną runią i ziewał. Mgła poranna opadała, było chłodno.

Jak szybko zmienia się wszystko. Borkowski siedzi teraz w mamrze. Kilka dni temu dowiedział się o jego aresztowaniu. On jest wicedyrektorem fabryki. Powoli, jeszcze nie. Powiedziano mu wyraźnie: „Potraficie ochronić papiernię, żeby maszyn nie zabrali, potraficie puścić w ruch — dobrze. Nie potraficie — trudno”. Ale była szansa. Ci komuniści to jednak nienajgorsi ludzie. Przynajmniej wiadomo co i jak. Zrobić to, zrobić owo, konkretna robota. Wdzięczny powinien być Teofilowi za to, że namówił go do wstąpienia do Partii. „Teraz, bracie, bez partii nic — mówił Teofil. — Kto mądry, zapisze się teraz, kto głupi, idzie do socjalistów. Tu wiadomo, że będzie komuna, socjały nas dość bujali i nie nabujają. A nam, robotnikom, to co? Było źle, gorzej nie będzie, może być tylko lepiej”. I określał sytuację: „Te ruskie to czorty. Barbaria, tylko obsrywać wszystko, kraść i niszczyć. Ale niedoczekanie ich, żebyśmy się im dali. Fabryki nasze, koleje nasze, jak nas będzie dużo partyjnych to my będziemy mieli do gadania, nie oni. Ten sekretarz partii to swój chłop. Dobrze mówi”. Martyniak czytał mowy sekretarza i odnajdywał w nich odpowiedzi na pytania, które go dręczyły w ciągu lat wojny. Nie tylko, również przed wojną. Ale wtedy nie ciągnęło go do komunistów. Dużo wrzeszczeli i tylko to było widać, że są za Rosją. Teraz to wyglądało jakoś inaczej. I sekretarz, który mu sam podpisał pełnomocnictwa, podobał mu się. Czy to słyszane dawniej rzeczy, żeby wielki dygnitarz był zwyczajny człowiek, nie żaden pan z ich fałszywym zachowaniem się wobec podwładnych? Baruga, ten był fana-

beryjny. Ale to nie to, co jakiś Borkowski czy inni tacy durnie.

Długo naradzał się z Teofilem czy umieścić w kwestionariuszach co robił w czasie okupacji. To była paskudna sprawa. Cała ta konspiracja, do której należał, była londyńska, ich pismo nazywało się pismem koalicji stronnictw. Teofil był zdania, że nie należy nic ukrywać. „Nie przynasz się, to i tak prędzej czy później wywają. A powiesz otwarcie: ja nie byłem tam niczym, tylko drukarz, kazali, to było przeciwko Niemcom, więc pracowałem. Świętych nie ma, każdy do czegoś należał. Jakby chcieli przebierać to czystych nie znajdą”. Postąpił jak doradzał Teofil. I to wcale mu nie zaszkodziło. Co prawda, to że wiedzieli było nieprzyjemne. Bo nuż kiedy, w przyszłości? Kto to może przewidzieć? Och, przydało mu się bać, chociaż się przed Gestapo, po to tylko, żeby z tego został smród i ślad w papierach.

Repko trącił go drzwiczkami i wystawił głowę.

— No co, nic?

Karwowski spojrzał znad maski samochodu. Odsunął w tył czapkę i ocierał rękawem czoło.

— Grat. Co można z takim zrobić? Próbuje. Musi pójść.

Repko wylazł na szosę i prostował kości. Jego okrągłą twarz z zadartym nosem była zaspana. Ubrany był w skórzaną kurtkę, którą kupił od lotnika. Była to solidna kurtka. Martyniak ją podziwiał. Płaszcz, który sam skądś wydostał, był za mało ciepły jak na tę porę roku. Repko był towarzyszem z Partii. Spotykał się z nim ostatnio często i zaprzyjaźnił się. Z zawodu Repko był robotnikiem w fabryce żyletek.

— Gdzie inżynier? zapytał Repko.

— Poszedł do wioski coś kupić. Mówi, że trzeba spróbować zabrać jakieś zapasy, tam z żywnością będzie krucho.

— Krucho nie krucho. Potem będziemy się martwić. Głodny jestem.

Wyciągnął pakiet owinięty w gazetę. Scyzorykiem podzielił kielbasę na trzy części. Jedli, siedząc w rowie.

Karwowski młaskał.

— Smaczny chleb.

— Moja żona sama piecze — pochwalił się Repko.

— Sowieccy żołnierze mówią: gdzie zaczyna się biały

chleb i kielbasa, tam zaczyna się Polska. — Karwowski miał pełne usta.

Koło nich przejechała pędem wojskowa ciężarówka. Repko splunął.

— Co te dziady mają. Nie mają żarcia, to maszyny powinni choć mieć. Nie, potrzeba im naszych.

Martyniak był zamyślony.

— Jak tak będziemy stać ciągle, to dojedziemy za rok. Fabryka będzie, ale już w Moskwie.

Karwowski zaśmiał się.

— Ee, nie, jakoś dojedziemy. Ale śmiecie teraz chodzą. Ten Fordziak.

— Czy tylko uda się tam drużynę zorganizować? — zapytał Repko. — Bo tam przecie pustynia. Niby nie ma innego sposobu, ale zawsze nijako tak na niepewne.

Martyniak wyjął papierosa.

— Drużynę sklejimy. — Czuł się w obowiązku uspakajając obawy. — Tam pustynia i szaber. Prawda. Ale tamtędy wracają ludzie z Niemiec. Sposób, to przemówić im do rozumu. Wy tłumaczyć. Fabrykę puszcza, będą mieli pracę, chleb, mieszkań tam pod dostatkiem. Gratów mogą naokoło naszabrować ile zechcą.

Repko nie zgadzał się.

— Kto idzie z Niemiec, ten czym prędzej chce do rodziny. Nie myśli co potem. A kto to wierzy, że tam będzie Polska? Czy kto u nas ufa Rosjanom? Dziś mówią tak, jutro spodoba się im, powiedzą inaczej. Ziemia tam niemiecka. Będzie trudno.

Karwowski machnął ręką. „Polska? Albo to nasza dzisiaj, ta Polska?” Znow poszedł dłużyć do motoru. Martyniak wiedział, że nie trzeba pozwalać żeby ludzie rozłazili się wewnętrznie. Ale nie będzie prawić kazań swojakom, kolegom.

— Ja myślę tak, Repko. Przeżyliśmy Niemców, trzeba kombinować. Myśleć nie pomoże. Robić, to grunt. Czy wszyscy już nie kombinują? Kombinują. Gdzie będzie najlepiej? W fabryce. Choćby nie było z początku pieniędzy, ale zawsze różnie. Stołówka, przydziały, jakby łapanka czy wywózka, fabryka chroni. Ludzie to wiedzą. Co byli w Rosji, też doradzają: iść do fabryki, póki pora.

Słabe słońce świeciło przez mgłę. Repko rozpiął kurtkę i gładził jej flanelowe podbicie.

— To prawda. Tylko że teraz jeszcze za wcześnie, każdy kręci się jak umie, żeby zarobić. Ja mam dość tego psiego życia. Całą wojnę tylko handel i szmugiel, inaczej by człowiek zdechł. A teraz tyle co żona uhandluje. Człowiek powinien żyć jak człowiek. Na kursa jakieś powinienem się zapisać. Wiem, że głupi jestem.

— Teraz jest moment. Kto dobrze zacznie teraz, pójdzie w górę szybko — powiedział Martyniak. — Miejsca dosyć.

— No tak. Ja też tak myślę. Tam mieszkanie uda się załapać, no nie? Bogactw po Niemcach też coś zostało. Dziki Zachód. Rozglądnę się. Tam nie tak prędko się uspokoi. Żonę i dzieci teraz można tam tylko zmarnować.

Martyniak pomyślał, że powinien się ożenić. Gdyby nie owdowiał przed wojną, czy mieszałby się w konspiracyjne awantury? Jako tako trzeba było teraz życie urządzić.

Motor zahuczał. Karwowski krzyknął triumfalnie: „Co to znaczy nakarmić własną maszynę! Od razu inny pomysłunek! Teraz jak będziem czekać na inżyniera, żeby nie było na mnie”.

— Już idzie — powiedział Martyniak. O kilkaset metrów od miejsca gdzie siedzieli inżynier Wolski z plecakiem, w pumpach i w narciarskich butach ukazał się naszose między domami wioski.

— Przed wojną to on by nie mógł zostać dyrektorem. Za młody — zauważył Repko.

— Mówią, że dobry fachowiec. Takich mało. Oni to nie muszą zapisywać się do partii.

— Inteligencja. Mieli pieniądze na nauki. Ja swoje dzieci posłę do szkół, żeby nie wiem co. Bez fachu nic.

— Co jemu, on będzie miał swoje kotły. A reszta wszystko na naszej głowie. Trzymajmy się, nie święci garnki lepią.

Repko nacisnął czapkę i wstał.

— Z papierem to ja ni ni. No, zobaczmy.

Karwowski siedział za kierownicą. Hałasował klaksonem. Wołał ku zbliżającemu się inżynierowi:

— Nasza limuzyna pracuje. Jadziem panie Zielonka!

VIII

„Zaraz będzie moment” mówił sobie Piotr, sterując rozmowę ku zagadnieniu polskich robotników we Francji. Baruga, w rozpiętej koszuli, drapał się we włosatą pierś. Ławki szkolne i wycięcia jakie w nich złościł scyzorykiem przypomniały się Piotrowi. Przez szereg lat był w szkole złym uczniem i miał złe stopnie ze sprawowania. Choćby najbardziej się starał, nic z tego nie wychodziło dopóki, któregoś dnia, nie zrozumiał czym jest szkoła i czego od niego żądają. Jego niepowodzenia miały prostą przyczynę: próbował mówić to co myślał i co gorsza, w swoich ćwiczeniach wstydził się pisać zdania, które nic wspólnego nie miały z jego osobistymi, zresztą niedoświadczonymi, sądami. Wynikały z tego bez ustanku skandale; jego koledzy, nawet ci najgłupszy, uchwycili znacznie wcześniej od niego istotę mechanizmu. W rezultacie był sam przeciwko otoczeniu i przez zwyczajną naiwność grał rolę dzikiego anarchisty. A przecież nauczyciele nie wymagali bynajmniej od pupilów jakiejś niemożliwej szczerości. Ich zadaniem było stworzenie społecznego rytuału i wdrożenie młodych w ten rytuał. Godzina w której napisał dwie strony wypracowania z literatury tak aby się to spodobało, była przełomowa. Dotychczas pamiętał swoje wtedy zdziwienie. Pióro chodziło łatwo, pozwalał się prowadzić logice rozumowania, które trwało niezależnie od prawdy czy nieprawdy; miało swoją własną konsystencję. I, co ważniejsze, wtedy kiedy siebie kontrolował, nic mu nie przychodziło mądrego do głowy, cierpiał z powodu ubóstwa swoich idei i dostawał adnotację: „Temat nierozwinięty. Styl telegraficzny”. Teraz przeciwnie, pomysły nadbiegały same, zgarniał je z wielką łatwością. Dostał dobry stopień — a kiedy zastosował tę metodę do całego swego zachowania się, wkrótce stał się jednym z pierwszych uczniów w klasie. Cały sekret polegał na miękkim poddaniu się społecznemu ciśnieniu, tak aby ani wierzyć za nadto (to byłoby złe, bo znów powodowałoby wewnętrzny skurcz) w to co było zalecone, ani nie wierzyć. I cóż innego robił od chwili wyjścia z obozu? Powtarzał dawny szkolny nałóg, choć dopiero w tej chwili, rozmawiając z Barugą, to sobie uświadomił. System nie był niczym innym niż wielką szkołą i miliony ludzi zło-

wiły jaki w tym był trick. Nie chodziło bynajmniej o to, żeby szczerze akceptować. Co było konieczne, to mówiąc coś, urządzić się wewnątrz, tak jakby się wierzyło. W pięć minut potem można już było każde wypowiedziane (jak w klasie przy tablicy) zdanie podać wobec siebie w wątpliwość.

Gdyby wobec Barugi grał makiawelską komedię, popełniałby oczywiście błąd. Myśli Piotra pracowały w harmonii ze słowami, dublował je tylko aparat kontroli który przestrzegał aby nie wypadały z toru.

— Mnie Francja interesuje — powiedział. — Nie bardzo mogę sobie wyobrazić jak wygląda po wojnie. Nie jestem już ten sam i widziałbym w niej inne rzeczy niż dawniej. Jak tam zacznie się organizować nasza prasa, to pamiętajcie o mnie. Mógłbym się wam przydać. Jakies pół roku tam dobrze by mi zrobiło.

Baruga ziewnął. Ba, jeszcze i ten. Ale to, że zwracali się do niego, że w jego mocy będzie wkrótce przedstawiać ludzi jak szachy na wielkiej szachownicy, tu i po całej Europie — może także Azji, Afryce, Ameryce — stało się tak miłym podarkiem dla jego dumy złożonym przez wypadki. No, chłopak jest chory, jak wszyscy, na zachodniość. Czy chce uciekać czy nie chce, nie ma jednak znaczenia. Sam nie wie, jak trudno jest zdecydować się na jakąś Wenezuelę. Dostał za mocno w skórę, żeby to nie zostawiło pożytecznych śladów. Kto raz zakosztuje tego gorzkiego smaku, chodzi po świecie jakby nic, ale we środku ma wszystko przedstawione. Dajcie mu ruiny, strach, nędzę, będzie tęsknił do ogródków, domków z zielonymi żaluzjami i spokojem. Ale wrzucicie go w *Gemütlichkeit*, będzie wył i skręcał się, małego szczegółlika już w nim brakuje, który sprawiał że tamto kiedyś było znośne. I dusić go będzie bezsens życia. Tu ich mamy. Kiedy czują bezsens życia, są nasi. Wtedy działać, działać za wszelką cenę. A kto jeżeli nie my może im dać chwilę rozkoszy, zachwyty, że są demiurkami?

— Hm, francuski znacie biegle.

— Ja traktowałbym to jako zabieg higieniczny. Sami rozumiecie, przez te lata mogło nabierać się w człowieku dość klaustrofobii. Zmiany rytmu otoczenia są potrzebne dla zdrowia. Ale to kiedyś, w przyszłości, jak wam nadarzy się jakaś okazja.

Baruga szczyił się, że każdego potrafi zażyć psychologicznie. Każdemu trzeba dawać według jego miary, tylko tak można ludzi przywiązać i sprawić żeby wiernie służyli. Jaka jest miara tego Kwinto? Niewątpliwie, wygórowana ambicja, to raz. Poza tym feudalne pochodzenie, tak zwana przyzwoitość, gest, to dwa. A co gdyby mu rozluźnić pęta i postawić na tę ambicję i przyzwoitość? Te pęta są dobre, które są niewidzialne. Przecie ostatecznie przychodzi z tym do mnie. Zdezerterować, tak po prostu, mógłby w tym zamęcie, ale nie, na to się nie zdobędzie. Powiedział łagodnie:

— Mnie się zdaje, Kwinto, że powinniście się trochę po świecie przewietrzyć. Macie zacięcie w wielkim dziennikarskim stylu. Talent urodzonego reportażyisty. Tego wam zmarnować nie wolno. Ja byłbym za tym żeby zrobić z was naszego korespondenta zagranicą. Pomyślimy o tym jak trochę ułożyć się ten bałagan.

Niejasna wizja zerwania z tym wszystkim, jakiejś nieokreślonej wolności nawiedziła Piotra. Jak kiedyś marzenie o skończeniu szkoły. Natychmiast jej sobie zabronił. Mieć ją, znaczyłoby zwyczajnie kłamać Barudze i demaskować się w ten sposób. A czy pozornie dwulicowy wobec Barugi, nie był dwulicowy raczej wobec siebie? Jeżeli miał chwilami ten zamiar ucieczki, to bawił się nim tylko, nie bardzo sam wierząc w jego realność. Tam, w tym szerokim świecie, co było? Powrót w czasie, do dawnego siebie? Niemożliwe i wstrętne. Mogło się zdarzyć że wtedy, po amnestii, wyszedłby z polską armią do Persji. Nie zdarzyło się. Stawać się dzisiaj emigrantem, z pełną wiedzą że na zawsze, z zupełną zgodą na wieczną przegraną? To znaczyłoby pograć się w jakiś czysty animalizm, bo intelektualnie nie dawało się to ogarnąć, nic, żadnego punktu zaczepienia, całkowicie wbrew oczywistości klęski, która właściwa jest dzisiaj klasie schodzącej z historycznej areny. W każdym ich geście, w każdej myśli, w każdej decyzji klęska, jak w tym strasliwym powstaniu. Nie, w istocie udawał tylko wobec siebie chytrą. Nie był tak fałszywy wobec Barugi jakby się zdawało.

— Dziękuję wam. Wiecie że praca jest dla mnie ważna i że co mi się w niej uda, od was zależy.

Jeżeli chytrą był ten plan — rzucenie w porę ziarna, które należało odtąd pielęgnować — to być może była to

chytrość głębsza niż myślenie; umiejętność czujnego organizmu. Stąpać miękko. Zyskiwać na czasie. Był za słaby — jeszcze za słaby — na skoki. Zwierzę oblicza jednym spojrzeniem szerokość przepaści i wie czy jego mięśnie przeniosą je na drugi brzeg. Jeżeli wie, że nie zdoła, szuka zejścia po stoku. Baruga, kordialny, siedział przed nim jak spowiednik. Kiedy był w szkole, Piotr poznał takiego łowcę dusz. W przeciwieństwie do ich surowego, fanatycznego prefekta, tamten ksiądz brał rękę młodego buntownika w swoje dłonie i patrzył w oczy ciepłym, magnetyzującym spojrzeniem. To zniewalało — ale równocześnie Piotr podejrzewał księdza, że jest hipokrytą — i co gorsza, hipokrytą wobec samego siebie. Baruga też, zdawało mu się, nigdy nie był naturalny. Wszystkie jego fasony: łowcy dusz, protektora, mecenasa, były wymuszone. Z wyjątkiem wybuchów straszliwego gniewu ale te także urywały się zbyt nagle aby nie przypuszczać, że Baruga traktuje je również tylko jako środek. Co było w nim prawdziwego? Doktryna? Przecież nie jej oficjalna strona, Baruga był w Rosji. Czy tylko wiara w historyczną konieczność jako forma jego woli? Piotr dużo dałby żeby móc porozmawiać z Barugą zupełnie szczerze, ale to było niemożliwe. Każde zdanie Barugi miało wyraźny cel taktyczny. Czy kiedy jest sam też myśli tylko taktyką? Nie jest nieprawdopodobne, że szukanie jakiegoś sedna w człowieku jest złudzeniem. Przynajmniej u tych co są dostosowani do tego systemu. Może znika w nich zupełnie rozdwojenie i są tylko postaciami, których rolę nauczyli się grać. A gdyby osądzać Barugę według jakichś wzorów prawdy i nieprawdy? Powtórzyć anarchizm chłopięcych lat. Nonsens. Trzebaby było dać mu po głbie.

— Kto rozumie historię, temu styl sam przychodzi — powiedział Baruga.

„Od was zależy” mówi ten chłopak. Nie lubił tych rzadkich wieczorów kiedy miał lukę między zamętem dnia i konferencjami, które odbywał w godzinach nocnych. Wtedy dopadała go obsesja starości i śmierci. Ode mnie dla nich zależało. Nic od niego nie zależało, kręcił się w tym ukropie i szukał potwierdzenia, że naprawdę coś znaczy. Kiedyś marzył o utrwaleniu siebie na zawsze przez jakieś wiekopomne dzieło sztuki. Ale nauczył się, że nic podobnego nie istnieje. Bańki mydlane na historycznej fali. I kiedy ma-

newrował tymi twórcami rzekomo wiekopomnych dzieł, widząc ich płaszczenie się, ich tchórzostwo, mógł tylko śmiać się z naiwnych złudzeń, które człowiekowi przypisują jakieś wieczne i trwałe dary. Człowiek może być wielki ale tylko przez sztukę działania, robienia użytku z innych ludzi. Jednak to się nie utrwała. Proszek. A kiedyś, za setki lat, kiedy się to wszystko przemiele? Wstał.

— Tak, tak. Pracujcie. Chciałbym żebyście napisali o przygotowywanych planach odbudowy Warszawy. To jest dziedzina, która obudzi prawdziwy entuzjazm i pomoże uleczyć rozdarcie narodu.

IX

Wioski mokły w ciepłych wiosennych deszczach, pełne szeptów, plotek i trwoźnych a sprzecznych wieści. Dekret odbierający z dnia na dzień wartość będącym dotychczas w obiegu banknotom dopomógł chłopskiej nieufności do pieniędzy. Trzymano złote monety i dolary, czekając jakiejś zmiany. Wszystko było niepewne. Mówiono, że nic nie warto, bo będzie zaraz nowa wojna. Albo że nastanie nowy rząd, nie ten rosyjski, w jaki sposób nie wiadomo, na samej zasadzie, że tak przecie nie mogło być. Niełatwo było zrozumieć kto ma siłę na świecie, a kto się boi. Oficerowie przechodzącej armii chwalili się, że idą daleko aż do Francji i Atlantyckiego morza: „Europa nasza”. Ten i ów z sąsiadów opowiadał co słyszał od księdza o szesnastu. Była to cała góra podziemnego państwa. Kiedy weszli Rosjanie, ukrywali się pod Warszawą. Rosyjski generał słowem honoru ręczył za ich bezpieczeństwo, byle tylko zdekonspirowali się i przybyli do niego na konferencję. Kiedy się zjawili, zostali aresztowani. Wywieziono ich do Rosji. Ziemię dworów kazano chłopom dzielić pośpiesznie, jakby się paliło, bez ładu i składu, byle jak, stąd jedni wyciągali wniosek że ten nowy rząd w strachu, inni że dają tylko tak, dla zabawy, że zrobią kołchozy. Brak było koni, bydła, świń — tyle dobra zniszczyła przechodząca krajem szarańcza wojsk. Szerzyły się dziwne, nieznane choroby. Młodzi bali się dotykać dziewczyn, żeby nie dostać

jakiego podarunku. Doktor w miasteczku przestrzegał przed azjatyckim syfilisem. Wracali niektórzy z tych, których wywieźli Niemcy. Opowiadali o ziemiach na zachodzie, o gruncie leżącym odłogiem, tylko brać. Ten i ów z uboższych zastanawiał się już, czy nie zostawić swoje chude morgi i nie ruszyć tam szukać szczęścia. Najważniejsze było nic po sobie nie okazywać. Chłopi nauczyli się w czasie niemieckiej okupacji, że kto chce przeżyć musi umieć milczeć. Przestrzegali w tamtych latach ściśle tego obyczaju: nie należało nic mówić o tym co się zdarzyło w wiosce w nocy, kto nią przechodził: leśni, Żydzi, zbiegli jeńcy. Teraz, jak i wtedy, było niebezpiecznie. Młodzież pochowała broń i udawała że nigdy w niczym nie brała udziału, ale wielu pobrali Rosjanie, z donosów, a już gdzieś wpadało UB, robiło rewizje, zabijało ludzi, czorty gorsze od Gestapo — stare kobiety żegnały się ze zgrozą, wszystko to, od początku wojny, było spełnieniem przepowiedni o panowaniu Antychrysta.

Oddział „Korda” trzymał się z daleka od miast. Liczył trzydziestu kilku ludzi. Jego dowódca, krzepki, niski, masywny zwinnych mięśni i czujności, był ranny w kampanii 1939 roku. Uniknął niewoli, wylizał się z ran i przez kilka lat buszował w lasach. Toczył ze zmiennym powodzeniem bitwy z Niemcami, napadając na ich punkty zaopatrzenia i transporty. Kiedy weszli Rosjanie, nie usłuchał rozkazu swoich zwierzchników i nie pozwolił się rozbroić. To okazało się rozsądne. Ci, którzy poddali się Rosjanom jak barany, zostali przyjęci grzecznie i z honorem: sojusznicy w walce z Hitlerem. Następnie wpędzono ich w zagrody z kolczastych drutów a potem wywieziono na wschód. Oddział „Korda” uniknął tego losu, ale sytuacja była bez wyjścia. Czekano instrukcji z Londynu, co robić, instrukcje nie przychodziły. Większa część młodych żołnierzy rozproszyła się, próbując zacząć cywilne życie. Ale wzamian dołączali się ciągle nowi, którym UB następowało na pięty.

„Kord” wybrał się raz do miasta, próbując tam złapać kontakty z rozpełzającą się konspiracyjną siecią. Nie wiele brakowało do tego, żeby wpadł haniebnie. Nową metodą, której w tych rozmiarach nie używało Gestapo, były „koltły”. Metoda ta była zgodna z rosyjskim zamiłowaniem do dyskrecji i załatwiania wszelkich spraw po cichu, terror

stawał się czymś tajemniczym i nieokreślonym. Olbrzymiał przez niepewność gdzie, co i jak. „Kotły” polegały na tym że policja — Enkawede albo UB — robiła zasadzkę w jakimś mieszkaniu. Każdy kto dzwonił do drzwi — choćby to był sprzedawca czy funkcjonariusz elektrowni — zostawał uprzejmie zapraszany do środka; tydzień, dwa, trzy tygodnie — i w mieszkaniu gromadziło się kilkadziesiąt osób, które zaopatrywano w żywność i na miejscu poddawano inwestygacji. „Kord” lekceważył opowiadania o „kotłach”. Jednak stojąc już w bramie domu, gdzie, jak wiedział, mieścił się punkt podziemnej prasy, przyszło mu na myśl posłać najpierw na górę swego pomocnika.

Tak jak było, nowa władza siedziała głównie w miastach. Na wieś urządzała zbrojne wyprawy, ale tam ten był lepszy, kto znał teren. „Kord” miał zapewnioną wszędzie pomoc chłopów. Ostrzegali, wskazywali niebezpieczne punkty, a wielu z nich brało udział w jego operacjach prowadzonych w ich okolicy; potem znów chowali broń w dziuplach drzew i wracali do swoich zajęć.

Jaka w tym była przyszłość — na takie pytanie ani „Kord”, ani nikt z jego oddziału nie umiał znaleźć odpowiedzi. Lepiej było tak żyć, niż znaleźć się w więzieniu. Można było mieć nadzieję, że w szeptanych pogłoskach o nowej wojnie tkwiło coś z prawdy: zachodni alianci nie mogli być aż tak głupi, żeby teraz, kiedy mieli zmobilizowane armie, pozwalać Rosjanom rozlaźić się po tyłu krajach. Dyplomatyczne rozmowy oczywiście musiały być tylko chwilowym wybiegiem z ich strony. Co do nowego koalicyjnego rządu z udziałem części londyńskich polityków — to „Kord” uważał polityków, którzy by chcieli gadać z bolszewikami za łajdaków: nieudzielenie pomocy Warszawie, aresztowanie członków AK, podstępne zwabienie szesnastu — czy takie akcje nie były dostatecznie jasne, nawet dla tych którzy zdolni byliby zapomnieć pakt z Hitlerem, rok 1939, Katyń i setki tysięcy ludzi wywiezionych do łagrów. Trwał stan okupacji — i należało stosownie do tego postępować. Zdrajcy powinni byli być karani. Ludność powinna wiedzieć, że za współpracę z okupantem — jak poprzednio za współpracę z Niemcami — groziła kara śmierci. Tylko ten pozostawał środek oporu: zapobiegać, aby grupka agentów osadzona przez Moskwę w Warsza-

wie nie werbowwała zwolenników przyciąganych chęcią zabezpieczenia swojej skóry i widokami korzyści.

Jednym z najbardziej zaufanych żołnierzy „Korda” był Gdula. W jaki sposób uniknął śmierci w Warszawie, nie wiedział. Pamiętał tylko swój strach kiedy widział wpadający przez okno granat. Kiedy odzyskał przytomność, pochylał się nad nim biały czepek zakonniczy. Z relacji sióstr próbował zrekonstruować co się stało. Przywiózł go niemiecki lekarz, który powiedział „że ten młody bandyta jest jedynym co żyje z ich barykady” i zalecił surowo aby zameldowały władzom jeżeli zacznie przychodzić do zdrowia. „To był dziwny Niemiec — opowiadały siostry — rozmawiał z nami po francusku, nie miał ich akcentu. Zapytał jakich nam brak lekarstw i nazajutrz te lekarstwa przywiózł”. W parę miesięcy później Gdula wylądował w rodzinnym swoim miasteczku gdzie jego ojciec był urzędnikiem magistratu. Był to dla Gduli rozkoszny okres. Napychany smakołykami przez matkę, opromieniony sławą obrońcy Starówki, zażywał względnego spokoju i popularności wśród miejscowej młodzieży. Ta popularność jednak okazała wkrótce swoje złe strony. Mniej więcej w dwa tygodnie po wejściu Rosjan — był to początek lutego — dom został obstawiony i Gdula sądził już że „pojedzie na białe niedźwiedzie”, ale udało mu się uciec przez ogrody. Odtąd pozostawało tylko jedno: las. „Kord”, który właśnie grasował w pobliżu, przyjął go chętnie. Oswojenie się z nowym rodzajem życia było dla Gduli trudne. Przesuwali się szybkimi marszami, nocując nieraz, kiedy wioski zdawały się mało pewne, na podściółce z jedliny. Ale wkrótce już szło mu dobrze, a przez swoją wesołość i dowcipy podbił serca kolegów. Przypadł do gustu „Kordowi”, który odkrył w nim talenty szperacza. Gduli podobał się ten dowódca: zacięty, energiczny, nie miał nigdy chwil wahania, decyzje pobierał natychmiast. Nie kierował się rozumowaniem — był w nim jakiś szósty zmysł, który wyrobiły w nim lata partyzantki.

Lasy były poryte rowami i dołami. Niemcy pobudowali jesienią 1944 roku cały system umocnień, które nie przydały się im na nic. Czołgi sowieckie zachodziły ich stale od tyłu i musieli wycofywać się w pośpiechu. Jak po kampanii 1939 roku wszędzie dużo było porzuconego wojskowego sprzętu. W gęstwinie partyzanci natykali się czasem

na trupy niemieckich żołnierzy obok których rdzewiały karabiny. Raz, w nocy, leżąc na zboczu lesistej góry, posłyszeli w pobliżu coś jakby mlaskanie, które dochodziło od strony betonowych bunkrów. „Kord” zabronił się tam zbliżać. Wziął Gdulę i paru innych i przed świtem podpełzli tam cicho, czekając. Na cień, który wyłonił się, spadli nagle i przygwoździli go do ziemi. Był to przeraźliwe chudy, brodaty i brudny Niemiec, trzęsący się ze strachu. Co z nim należało zrobić? „Kord” poddał go badaniu. Wehrmacht. Nie SS. Żywił się zmarzniętymi kartofflami, które odgrzebywał na polach. Kiedy zorientował się kim są, błagał aby go przyjęto do oddziału. „Kord” się nie zgodził. „Szkopów do pomocy nie potrzebuję. Niech żyje czy zdycha, co mnie do tego”. Odchodząc zostawili mu kilo boczku.

X

Była to pora najmniej wygodna dla kierowcy; Karwowski zapalił światło, ale skaczący promień reflektorów rozpływał się w mętnej szarości między dniem i nocą. Nie ujechali więcej niż dwieście kilometrów. Z motorem było pół biedy, najgorsze były kichy: polepione, łata na łacie, osiadały często i robili zakłady, które koło będzie następne. Należało pomyśleć o znalezieniu noclegu. Postanowili zatrzymać się w pierwszym miasteczku. Szosa była pusta: prosta, jak strzełił linia, wśród wrzosowisk, poręb i sosnowych lasów. Martyniak siedział z przodu; zapytał Karwowskiego czy nie lepiej widziałby ze zgaszonymi światłami. Ten spróbował. Daleko przed nimi przebłyskiwało przez zębate wierzchołki drzew niebo zachodu. Koła wpadały w dziury nawierzchni poroździeranej przez gąsienice czołgów. „Nie da rady” — Karwowski przekreślił kontakt. Martyniak zadał to pytanie, bo czuł się nieswój. W tej pustce lepiej byłoby nie zapowiadać na całe kilometry naokoło swojej obecności. Nigdy nie wiadomo co może się zdarzyć. Repko z tyłu ziewał. „Kości bolą od tej trzęsionki. Człowiek by wołał nawet na ziemi, byle wyciągnąć gnaty”.

Bagniska majaczyły szaro-żółtą przestrzenią suchych

trzcini. Taflę wody błyszczały gdzieniegdzie, długie wąskie ostrza. Zrywały się dzikie kaczkę. Dalej była nagle ciemność wysokiego boru. Wolski zapalną oświetlał zegarek. „Jeżeli nic nie nawali, będziemy za pół godziny”.

Karwowski zahamował gwałtownie i Martyniak wyrznął się czołem. „Co u...?” Ale zobaczył nogi w długich butach na środku szosy. Jak kto się czego boi, to nie powinno przyjść, a przyszło — pomyślał. Miał przesąd, że takie rzeczy nie lubią jakoś żeby ich się spodziewać. Co mnie do gangsterskich filmów? Czy to musi być, że nie chcąc szukać wszędzie guza? A odbywało się to dokładnie jak w kinie. Zimny metal dotykał jego szyi. „Wychodzić!”, „Ręce do góry!” Reflektory zgasły. Otaczały ich cienie w chłopskich kurtkach i krótkich kożuszkach, z automatami. „Chicago psiakrew” jęknął Repko. Wolski parsknął śmiechem. „Ja wam się zaśmieję!” wrzasnął głos. „Obszukać ich! Wziąć wszystko co mają w kieszeniach!” Lufa opierała się o jego łopatkę. Obmacywali go. „Ręce w tyle głowy! Marsz!” Ruszyli w mrok piaszczystą drogą. Potykał się o korzenie. Motor samochodu odezwał się, pnie ukazały się w świetle, widział przed sobą splecione dłonie Karwowskiego i narciarską czapkę człowieka, który szedł za nim. Droga wiła się, samochód, który sunął z tyłu oświetlał ją na chwilę, tym trudniej było iść kiedy skręcali. Skoczyć w bok? Nie, nie zdałoby się na nic. Twardy przedmiot szturchnął go w plecy, towarzyszył jego ruchom. Co człowiek zechce, to wszystko jest złe. Jakkolwiek postanowi, wszystko jest złe. Ogarnął go żal. W tym nowym, w tym komunizmie było coś strasznego, wiedział to, a starał się nie wiedzieć. Pod jego mową schowana była inna mowa, oczy i twarze tych z Partii wyrażały jakieś porozumienie i groźbę: poczekaj, zobaczysz. Uciekł od tych od Borkowskiego bo tam nie było nic, żadnego oparcia, żadnej utajonej siły. Poczekaj, zobaczysz. Zobaczył. To było to, że wszyscy ludzie ich nienawidzili, że nie wolno było przyznawać się przed nikim do należenia, że wstyd zamykał usta i jak kto wybrał żeby być z nimi, musiał już z nimi tylko się trzymać, bo już był nie ten, co tłum w pociągu, na ulicy, w tramwaju. A wtedy, w latach wojny, wszędzie był swój, w gromadzie. Teraz się skończy. Nic z fabryki. Nic z nowego życia. Ale jakby skoczyć? Postanowił szukać stosownej chwili. Jeżeli nagle kucnę? To jeden krok. Jednak

reflektory oświetlały teraz jasno gąszcz. A już wychodzili na jakąś polankę.

Pochylone twarze dmuchały w płomyk na ziemi. Igły sosnowe paliły się z trzaskiem, dorzucano gałęzi. Stali rzędem wszyscy czterej, opuścili teraz ręce. Z drugiej strony ogniska patrzył na nich niewysoki mężczyzna w kożuszkę przepasanym pasem, który obciągał kobur pistoletu. Głowę miał gołą, krótko ostrzyżoną, nieduży czarny wąs, twarz przecinała równoległa szrama idąca przez nos. Kiedy płomień buchał wyżej, ukazywało się wiele par oczu ludzi siedzących kołem. Metal broni połyskiwał. Potem znów to ginęło i zostawała tylko obecność, szepty.

Wolski zaczął mówić: „Panowie...” Mężczyzna zawarczał: „Milczeć! Ja was nie pytam”. Karwowski miał głowę spuszczoną. Repko przestępował z nogi na nogę. „Zdjąć mu tę bolszewicką kurtkę”, rozkazał mężczyzna. Repko rozpinął guziki. Zdarli mu ją i został w marynarce zapinanej pod szyję.

Młody chłopak wystąpił z ciemności, zasalutował i podał portfele mężczyźnie. Ten grzebał w nich i czytał, przybliżając ku migającym płomieniom.

— Inżynier Wolski, który to? Pan dyrektor — skandował podnosząc oczy. Jeden z tych co fabryki ze strachu będą puszczać w ruch komunistom, kłamiąc że robią to dla Polski.

Z rozmachem cisnął otwarty portfel w ognisko. Skóra zwijała się, syczała, dymiała.

— Jan Martyniak? Zatrudniony w zakładach „Kultura Ludu”. Wicedyrektor papierni. Partyjny?

Martyniak czepiał się nadziei ocalenia. Nagle uświadomił sobie, że biletu partyjnego w jego dokumentach nie ma. Powiedział zdławionym głosem:

— Nie.

Mężczyzna przestał grzebać w jego papierach. Rzucił na niego spojrzenie; nie na twarz; na ręce — Martyniak już rozumiał, że tu idzie jakiś sąd. Usłyszał w sobie strzęp modlitwy. Tamten niespodziewanie podniósł górną wargę w ironicznym uśmiechu, odsłaniając białe zęby. Znaczenia tego uśmiechu Martyniak nie mógł odgadnąć choć napinał całą uwagę, jak pies, który próbuje uchwycić czego od niego żądają. Był w skurczu twarzy tamtego jakiś odcień pogardy. Odłożył pieniądze, schował w kieszeń, resztę

upuścił; Martyniak przyglądał się machinalnie jak pałą się jego pełnomocnictwa.

— Karwowski, szofer? Przed wojną, co robiliście?

— Jeździłem na taksówce w Warszawie.

Mężczyzna zrobił ruch ręką, ceratowy kwadrat przeleciał nad dymem i uderzył w pierś Karwowskiego. Ten zbierał skwapliwie z ziemi rozsypane świstki.

— Władysław Repko. Dyrektor personalny papierni w Eichenberg. Członek P.P.R. Chłopcy — mężczyzna odwrócił głowę — jak nazywa się Polak który wstąpił do partii bolszewickiej i pomaga w ujarzmieniu własnego kraju?

Z ciemności chór głosów odpowiedział: „zdrajca!” Echo potoczyło się, wróciło odbite, znów było cicho, iskry przyskały, unosiły się wirując. Repko kiwał się na boki: „Ja...”

— Milczeć. Jesteście zdrajcą ojczyzny. Myśleliście że jak wstapicie do partii to będzie bezpieczniej, co? Ale jest sprawiedliwość. My wymierzamy sprawiedliwość.

Ręka mężczyzny była oparta na koburze pistoletu. Repko przeżegnał się raz i drugi. Pod jego zadartym nosem otwarte usta robiły ruchy jakby próbowały się zamknąć a nie mogły.

Mężczyzna dał znak — i nim Martyniak zrozumiał że każe odskoczyć tym co stali za nimi, zobaczył metal, krążek lufy, kolana zrobiły mu się miękkie. Śmierć.

Echo powtórzyło dwa strzały. Odezwało się, jeszcze raz, daleko w ciemnym obszarze lasów. Żył. Oddychał. Nie ja. To tylko Repko leżał twarzą w dół. Podskakiwał, jego palce zamykały się na mchu. Czapka spadła mu w ognisko z którego wzniosł się swąd tłącej się tkaniny.

Mężczyzna zniknął. Martyniak usłyszał za sobą: „Ręce w tyle głowy! Marsz!”. Twardy przedmiot znów oparł się o jego plecy. Ciemność poraziła, siedł na osłep. „Teraz mnie kropną na uboczu” — myślał. Próbował jeszcze pojąć co znaczył uśmiech tamtego. Wyglądało jakby wiedział. Dokąd ich prowadzą? Stapał z trudem, ale kiedy zatrzymywał się, dostawał pchnięcie lufą. Nogawki miał pełne cieczy. Jeżeli nawet tamten nie chciał, to kropną mnie jego chłopcy. Tak zawsze bywa. Pod nogami było śliskie igliwie sosen. Potem moczar. Buty przemokły mu, chlupało w nich za każdym stąpieniem. Zwolna oswoił się z mrokiem i zaczął nabierać otuchy. Ile czasu to trwa-

ło — godzinę czy dwie — nie mógł obliczyć. Grzążał teraz w piasku, zatrzymał się; czegoś mu brakowało. Nie było dotknięcia broni. Stał nieruchomo. Żadnego głosu. Szumiały sosny. Siadł. Nic. Zerwał się i zrobił parę kroków do tyłu. Jeszcze nie wierzył. Nasłuchiwał. Wreszcie po cichu zawołał: „Karwowski! Wolski!” „Hop-Hop”, usłyszał. Nawoływali się. Karwowski brnął ku niemu, łomocąc w gałęziach. „Cholera, o cholera” mówił przy nim, zadyuszany.

XI

Myśl o jakimś normalnym życiu była tylko niepokojąca. Zrzuci mundur i co dalej? Dąży się i to trzyma. Ale kiedy jest się u kresu podróży i tam nie ma nic prócz pustki, chłodu i nienawiści? Nikogo ze swoich Winter w Polsce nie znalazł z wyjątkiem brata swojej matki, Frydmana. Izaak Frydman był przed wojną wiejskim Żydem — jednym z tych, którzy chodzili w chłopskich grubych butach i dnie spędzali na wózku, skupując pierze i wełnę w okolicznych wioskach. Wszedłszy do małego sklepu bławatnego przy głównej ulicy w Łodzi, Winter zobaczył wuja za ladą. Ten oparł się na pięściach, oczy mu mrugały, wyszedł zza lady i oglądał bratanka z niedowierzaniem. „Josele! Ty, wojskowy? To może byłeś w Rosji?” Po raz pierwszy od chwili powrotu Winter był wzruszony. Tam, na ruinach ghett, czuł tylko niechęć do oglądania tego symbolu anonimowej śmierci rodziców. Uściskali się. Szeroka twarz wuja Izaaka była czerwona, spalona słońcem, nie nosił wąsów, ubrany był z miejska. „Jako — śmiał się. — A ja stamtąd wracam! To znaczy obaj byliśmy w kraju socjalizmu!”

Frydman z żoną i dziećmi przybyli do Łodzi przed miesiącem w transporcie Żydów — obywateli polskich, wypuszczonych teraz z granic Związku Sowieckiego. Zaledwie wysiedli z towarowego wagonu, w którym podróżowali przez kilka tygodni, razem z masą podobnych nędzarzy, już rozglądnęli się za źródłem zarobku, wydostali po-niemiecki

lokal, założyli sklep. Kiedy Winter z żoną przyszli do nich tego samego wieczora na kolację, stół był zastawiony zakąskami, wuj Izaak zacierał ręce dumny z nowego dobrobytu, który, nie ukrywał tego bynajmniej, pochodził z kilku błyskawicznych operacji walutą, wódką i szabrem z Niemiec. Dwaj dorastający chłopcy w nowych ubraniach trzymali się sztywno, zażenowani rozmową, bo toczyła się w języku, który przedstawiał dla nich trudności; odzywali się mieszaniną yidish i rosyjskiego.

Wuj Izaak wypytywał go o plany na przyszłość. „No, tobie tam chyba przeszło?” „Co przeszło?” Wyraz twarzy Frydmana był filuterny. „Twój komunizm. Ojczyzna proletariatu dobra dla zdrowia. Aj, jaka dobra dla zdrowia”. Winter odpowiedział niechętnie, że jeżeli oni i on sam żyją, to tylko dlatego, że byli w Rosji. Wuj przyglądał mu się porozumiewawczo. „Czego ty się boisz? Jesteśmy w rodzinie. Mnie aresztowali, wywieźli, to po co? Żeby mnie zrobić dobrze? I gdzie wywieźli? Do takich lasów, że człowiek jak mrówka, co urąbie, to zaraz zarośnie. Byliśmy SO. Nikt nie wiedział co to znaczy. Dowiedzieliśmy się jak nas wypuścili po amnestii, że to jest *Socjalno Opasnyj Element* i że to był wyrok dożywotni. Tam leżał ścięty las, dziesięć lat przed tym nim nas posłali. Same próchno stoczone przez robactwo, nie było wagonów żeby wywieźć. A wszyscy co ścinali ten las, tacy jak my SO, tam zdechli. Kozacy z Kubania, za to że nie chcieli iść do kółchozów. A ja co im zrobiłem? Może zajmowałem się polityką? Może miałem dużo pieniędzy? Może takie Żydki jak ja, co tam byli i co mieli w Polsce majątku jedną kozę, to ustrój będą obalać?” Winter napotkał spojrzenie żony. Jej wąski podbródek opierał się o kołnierz wojskowego munduru, za szeroki dla jej szyi. Od ich pobytu w Aszhabadzie i śmierci ich dziecka, była milczącym i fanatycznym wrogiem Rosjan. Frydmanowa, tęga, o zniszczonej twarzy, przeciągała wyrazy: „Żeby nie to, że Izaak ma kiepele, to my by tam z głodu umarli. Wyrobisz normę, dostaniesz chleba, nie wyrobisz, nie dostaniesz. A jak kto zechce normę wyrobić, to ten chleb jest za mało, siły nie ma. To handlowaliśmy z kółchozami. Oni tak żyją, że chleba nawet nie mają. Za chleb dawali kartofle”. Wuj klepnął go po ramieniu i zachęcał do jedzenia. „Ty sam widziałeś Józef, jaki tam kraj. Tylko jak kto ma pieniądze to wszystko dostanie. Biednym nogi

puchną z głodu, a enkawede żre kurczęta i żłopie wino. To bandyty, antysemyty, rabuśniki”.

„To co, ty zostaniesz, będziesz im służyć? — nalegał. — Tu będzie to samo, no, nie tak prędko. Tu dla nas nie miejsce. Polacy nas nienawidzą, co tutaj? Cmentarz. Jej rodzina — pokazał żonę — w Palestynie. Tam nasza ziemia. My tam pojedziemy. Ale czy to tak można zaraz? Wróciliśmy goli, bosi. Trzeba zarobić, obsprawić się. Póki handel idzie. Za rok, dwa, tu zamkną sklepy. Tak samo jak tam. Tu wszyscy nasi mówią jak ja. Nas, Żydów, wypuszczą, a jak nie wypuszczą, to na zieloną, na Czechy i Wiedeń”.

Winter myślał o ojcu. Czy gdyby żył, też by marzył o Palestynie? I czy rozstałby się z ojcem — w imię czego? Nawiedziło go nagle pragnienie, żeby być w masie ludzi podobnych. Brudna ulica dawnej Warszawy, na której bawił się z dziećmi wśród zgiełku i krzyków żydowskich targarzy, wróciła w pamięci jak obraz ciepła, ruchu i radości.

— Przedtem nim mnie aresztowali spotkałem tego Teitelbauma co miał interes koło waszej introligatorni. To pytam jak jemu podoba się nowe socjalistyczne życie. Mówi: „Czemu nie? Dwa procent żyje dobrze”. I łapie się za głowę, krzyczy: „Tylko jak wbić się w te dwa procent?” Mówię tobie, Józef — wuj zniżył głos — to jest prawda. I żaden przyzwoity człowiek tu nie zostanie. Zostaną, tfu, tacy co wbijają się. A jak? Do enkawede pójda służyć, do wierchuszki, w partii, w ministerstwach. Czy to jest zajęcie? Trząść się, że posadzą, oskarżą nie wiadomo o co. A co z tego będzie? Będzie to, że jakby jaka zmiana, Polacy wezmą za noże i ani jeden żywy nie zostanie. A teraz to ty myślisz dlaczego tacy jak ty potrzebni? Bo innych, Polaków nie mają. Wyhodują nowych komunistów, to po cichu robią antysemityzm. Tak jak tam: ciotkę masz w Palestynie? Aj, źle. Kuzyn twojej stryjecznej siostry w Ameryce? Oj, niedobrze.

Spojrzenie żony Wintera było triumfalne. Nie zdradzała się żadnym słowem, za dobrą na to miała tresurę. Kilka razy w ostatnich czasach robił jej gorzkie wymówki za nieopatrzne odezwania się, które mogły zgubić ją i jego. Język ją świerzbiał, chciała opowiadać o tym co czuła całemu światu. Męczyła go pytaniami: „To co z nami będzie? Powiedz, Józef. Ty pomyśl, ty zastanów się, ja tu

tobie nie chcę rodzić dzieci". Frydman odgadł konflikt. „Co tobie będę opowiadać, zapytaj żony. Ja nic nie mówię, trzeba to trzeba. Przysięgaj, że ich kochasz, bij brawo. Tu możesz zejść wysoko, przydadzą się twoje nauki. A tam, w Palestynie, to co? Do kibucu poszedłbyś pracować, własnymi rękami, byłbyś biedny Żyd, nic więcej. Inny wybrałbyś kraj, to też, tylko handel, fabryka. To co ja mam tobie radzić? Każdy szuka jak lepiej. Nawet pętlę na szyję, jeżeli lepiej”.

Od tej wizyty u Frydmanów, Winter był rozdrażniony. Mimo to odwiedzał ich często, czepiał się tego rodzinnego życia. Powód, dla którego słowa wuja zostawiały go bez repliki, nie był dla niego jasny. Wuj nie opowiadał nic nadzwyczajnego; wszystko to było mu doskonale znane. Ale co innego jest wiedzieć, a co innego słyszeć jak mówi to inny człowiek; tak wielką siłą jest milczenie o pewnych sprawach, milczenie, które było regułą w wojsku. I razem z nim oficjalny język odbierał materialność doświadczeniu; Winter napatrzył się dostatecznie na sposoby przy pomocy których można przekonać nawet kogoś kto ogląda dom, że to nie jest dom, tylko chmura. Wuj był prostym człowiekiem, trudno z nim było dyskutować o abstrakcjach. I musiał jednak uznać jakąś swoistą wartość jego zdrowego rozsądku. Bo kim ostatecznie był, żeby ciągle chodzić w zbroi teorii? Wuj trafiał, nie wiedząc może o tym, w jego najczulszy punkt: tęsknotę do bezpośredniego, prostego obcowania, byle jak, bez ideologicznych komplikacji (o, wolałby żeby nie „przydawały się jego nauki”, żeby mógł pracować jako robotnik w kibucu, już nie nadzorca, nie wróg, nie, jeden z wielu).

Kiedy łapał się na takich myślach, ogarniała go groza. Czyż wypadki mogą potoczyć się inaczej niż to było przewidziane? Oni wszędzie dosięgną, prędzej czy później, na nic nie przyda się schować, chyba na dnie oceanu. A co by mu zostało gdyby zdradził Partię? Gdzie znalazłby sens, gdyby swoją decyzją próbował zaświadczyć, że historia nie ma sensu? Zazdrościł wujowi i jemu podobnym, że nie zaznali tej chwili trującego olśnienia, które jest jak smak jabłka zerwanego z drzewa wiadomości.

Dopóki był, tutaj, gdzie dopełniał się triumf tego, czemu tak wiele poświęcił, jego przeszłość mogła mieć usprawiedliwienie. Nawet te jego pierwsze doświadczenia w po-

czątku wojny, kiedy znalazł się w strefie rosyjskiej. Nie lubił o nich wspominać. Był wtedy głupi. A jak na złość musiał później mieć do czynienia z tym Kwinto, właśnie kiedy wstydził się i żałował tego co zrobił. Wezwali go do NKWD i rozmowa była przyjacielska. Topniał z miłego poczucia, że traktują go jak swego, oddanego sprawie, pewnego. Ukrywać coś przed nimi, znaczyłoby zawieść zaufanie. Naiwny osioł. A także zwyczajnie bał się wobec nich kłamać. Zapytany o Piotra Kwinto, wygarnął wszystko co wiedział. Ranek, w którym usłyszał o aresztowaniu Piotra, był dla niego ciężki. Nie chciał kojarzyć tego faktu ze swoją rozmową, próbował sobie tłumaczyć, że jeżeli nie od niego, dowiedzieliby się z czyichś innych ust. Tylko przez świadomość że on, Winter, był niczym więcej niż jednym z milionów istnień, przez które przebiega prąd poruszający je w tym, czy innym kierunku, bez ich woli, mógł uzyskać spokój. Rad był jednak, że Piotr wyszedł cało. Ale jeżeli bezosobowe siły są złudzeniem i człowiek sam musi znajdować miarę swoich czynów? Jaką miarę? Na czoło występował mu zimny pot i mimo, że sam ciągnął do wujostwa, był zły na żonę za jej nagłą, gwałtowną przyjaźń z Frydmanami.

XII

Zaraz za wioską kamienista droga, wypłukana deszczami, wiodła w górę, do brzegu lasu. Wolin szedł powoli, bijąc trzcinką o cholewę buta. Na dzisiaj było tego dosyć. Czy jego przodkowie nie posługiwali się wszelkiego rodzaju kanalią, żeby chłopów trzymać w posłuszeństwie? Totumfaccy, sługusy, lokaje, karbowi, kręcili się przez wieki koło pańskiej klamki, obleśni i usłużni, gotowi popęlić każde draństwo na skinienie. To bydlę byłoby wiernym wykonawcą każdego kto miałby siłę. I jest w tym niemal biologiczny konstans, brudną robotę robi zawsze ten sam typ ludzi. Trzeba będzie ich trochę przebrać, tacy jak ten za parę lat będą za głupi na nowe potrzeby. Ale na ogół aparat terroru będzie grupował te same co w Rosji kate-

gorie. Takich oprychów jak ten, do akcji; różnych garbusów i kulawców z kompleksami; a także dzieci arystokracji, wyrafinowanych, którzy nauczają się że to jest dobry przytułek dla kogoś, kto gdzie indziej ma drogę zamkniętą z powodu niewłaściwego pochodzenia.

Wypada go teraz awansować. Kiedy Wolin wysiadł z samochodu, czekał na niego, promieniejąc. Miał bielmo na jednym oku, jego tłusta twarz była rozgrzana wódką i oczekiwaniem pochwały z ust zwierzchnika. Rozbił bandę „Korda”! Wolin sądził, że był to raczej przypadek. Udało się po prostu. Oczywiście pochwalił, ale nie bardzo wierzył w te zapewnienia o długo i przezornie przygotowanej operacji: ta rzekomo była już w toku kiedy napotkali na leśnej drodze trzech ludzi, których „Kord” napadł w ich podróży służbowej. Na podwórzu chaty leżały rzędem długie przedmioty okryte chłopskimi chustami. Na znak szefa z bielmem, ubowcy odsłaniali trupy. Było ich sześć; ten, to sam „Kord” — pokazał Wolinowi, który końcem buta dotknął twarzy z małym wąsem i blizną idącą przez nos. Zabity był tylko w koszuli i spodniach; na nagięj szyi miał metalowy krzyżyk na czarnym sznurku; stopy w zabłoconych skarpetkach były szeroko rozwarte. Wolina naszała dziwaczna myśl, że to mógłby być któryś z jego kolegów z gimnazjum. Pochylił się, ale nie, twarz była mu nieznajoma. „Nic się nie spodziewałem — mówił człowiek z bielmem. W tych wioskach rządził jak mu się podobało. Ale mieliśmy informacje od naszych konfidentów. Bronił się. Rozwalił nam dwóch chłopców”. „A ten? — pokazał butem Wolin na ciało starego chłopca — to co? Też parzyant?” „Nie, to właściciel chaty. Syn jego był u „Korda”, ale jego nie udało się nam złapać. Chatę spalimy odchodząc, dla przykładu”. „Nie trzeba — powiedział Wolin — to wystarczy. A konfidentów pamiętajcie nagrodzić”.

Potem zaczęło się badanie jeńców. Wzięli żywcem tylko trzech. Dwóch zmiękło pod wpływem bicia i śpiewało jak z nut, jeden był oporny. W pewnej chwili wyrwał się trzymającym go agentom, pochylił się nad stołem za którym siedział Wolin i plunął mu w twarz. To było interesujące. Chciał dać znak, żeby zostawili go w spokoju, ale nim zdążył, tamten dostał kolbą w głowę i przewrócił się. Jak nazywa się ten młody zuch? Gdula. Pewnie pseudo-

nim, należy dojść jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Cóż za bezpośredniość odruchów. Ocierając się chusteczką, zastanawiał się nad zmianami jakie w zachowaniu się ludzkim powoduje intelektualizm. Jego praszczurowie z karabelą w rękach szukali zadośćuczynienia za obrazę ich honoru. Krwiści, gwałtowni, skłonni do gniewu przy najmniejszej okazji. Świat ludzi oddzielnych, osobno istniejących. W oczach tego Gduli on był na pewno jakimś zbrodniarzem; tylko przerzucając wszystko na jednostkę można mieć takie świeże reakcje. To jest już trudne w dwudziestym wieku. Kiedy masy zaczynają rozumieć, że nikt nie jest odpowiedzialny, wpadają w apatię, modelować je nie jest już trudno. Maszyna społeczeństwa przedstawia się im jako konieczna, niezwykczona, równie jak dla ludzi pierwotnych niezwykczoną i tajemniczą wydawała się powódź, burza i jałowość gleby. Nowoczesny system rządzenia jest niemożliwy zanim nie wpoi się ludziom tego przekonania. A pierwszym, który to zrozumiał, który stworzył aparat wzbudzający dzisiaj strach we wszystkich krajach kuli ziemskiej, był Feliks Dzierżyński, polski szlachcic jak on sam. Dla jego, Wolina, rodziców, tak jak on dla tego Gduli, Dzierżyński był renegatem. Ale pomnik Dzierżyńskiego stanie któregoś dnia w czerwonej Warszawie. A z nich wszystkich, z ich obrażonego honoru, zostanie popiół.

Droga, która była zarazem łożyskiem potoku, przypominała Wolinowi Hiszpanię. Podnosząc oczy, widział jednak drzewa pokryte jasno-zieloną kaszką wiosennych pąków. Niebo było różowe, zachodzące słońce pławiło się we mgłach. A żeby tak zapolować na słomki? Muszą tu być ciągi. Człowiek z bielmem był niespokojny, że Wolin wybiera się sam na spacer. Prawdopodobnie w lesie ciągle chowają się członkowie bandy „Korda”. Chciał dać mu asystę. Wolin, przypomniawszy sobie o tym, dotknął pistoletu i zagwizdał melodię ze starej operetki. W niektórych oknach wioski zapalały się światła. Siedzą teraz za swoimi chropowatymi stołami, przy naftowych lampach, przy misach, z których jedzą drewnianą łyżką. Przerażeni, narażający się. Lubili wieczorem zaglądać w okna ludzkich mieszkań. Przyjemność jaką z tego czerpał polegała na podpatrywaniu ich pełnej nieświadomości, że poza nurtem małego życia, w którym trwali, był inny nurt i że skrzyżowanie się tych dwóch nurtów jest nieuniknione; gdzieś

czekało już przeznaczenie a wykonawcami jego wyroków byli tacy jak on, którzy posiadli zrozumienie praw. Była to przyjemność podobna być może do tej z jaką latem pochylał się nad mrowiskiem. Wiodły od niego ścieżki, którymi posuwały się gorączkowo miotające się owady. Był zdania, że w zabiegach mrówek jest ślepotą i szaleństwem. Dopadały żdźbła czy skrzydła chrząszcza, ciągnęły, nadbiegały inne, ciągnęły w drugą stronę; te zapasy trwały nieraz przez wiele minut jeżeli siły były równe. Wreszcie przedmiot zaczynał powoli przesuwac się, mimo oporu przeciwniczek. Wtedy nagle te, które się opierały, przyłączały się do ciągnących. Czy walki społeczne były tego powtórzeniem? Te masy, które idą zawsze do zwycięzców? W syrkim piasku ścieżek miały swoje lejki larwy mrówkolwów. Trwały nieruchomo, zagrzebane na ich dnie, wystawiając tylko końce potężnych szczypców. Zaaferowana mrówka stapała na brzeg lejka, piasek osypywał się, była na dnie, wtedy jeden ruch szczypców unieruchamiał ją i powoli zagłębiała się, wciągana nieubłaganą siłą. To, że mrówki dążyły ścieżkami, na których były setki takich lejków, obojętne na przeznaczenie, bawiło Wolina. Zajmował się też wrzucaniem ich tym mrówkolwom, które miały mniej szczęścia.

Czekające go dossiers wróciły mnóstwem nazwisk i twarzy. Rad był z funkcjonowania swoich lejków. Ale teraz wolał myśleć, że w domu ma tomy Labiche'a, które udało mu się kupić w Warszawie. Nosiły pieczętę spalonej biblioteki. Labiche dawał mu satysfakcję pochodzącą ze znakomitej nicości spraw jakimi byli zajęci jego drobno-mieszczanie. Humor nicości. Intryga osnuta była dokoła jakichś absurdalnych spraw łóżka, drobnych ambicji, właściwie lichu wie czego. Grali to aktorzy, publiczność — kobiety i mężczyźni w śmiesznych strojach ubiegłego stulecia, też zajęci takimi bzdurami — to było ich życie — zanosili się od śmiechu, bili brawo. Jak można zbudować coś z nicości, było dla Wolina zawsze zagadkowe. W epoce, do której należał, podejrzewał to, niemożliwy był już właściwie ani humor ani tragedia. Co zresztą znajdowało potwierdzenie w tamtym kraju, w którym spędził wojnę. I humor i tragedia mogły tam istnieć prywatnie, ale wstydliwie, nie znajdując usprawiedliwienia. Dla takich jak ten dzielny szczeniak, Gdula, naturalnie tragedia była do-

stępna: naród uciemniony, obrona, bohaterstwo i tak dalej.

Wolin słyszał śpiew drozda. Cicho, żeby nie spłoszyć, podkradał się między pierwszymi olchami lasu. *Turdus musicus*. W gąszczach, niewysoko nad ziemią, jest gniazdo wylepione wewnątrz gliną, gładkie, jakby wypuszczone z warsztatu garncarza. Samica grzeje ciałem niebieskie jajeczka nakrapiane rdzawo. Widział ptaka na szczycie świerka. Pieśń niosła się, ekstatyczna, w jasności nad zmierzchem na dole. Z zadartą głową starał się zobaczyć ruch małego gardła, z którego szły te tony. Niezmienne, te same co w jego dzieciństwie, bez historii, poddane tylko prawu wiecznego powrotu.

XIII

Czas, nierówny, jakby zatrzymujący się nad urwiskami, zaczynał nabierać dla Piotra rozpędu. Musiał, chcąc nie chcąc, lokować się w tym co dla niego było kruche i tymczasowe, z niechęcią myśląc, że prowizoria zmieniają się zwykle w stan trwały. Było ciepło, liście rozwinęły się, wieczorem przeświecały przez nie światła elektrycznych lamp, orkiestry grały w ogródkach kawiarni w Łodzi, gdzie zamieszkał. Pytania jakie sobie zadawał traciły ostrość — nie tylko zresztą dla niego. Strach, wstyd przeszłości i wstyd przyszłości, były u wszystkich jakby owinięte miękką powłoką, nie należało przez nią sięgać do wnętrza. Ludzie poruszali się, ogarnięci somnabulizmem życia, pierwszej wiosny po wojnie, zieleni, ulicznego ruchu. Kłamstwa prasy i oficjalnych przemówień przyjmowali już jako rzeczy zewnętrzne i bez znaczenia, zajęci zaczynaniem swoich spraw na nowo, urządzaniem się, handlem i intrygami, w których wyładowywali nienawiść, nie znajdującą żadnego dozwolonego politycznego ujścia. Pito wiele alkoholu, kobiety były łatwe, jakby nauczone, że ciało ludzkie jest zbyt niszczone, aby warto było ograniczać jego zachcianki normami moralności. Piotr poznał Ewę. Zaczęło się to bez szczególnie długich wstępów. Pili w towarzystwie Bu-

nia, tańczyli ze sobą, odprowadzał ją do domu. To, że kiedy wymieniali pocałunki stojąc na schodach drżały jej kolana, było dla niego przyjemne. Przychodziła do niego często po teatrze. Była aktorką, przez wojnę pracowała jako kelnerka w restauracji w Warszawie, przestrzegając zakazu grania, wydanego przez tajną organizację aktorów. Mała, filigranowa, pełna była humoru, który jako szczególny gatunek, pospolity za niemieckiej okupacji, interesował Piotra. O swoim mężu opowiadała ze śmiechem: „Ani kawka! Mokra plama! Podbiegł do tego czołgu który rozerwał się na Starówce!” Był to czołg wyładowany dynamitem, który Niemcy podrzucili w Warszawie powstańcom. Ci wprowadzili go przez barykady na Rynek. Entuzjastyczny tłum żołnierzy i dzieci otoczył ten łup wojenny; kiedy kierowca wyszedł i podniósł maskę motoru, nastąpił wybuch, który zabił kilkuset ludzi; głowy i ręce znajdowano na balkonach okolicznych domów i na dachach. Ten rodzaj śmierci męża śmieszył, nie wiadomo dlaczego, Ewę, jak zresztą śmieszyło ją wiele innych wydarzeń i okoliczności, jak choćby to, że Piotr (który teraz zdemobilizował się i chodził po cywilnemu) mógł być w bolszewickiej armii, albo to, że drukował poważne artykuły. „Ależ to są bujdy, wcale taki nie jesteś, teraz wszyscy udają, nikt w nic nie wierzy, agenci nazywają się rząd, wojsko dowodzone przez Rosjan nazywa się polskie, można tylko tym się bawić”. Dla Piotra Ewa była właściwie środkiem zadzierzgnięcia na nowo więzów z teatrem. Atmosfera nie-realności i magii, zapach szminki, garderoby z trzaskającymi drzwiami za którymi widać było w jaskrawym świetle nagie ramię czy gołe kolana w kałesonach, plotki, rywalizacje — to wszystko teraz nabierało dla niego wyjątkowej wartości, być może dlatego, że był to świat osobny, w którym można się było schronić. Dzięki niemu odnajdował jakąś ciągłość — jeżeli wiele z własnej przeszłości chciał zatrzeć, to uznawał siebie z „teatralnego” okresu, który uważał za niezły. Co prawda ta ciągłość była raczej wątpliwa, ze względu na obecność w teatrze osoby będącej przypomnieniem o upływie lat. Teresa wyszła za mąż, miała trzyletniego synka. Kiedy się zobaczyli, badali się nawzajem uważnie. Jej sylwetka nie zmieniła się, długie szczupłe nogi, ale piersi, zawsze pełne, były teraz obfitsze, miała zmarszczki koło oczu, a na jej włosach zobaczył siwe

pasmo. Kiedy siedział u niej w domu, a ona nalewała zupełną, gospodarną, matczyną, doznawał „dziwności istnienia”: był ten sam a nie ten sam, ona była ta sama, a nie ta sama. Przed wojną, kiedy chodził na przedstawienia w których grała, jego emocje nie były pozbawione śmiesznej samczej dumy. Z ciemnej widowni śledził jej sprężysty krok w sukni królowej Szekspira czy w stroju z epoki romantyzmu, z wysoko podwiązanym stanem. Prawdziwą tajemnicą teatru było dla niego połączenie tego co hieratyczne i tego co nieprzyzwoite: połączenie, w którym odnajdował również sekret losu ludzkich istot, zdolnych tworzyć poezję i filozofię wśród swoich fekalii i menstruacji. Nigdy nie doświadczył tego równie silnie jak pewnego wieczoru kiedy z powodu jakichś przewodzących nie mieli gdzie pójść; byli na bulwarach nad rzeką i, przyciśnięci nagłą chęcią, kochali się na metalowej balustradzie. W godzinę później dostojny rytm wiersza w jej ustach, jej powolne ruchy bohaterki tragedii na scenie, przychodziły jak najwyższy kontrast, zaprzeczenie biologii, sztuczność, która jest tożsama ze sztuką.

Przyjaźń z Teresą była dla niego cenna: siostrzana a nie całkowicie pozbawiona erotycznej pamięci, która interpretowała odcień głosu, układ ust, drobne odruchy. Mógł z nią rozmawiać o wszystkim, podczas gdy Ewa akceptowała jego pobłażliwe i ubawione milczenia.

Rzecz, która męczyła Piotra w ciągu ostatnich lat był pewien sen, wstydlivy, w istocie zbyt ohydny aby go w sobie nosić. Takie sny się raczej zapomina, organizm daje im radę, trawiając je niepostrzeżenie jak trucizny. Piotr jednak obrysowywał dostatecznie często jego szczegóły, nie mogąc go nikomu zakomunikować i sen był ciągle obecny, ciągle go oskarżał. Nie zdecydował się opowiedzieć go matce. Nie, to było niemożliwe. Jedynym człowiekiem któremu mógł go powierzyć była Teresa. Tęsknił do zrzucenia z siebie tego ciężaru i do poddania się pod cudzy osąd, podejrzewając, że jego osąd, choć jak najbardziej dla niego samego niepochlebny, może być błędny. Nie chodziło tu o przeszłość: było to jak nosić w ciele wędrującą kulę, wiedząc że ta któregoś dnia może dotrzeć serca.

Nieźle dotychczas oszlifowana, złożona z utrwalonych w pamięci zdań w które próbował ująć niewyraźną dobitność wspomnienia, opowieść budziła w nim teraz nowy rodzaj wstydu. Był jak przed taflą ciemnej wody, która zdawała się kryć głębię i nagle okazuje się że można w niej zaledwie zamoczyć stopę. Spostrzegł, że nie mówi o tym co najważniejsze i że ogranicza się do traktatu o leczeniu szkorbutu. Tam, w obozie, więźniowie gotowali odwar z igliwia, bo nie było żadnych innych lekarstw. Usprawiedliwiał się też z góry, sprowadzając sen do rzędu całkiem pospolitych majaceń głodowych. Nic naturalniejszego niż obsesja głodomorów i to, że smak kotletów z borówkami, które lubił w dzieciństwie, wprowadzał go we śnie w ekstazę. Jakką się, opowiadał o swojej nienawiści i rozpacz. Dokoła niego, tysiąc za tysiącem kilometrów, była wtedy obojętność, a za nimi jakiś świat, który o takich jak on nic wiedzieć nie chce, jeżeli wie, to powiada że pewnie to są przestępcy którym to się należy. „Miałem, jak to się mówi, śmierć w duszy. To było jakbym leżał na dnie przepaści, którą przykryto szczelnie olbrzymimi skałami. Żadnej nadziei”.

Od głodu ucieczka w sen. I od poniżenia. Szedł ulicą wielkiego miasta a wszyscy przechodnie ustępowali mu z drogi, zdejmowali czapki, kłaniali się. Stojąc, patrzył w twarz człowieka, który klęczał przed nim. Był to prefekt jego gimnazjum; ubrany był w mundur. Ten sam prefekt, który wyrzucał go za drzwi, krzycząc: „Kwinto ty masz nieprzyzwoity wyraz twarzy” — a chodziło o niestosowne pytania o dogmatach jakie Piotr w klasie zadawał.

Potem były, związane w tajemniczy sposób z hołdem księdza, wielkie marmurowe schody, biały pałac o południowej architekturze, zapach pomarańczy. W wielkiej sali Murzyni w kraciastych marynarkach grali w bilard. Jazz i pieśni. Słowa pieśni były zwrócone do niego. A Piotr znalazł się przed zastawionymi stołami i czuł rozkosz przenikającą go całego: jadł. I jadł ze świadomością, że nigdy jedzenia nie zabraknie, że nie ma zagrożenia, że nikt mu kotletów z borówkami nie odbierze.

Był to przede wszystkim sen doskonałego bezpieczeństwa.

stwa. Wszystko przenikała obecność, potężna i dobrotliwa. Piotr czuł miłość taką, że płakał ze wzruszenia. Miłość do Niego, który wypełniał przestrzeń. On, Stalin, wziął go na kolana i obejmował ramieniem. Olbrzymiał, dźwigał małego Piotra, unosili się w powietrzu. I nagle Piotr zrozumiał że jest to Bóg-Ojciec ze świetlistym trójkątem, wieczny spokój, szczęście nie mające kresu.

Piotr wyrażał to wspomnienie nieudolnie. Tylko pytania jakie Teresie zadawał miały gwałtowność protestu. — Dlaczego, powtarzał, dlaczego? Gdzie jest odpowiedzialność za to co własne? Kto może powiedzieć: jestem sobą, kiedy wiedząc, że nienawidzi — uwielbia, niezależnie od własnej woli?

Pnie drzew za oknem były czarne w słonecznym blasku, ich walce miały w sobie nieporównaną gęstość rzeczy w pełni istniejących. Miejsce, gdzie wyrastały z płaskiej ziemi, było naprawdę miejscem wzrostu, tworzenia się formy. Głowa Teresy, która siedziała z brodą opartą na pięści, ukazywała jej gładko zaczesane włosy, linię na której zaczynały się nad lekko wypukłym czołem. Jej kolana wyciągały tkaninę sukni, jej stopa w buciku stała na podłodze oddając się funkcji która z siebie samej czerpała znaczenie. Gdyby można było unieruchomić siebie i rzeczy tego świata, być niczym więcej niż spojrzeniem, które ogarnia, nasycą się i żyje tylko przez to! Ale był czas, chęci, strach, niepewność — całe trzęsawiska zmienności i ruchu, na których nic nie jest uchwytną substancją, nic nie ma wyraźnych granic, niczego nie można pokazać palcem i powiedzieć magiczne słowo: To. Nigdy nie było mu wygodnie wśród uczuć i pasji. Podejrzewał, że w całej dziedzinie, noszącej nazwę psychologii, zawarta jest jakaś nieuczciwość. Nie pozwalał też sobie zastanawiać się, jak układał się uczuciowo jego związek z Teresą. Jej sprawą było być. I najbardziej podobało mu się w niej że, tak jak w nim, strefy były gładko oddzielone. Jej ciało pracowało niezależne, za jej uprzejmym zezwoleniem: stąd dotąd jest twój teren, proszę bardzo, należy ci się to, ale poza chwilami czystej animalności nie zostawała żadna reszta przemieniana w czułość, w tarcie policzkiem o policzek, w zdrobnienie imion. Ich rozmowy były bardzo szczere, ale nie doty-

kały jednego tabu: tego co Teresa nazywała „wywlekaniem bebeczów” i co według niej narażało na wszelkie możliwe kłamstwa, popełniane w najlepszej wierze. Teraz pokazywał niezłą porcję „bebeczów”. Przez złośliwość „wielkiej historycznej epoki” która łączyła, wbrew ludzkiej woli, prywatne, indywidualne, z powszechnym i ogólnym, musiał powracać, z tej strony, ku owym, zawsze dla niego wątpliwym, głębiom.

XIV

Gdyby, potem kiedy opowiedział Teresie swój sen, wzięła go za rękę i wybuchnęła śmiechem, zaśmiałyby się i na tym by się skończyło. Ale była poważna.

— Przyginają nam głowę i każą łykać świństwa. To się mści. Biedny jesteś.

Sięgnęła po ubranie, które szyla dla dziecka. Nawlekała igłę. Przygryzając zębami nitkę przyglądała się Piotrowi.

— Co ja tu właściwie mogę? Sam musisz z tego wyleźć. Staraj się powiedzieć jak to sam interpretujesz. Może uda mi się coś dorzucić.

Piotr był jej wdzięczny za to że dawała mu okazję do dalszych egotycznych wynurzeń. Opierał głowę o chłodną ścianę za krzesłem.

— To dla mnie nie jest zupełnie jasne — mówił powoli, robiąc długie przerwy między zdaniami. Po pierwsze, jeżeli człowiek jest poddany przemocy — zupełnie poddany — dosięga granicy, na której to, czego nienawidzi, zmienia się w przedmiot kultu. Nie chce się do tego przyznać. Bardzo nieprzyjemne. Ale nie ma wtedy innego zbawienia niż znaleźć się bliżej niż inni przy centrum siły. Tam łaska, ciepło. Może tylko ja taki jestem. Pokręcony. W szkole dokuczał mi ten prefekt, ale kochałem go właściwie za to, że taki fanatyczny. A może to jest bardziej ogólne. Po drugie, to mnie zawsze trudno było istnieć jako ktoś osobny, podejmować decyzje. Wszystkie moje bunty, to było pragnienie jakiejś niemożliwej jedności, roztopienia się wśród innych. Buntowałem się, bo tym co mnie otaczali brakowało — brakowało tak dużej siły, żebym musiał ją

uznać. Intelktualnej czy innej — to wszystko jedno, to są dwie strony jednego medalu. Ale to razem jest ohyda. To mnie potępia. I kim jestem? Chcę prawdy. A jakkolwiek prawda jaką znajdę jest za słaba, nie może stawić czoła — im. Nawet Bóg w tym śnie został zrabowany. Zidentyfikowany.

Teresa słuchała, szyjąc.

— Czy wiesz co w tej chwili robisz? — zapytała. — Usprawiedliwiasz swój fatalizm.

Kiedy milczał, rzuciła:

— Ten sen to jest ostrzeżenie.

— Dlaczego ostrzeżenie?

— Najważniejsza jest sprawa twego ojca. Twoje sieroctwo. Zabili ci ojca, więc wydają ci się najpotężniejsi.

Nie chciała więcej o tym mówić: „Przestań się babrać. Zastanów się dlaczego to ostrzeżenie. Grozi ci fascynacja upodleniem. A dobrze, że opowiedziałeś ten sen — mnie, jeżeli nie możesz komu innemu”.

Piotr sądził również, że dobrze zrobił. Słowa Teresy były dla niego niespodziewane. Tak czasem czyta się jakieś zdanie, które ukazuje się jako oczywiste, od dawna znajome, choć nigdy nie przyszło do głowy. Dotychczas nie płatał w to swego ojca. Zdawało mu się tylko, iż powinien był tym bardziej wstydzić się swego przekonania o historycznej konieczności ich zwycięstwa, że ojciec zginął walcząc przeciwko nim. Teraz ukazało mu się to z innej strony. Utrata ojca była odległą przyczyną jego słabości. A innym, tym, którzy lgną do kolektywnej wiary, do ciepła pszczoelnego roju, czy też przydarzyły się podobne, takie czy inne, sieroctwa, choćby sieroctwa niezupełne, rodzice, których się nie poważa, za duży pęd wypadków, który rozdziela pokolenia, obcość w domu? Jeżeli prawdą było, co zauważyła Teresa, że ten sen nie oznaczał potępienia, tylko ostrzeżenie? Wtedy wchodziłby do kategorii tych intuicji, którymi posługiwała się jego matka, a ostatecznie i on sam, nie byłby to wstrętny wyjątek do którego trudno się przyznać.

Jaśniej też widział, dlaczego ciągnęło go do Artyma: szukał przewodnika, mędrca, który by mu pomógł w jego wątpliwościach; po prostu, znów jak w dzieciństwie, tęsknił do wielkiego drzewa. Artym był bardzo stary; przeżywał wojnę i nawet ocalało jego mieszkanie na przed-

mieściu Warszawy. Piotr nie był dotychczas u niego, bo obawiał się. Artym należał do „nieprzejednanych” socjalistów, jeżeli go nie ruszono, to pewnie ze względu na duże nazwisko — zawsze lepiej unikać tworzenia męczenników — i na podeszły wiek. Ponieważ Piotr trzymał się z Barugą i pielęgnował, nie bardzo sobie pozwalając w to wierzyć, plany wyjazdu za granicę, byłoby źle gdyby odnotowali jego kumanie się z Artymem, ten mógł być inwigilowany. Jednak po rozmowie z Teresą zdecydował się nie oglądać się na ryzyko i pojechać Artyma odwiedzić.

XV

Wiśła w ogniu pierwszych upalnych dni, szeroka, z wodą zawsze mętną od piasku wyrwanego z dna i z brzegów, toczona przez prąd. Nad nią stało zburzone miasto, absurdalne pod radością nieba. Powierzchnia wody przyzwyczajona już do żelastwa zwalonych mostów, powtarzała koło nich bezustanku te same długie fałdy. Dalej, za ostatnim z mostów, szerokie plaże pod zaroślami wikliny były teraz puste; dawniej, o tej porze roku, leżał na nich różnobarwny tłum, wrzeszczały radia, nawoływali przekupnie lodów.

Foka obchodził zwały kolczastych drutów, resztki blach podziurawionych przez kule. Szedł teraz codzień daleko, tam skąd widział już tylko niebieskawą linię połamanej Warszawy. Odnajdował miejsca znane mu z tych lat kiedy tutaj uciekał z kolegami na wagary. Wyciągał się na piasku, oddawał nagie ciało słońcu. Słońce było wielkim szczęściem, pozwalało znosić myśli, odbierało im ich nieodwracalność. Powoli wstępował w rzekę, płynął, kładł się na wznak, powierzał się nurtowi, czekając aż zanieśnie go na łachy. To że cieszył się jak dawniej światłem i wodą, było dla niego nieco wstydliwe; zawarty w tym był wyrzut sumienia. Ale cieszył się naprawdę i musiał przyjmować, jeszcze raz, że człowiek jest taki jak jest i że zbyt nie wymaganie nie zdadzą się na nic.

Po powrocie zamieszkał u rodziny znajomego kolejarza

na Pradze. Trzeba było z czegoś żyć — ale to tymczasem ułożyło się samo. Darewicz, jeden z socjalistycznych działaczy, którego spotkał, dał mu dwieście dolarów. Foka nie chciał przyjąć. Darewicz wzruszył ramionami i powiedział że pieniądze nie są jego i że nie ma co z nimi teraz zrobić. Należał do grupy, która uważała ofertę współpracy z nowymi władzami za pułapkę i przepowiadał, że ci, którzy montowali teraz partię socjalistyczną „legalną”, smutno skończą. Był sam z tego powodu zagrożony i w domu nie nocował.

Foka nie umiał określić na czym polegało *nowe*. Nigdy dotychczas z tym ze Wschodu się nie zetknął. Nowe wymykało się ujęciom, było powietrzem, aurą, obecnością, która poza swoją materialną częścią, ukrywała się przed wzrokiem. Jak lodowiec, którego szczyt widzialny jest za ledwie drobnym znakiem całości. Wracając, był przekonany, że idzie pod nową okupację. Pięć lat jakie spędził pod nazistowskim terrorem przyzwyczaiły go do tego rodzaju życia. Było mu wszystko jedno. Nowe jednak mało przypominało to co znał. Jako byłego żołnierza AK mogli go przymknąć. Przymykali. Ale nie o to chodziło. W oczach spotykanych znajomych, w oczach wszystkich ludzi, widział strach — i ten strach był inny, nowy: nie bali się już tyle bezpośrednich niebezpieczeństw, ile czegoś co było jak nieznana, obwarowana zakazami groza u pierwotnych plemion. Usta wymawiały nieodmiennie formułę równie jak ich uczucia niejasną: „To początek”. W ubiegłych latach należało oczywiście możliwie się ubezpieczyć: fałszywe dowody tożsamości, fikcyjna karta pracy. Teraz jednak już rzucali się do Partii, do posad, przewidując, przygotowując się na jakieś niewyobrażalne dni sądów. Błysnięcie białka spod powieki, nagły rumieniec, nagle spuszczenie głowy zdradzały chaos i trzepotanie się ich intencji. Foka spotkał paru kolegów ze swojej organizacji. Tłumaczyli mu, że teraz praca socjalistów była bardzo ważna i że należało być z legalnymi. Odgrażali się, że pokażą komunistom kto jest prawdziwym gospodarzem kraju i kto ma za sobą masy. Po zastanowieniu się, odrzucił ich propozycję. Był w tym wszystkim jakiś fałsz. Wolał swego kolejarza, który pokazywał mu nowozdobity bilet P.P.R. i mrugał porozumiewawczo.

Miał czas. Skóra jego nabierała barwy brązowej i bieg

rzeki trwał w nim jak płynna istota świata. Wisła nawet w pogodę zachowywała swój charakter tragicznej scenerii: nieuregulowana, drażąca nowe koryta w płowej równinie, rozlewała się kapryśnie po pustej ziemi. Nie było, jak dawnis, barek piaskarzy, czółen rybackich ni kajaków. Czaple, ośmielone brakiem ludzi, brodziły po rozlewiskach.

Co dalej ze sobą robić, Foka nie wiedział. W Wiśle szukał oczyszczenia, chrztu — ku czemu? Długo odkładał swoją wizytę tam, w ruiny Starego Miasta. Być może bał się tam iść, sam. Rozmawiając z kimś o tym, co się stało z profesorami uniwersytetu, dowiedział się, że Gil jest w Warszawie. Zdobył jego adres.

Było to odległe południowe przedmieście. Wille z oknami założonymi dyktą nurzały się w burzanach, przez które znów mieszkający tu ludzie wydeptali ścieżki. Spotkanie odbyło się niezręcznie. Jakaś, że jest kolegą Joanny, że chciałby, że myślał. Widział przed sobą wysokiego, chudego mężczyznę, na którego czaszce sterczały sztywno odrastające siwe włosy. Brwi miał krzaczaste, popłatane, usta ściągnięte w wyraz uporu. Foka kołysał się z nogi na nogę, na próżno próbując odnaleźć podobieństwo, cały pomysł zobaczenia Gila wydał mu się mało dorzecznym. Ale spojrzenie tamtego, jasne, jakby niezależne od niego samego i otoczenia, było mu znane, a to z kolei sprawiło mu dziwną przykrość: „Joanna. Szukam jej grobu. Może pan coś wie?” powiedział mężczyzna.

Żeby dostać się do tamtego miejsca musieli przejść całą Warszawę. Kiedy minęli parę ulic, na których istniał już słaby początek miejskiego ruchu, ich kroki rozbrzmiewały w ciszy martwych placów. Turkot małego wózka, klekot drewniaków dwojga dzieci, które go ciągnęły, odbijały się szerokim echem od wypalonych murów. Z łopatomy na ramieniu przedzierali się później przez kretowisko Starówki. Foka resztki tamtego domu odnalazł z trudem. Stał na dawnym podwórzu i nie rozumiał, jaki był związek między tym, co tu niegdyś widział i przeżył i tym co teraz mógł uważać za rzeczywiste. Tak, jakby wszystko miało swoje źródło w człowieku, a nie w zewnętrznych materialnych przedmiotach. Dziwił się kiedyś że ludzie — Eskimosi czy Lapończycy — mieszkają w jakichś północnych lodach, tam gdzie nie ma nic, żadnych roślin, zieleni. Ale dla nich to ma

jakieś barwy, jakąś ciekawość, sami z siebie, ze swoich spraw to tworzą.

Nie lubił myśleć o tej wyprawie i o ich tam pracy. Ciało Joanny znaleźli dopiero na trzeci dzień, kiedy już ubrania ich przesiąkły wstrętnym odorem. Przynajmniej Gil zapewniał, że to ciało jego córki. Foka chciał opowiedzieć o Joannie, ale spostrzegł że ma mało do zakomunikowania. Ograniczył się do relacji faktów. Wspomniał o Osmanie i jej pójściu z nim na górę, a również o wizycie ojca Ignacego. Przemilczał konflikt między Bertrandem i ojcem Ignacym, swojej niechęci do księdza nie ukrywał. Gil zapytał go czy Joanna się spowiadała. Z jego tonu nie mógł odgadnąć czy oczekuje potwierdzenia czy też zaprzeczenia. Sam po raz pierwszy nad tym się zastanowił. Nie wiedział. „Ten Bertrand — dodał, bo czuł jakiś obowiązek — to był mój przyjaciel. Logik i pozytywista. Joanna miała dla niego dużo szacunku”. Gil kiwnął głową. Kontakt z nim był trudny. Onieśmiał Fokę, który nie wiedział co naprawdę myśli, choć w ciągu tych dni zawiązało się między nimi, mimo różnicy wieku, coś w rodzaju milczącego koleżeństwa.

Zaszyty w wiklinach nad wodą, Foka, zdarzało mu się to, choć na krótko, płakał łzami samotności. To całe życie, bezużyteczne. Starał się sobie wyobrazić co wybrałby Bertrand — on, tak ścisły, ten na którym można było polegać. Wstydliva sprawa Gduli polegała dla Foki przede wszystkim na zejściu poniżej wyobrażenia jakie mógł mieć o nim przyjaciel. Postanowił tę swoją winę naprawić. Tylko że każda droga wydawała mu się równie beznadziejna; nie biorąc w niczym udziału, negując, dokonywał tymczasem ucieczki eremity.

Któregoś dnia, rozgarniając gąszcz, natknął się na grupę młodych mężczyzn i dziewcząt. Wszyscy byli zupełnie naddzy. Grali w karty. Swoją nagością, swoimi leniwymi ruchami z jakimi oddawali się temu zajęciu w nicości zatrzymanego czasu, świadczyli swoją zupełną obojętność wobec społeczeństw, zwyczajów, zadań, problemów, przeszłości i przyszłości. Obowiązek, przekonanie, akt ofiary własnego życia były już poza nimi. Żyli i to wszystko. Gdyby podszedł do nich i powiedział że jest, tak jak oni, jednym z żołnierzy tego zdruzgotanego miasta, podnieśliby oczy, zaprosiliby go skinieniem i dali karty do ręki. Puszczając gałąź i wycofując się cicho, zostawał z obrazem przestrzeni, na

której, wśród śladów nietrwałych cywilizacji, nad brzegiem pustynnych rzek, siedzą, nic o sobie nawzajem nie wiedząc, małe stadka ludzkie, jednako wrogie temu co było, jak temu co będzie. Należał do nich, było ich wielu, a nic z tego nie mogło wynikać.

XVI

Za drugą swoją bytnością u Artyma, Piotr zastał tam obcego. Młody człowiek, z przepaską żałoby na brudnawej płóciennej kurtce, podniósł się niepewnie z fotela; plecy miał przygarbione, niezgrabnie wiszące długie ręce; jego spalona słońcem twarz przypominała Piotrowi twarze warszawskich uliczników przed wojną, wąskie i ironiczne; ale nie było w niej nic z wesołości. Badali się wzrokiem. Piotrowi było nieprzyjemnie. Jeżeli już miał się spotykać z Artymem, to bez świadków.

Artym odgadł ich obawy. „Poznajcie się. Możecie mieć do siebie pełne zaufanie. Jeżeli przyjmuję was razem, to dlatego, że jesteście pewni. Foka-Cisowski, nasz rusznikarz, bił się w powstaniu. Kwinto, wraca z Rosji”.

Artym miał białą brodę, która leżała płasko na piersi. Mówił cicho, jak zwykle ludzie o osłabionym sercu. Od dawna poza czynnym życiem politycznym, pozostawał legendą: dawnych walk robotników przeciwko caratowi, wiary w postęp, w nową europejską wspólnotę ludów. Piotr siedząc u niego, pod ścianą założoną do sufitu książkami, znajdował się jak na wyspie, na której obowiązywała prawda i szczerść. Te wyspy — matka, Teresa, Artym — były mu tak potrzebne do istnienia. Jeżeli jednak szukał u Artyma pomocy w swoich wewnętrznych debatach przeciwko konieczności, pomoc ta była wątpliwa. W słowach starego człowieka nie było nic z goryczy; ale nie było też nic z miarkowania pesymistycznych opinii w imię pedagogicznych celów. A poza tym język, jakiego używał, przenosił w świat którego kontury były już zatarte przez mgłę oddalenia.

„Nasi anty-trynitarianie nosili drewniane szable chcąc manifestować swój integralny pacyfizm — mówił. I to było w krwistym szesnastym wieku. Spierali się o to czy chrze-

ścijaninowi wolno jest sprawować publiczne urzędy bo każdy urząd jest urzędem miecza. Wtedy właśnie na wschodzie rosła potęga Iwana Groźnego. My używaliśmy środków gwałtownych przeciwko policji cara, ale nasza wizja była bezbronna, jak tamtych humanistów. Było w nas przekonanie, że lud sam rozpozna kto mu służy. Dziś nasz lud jest przeciwko następcom Iwana, z nacjonalistycznych powodów. Ale czy w tym wstręcie do przemocy nie przechował się czasem ślad naszej pracy, naszego zwyciężonego marzenia?"

„Dialektyka? — wzruszał ramionami. — Marks nie uczył żeby zrozumieniu faktów zapobiegać siłą. Nie wiem czy słyszeliście o takim człowieku, który nazywał się Machajski. Nasz socjalista. To było dawno, za mojej młodości carat go deportował na Syberię. Był autorem tylko jednej małej książeczki, wydanej po rosyjsku, w której wyłożył swoją teorię. Według niego kiedy mówi się, że proletariatus robi rewolucję to znaczy naprawdę że robi ją inteligencja która szuka swego miejsca w społecznym organizmie. I w tym jest ziarno prawdy. Cały obłęd rosyjskiej inteligencji, samobójczy. Jak pociąg pociąg pająka do pajęczycy która go zjada po akcie. Spójrzcie na zacofane kraje — Indie, Chiny. Masy w apatii, ale niech który tam nauczy się czytać, liżnie nauk, pójdzie na uniwersytet, zostaje stalinistą. Bo to wydaje mu się oczywiste, logiczne. Wielka pułapka dwudziestego wieku. Jeżeli to naukowe, ścisłe, zgadza się na papierze, czemuż tego nie chcieć, nie realizować? Kiedy uczeń czarnoksiężnika zdumiewa się nad demonizmem, jest już za późno, musi zostać sługą demona, którego wyzwolił”.

Artym nie oszczędzał bynajmniej socjalistów. „Dla was to już jest mitologia. Dla mego pokolenia to był podstawowy spór między tymi, którzy chcieli socjalizmu i niepodległości i tymi, jak Róża Luxemburg, co byli przeciwni odrywaniu od Rosji krajów przez carat podbitych. Oderwały się. Nie wszystkie. Ukraina została. Gruzja została. Ale to był nasz, tutaj w Polsce, triumf. I zarazem przegrana. Bo internacjonalizm został poświęcony a ich caryzm, bolszewików, sprawiał że mieliśmy słuszość. Zgoda na jedność narodową nas rozkładała od wewnątrz. I partie socjalistyczne, te twory dziewiętnastego wieku, dożyły czasu kiedy chodzi o koniec wszelkiej polityki. Czymże przed woj-

ną byli socjaliści? Dyktatury, młodzież nacjonalistyczna, rasizm, obskurantyzm, a z ich strony praca nad swoimi, uniwersytety ludowe — i piękno słów. Dziś jest triumf pośmiertny tych naszych socjal-demokratów którzy chcieli iść z Rosją, tych ojców komunistycznej partii. I zarazem ich straszliwa klęska. Teraz, cóż, oglądacie widowisko nowej legalnej socjalistycznej partii. Tak, to musi być, żeby ułatwić wycofanie się, żeby powoli przekreślić ten program demokracji robotniczej i niepodległości, który obowiązywał dotychczas. Ja, bądźcie pewni, do tego nie będę przykładał ręki”.

Rad żadnych od Artyma nie należało oczekiwać. „Czy można zmierzyć barwę indywidualnego losu? — zapytywał. — Czy normą obowiązującą wszystkich chrześcijan jest chwycić za broń i komunistów zabijać? Czy jeżeli ktoś kocha swój kraj, to powinien naśladować rosyjskich arystokratów, którzy zostali szoferami w Paryżu? Albo tych naszych oficerów, prokuratorów, sędziów, adwokatów, dygnitarzy, którzy w Londynie czy New Yorku będą zmywać w hotelach talerze, czekając, z roku na rok, na nieziszczalnym powrocie do dawnych stanowisk? Czy można zalecić komuś: pracuj tu, z socjalistami czy chłopami, kiedy z góry wiadomo że to go musi doprowadzić wreszcie do pełnej ortodoksji stalinizmu jeżeli będzie grzeczny, do więzienia, jeżeli będzie nieposłuszny?”

Piotr oponował. Jego zdaniem ważny był czynnik czasu. Czas — jeżeli proces przekształceń miał być tak powolny jak się zapowiadał — mógł przynieść nieprzewidziane formy, gdyż proklamując wolę wynalezienia tych niewypróbowanych form, budząc ich nadzieję w ludziach, P.P.R. była wzięta w ten prąd oczekiwania.

Artym kręcił przecząco głową. Jego długie dłonie leżały na kolanach. „Może. Nie będę prorokować. Przez szereg lat może udać się — wielu — prowadzić grę. Jeżeli będą mieli świadomość, że te nowe formy są niczym więcej niż taktycznym wybiegiem. Znam historię Ukrainy. Wiercie mi, tam z początku było zupełnie to samo”.

„Jeżeli jawnie jestem tym, który potępia jakkolwiek kompromis socjalistów z nimi — mówił Artym — to dlatego, że inaczej nie mogę. Obowiązuje mnie moje przeszłe życie. Niech zamykają mnie, jeżeli chcą, i tak mi niewiele czasu zostało. Ale to nie jest norma. Każdy musi rozstrzy-

gnąć w swoim sumieniu jak powinien postąpić żeby zachować trochę przyzwoitości. Cała reakcja na emigracji będzie miała oczywiście monopol, żeby uważać się za czystych. Postarają się zapomnieć co sami robili. A raczej czego nie robili — ich zdaniem ten, kto troszczy się tylko o swoje pieniądze, jest zawsze niewinny. Nie, każdy dziś musi nie tylko dokonywać wyboru. Również wyboru w wyborze”.

Kiedy wracali razem od Artyma, Cisowski, który prawie się nie odzywał, stwierdził, wymierzając słowa gdzieś w przestrzeń: „Na nikogo liczyć nie możemy. Jesteśmy sami”. Piotr zrozumiał, bo jego towarzysz wyrażał ten sam dotkliwy zawód który go gnębił kiedy słuchał Artyma: było to, jakby powiedział Julian Halpern, jeździć kareta w epoce samolotów.

Nie był chętny do demaskowania się. Wiedział, że prędzej czy później, wiadomość o opiniach, wypowiedzianych nawet w gronie najbliższych przyjaciół, przenika w tajemniczy sposób do uszu tych, co chcą wiedzieć. Jednak fakt, że był u Artyma z Foką i brał udział w rozmowie czynił ich sprzysiężonymi. Od tego dnia zaprzyjaźnił się z Foką, choć to nie było dla niego łatwe. Nie bardzo umiał obcować z młodszymi od siebie, sam był jak człowiek, który szuka rękami po omacku w ciemnym pokoju, a tamten był od niego o ileż bardziej bezradny. Zadawał pytania, które Piotr oceniał jako naiwne, a jeżeli sięgały do jego doświadczeń rosyjskich, nie mógł przewyciężyć nałogu milczenia i odpowiadał półsłówkami. Foka również pozostawiał na uboczu wiele swoich spraw osobistych, nie wspominał nigdy o żonie, a na wzmiankę o powstaniu milki, zacinął się i czasem tylko rzucał pogardliwe słowo pod adresem tych, którzy wydali do niego rozkaz. Piotr odnajdował w nim pochmurną żarliwość, zduszoną potrzebę entuzjazmu i myślał, że Foka, nie on, mógłby stać się fanatycznym zwolennikiem wschodniej doktryny — gdyby kiedyś nastąpiło w nim to olśnienie które Piotr znał z obserwacji innych i które porównywał do olśnienia kokainomana widzącego w zwykłej ścianie czy gwoździu niebywałą harmonię jakiejś nad-logiki wszechświata. Ale Foka, nie znajdując u Artyma czego szukał, jeden ze swoich rozczarowań wyciągał wniosek: że powinien odrzucać wszystko co się działo, nie oglądając się na to, czy taka negacja jest głupia czy mądra, godna pochwały czy godna potępienia.

Zdawał się wierzyć, że istnieją sposoby jakiejś podziemnej akcji. Na sceptyczne uwagi Piotra, odpowiadał, że nie było dla niego ważne jak długo taka akcja mogła się utrzymać.

Któregoś dnia, było to u schyłku lata, Foka zwierzył mu się, że ma kłopoty: chodziło o zorganizowanie ucieczki za granicę Darewicza. Potrzebne były możliwie dobre dokumenty — na wszelki wypadek, bo bezład na ziemiach zachodnich ułatwiał dotarcie do Niemiec. Piotr słyszał dużo o odwadze Darewicza pod hitlerowską okupacją. Wyciągnął swoje przepustki, upoważniające do poruszania się w strefie granicznej, które akurat dostał, bo miał wyjechać nad Odrę dla pisania reportażu. „Weź to. Pamiętaj zmienić nazwisko. W razie czego powiem że zgubiłem. Tylko uprzedzam że Rosjanie z nimi nie bardzo się liczą. Lepiej nie przeceniać ich szacunku dla legalności”.

Zrobiwszy to, ocenił zaraz swój krok jako nieostrożny. Nie darmo — tam — mówiło się, że niebezpieczeństwa przychodzą zawsze z powodu posiadania przyjaciół.

XVII

Michał w więzieniach, jakie dotychczas zwiedził, przyzwyczał się znosić niemal wszystko — z wyjątkiem smrodu. Wciągał zapach wody kolońskiej, nieporównanie egzotyczny, bijący od człowieka, którego gładko zaczesane włosy błyszczały w świetle lamp. Oceniał przeciwnika i wpijał palce w krawędź krzesła. Było to w ciągu wielu miesięcy zaledwie trzecie badanie. Z pierwszego i drugiego wyszedł zwycięsko — tak uważał. Niezależnie od wyniku — choć wynik też był dobry. Udało mu się wtedy nie rozluźnić ani na chwilę swego wewnętrzznego napięcia, które jest zagrożone przez strach. Wpatrzony w punkt, który promieniował gdzieś w środku ciepłem, siedział spokojny, kiedy naprzeciwko niego gruby Rosjanin wrzeszczał przekleństwa. Powiedział, że po rosyjsku nie umie. Rozmowa toczyła się później przez tłumacza. Michał postanowił jechać na całego. Powierzał się swemu wyczuciu sytuacji a to podszeptowało, że jedynym środkiem było zaskoczenie. Był faszystą? Tak, faszystą. Wydawał pisma? tak, wydawał pisma.

Wolał raczej przesadzić rolę jaką odgrywał, roztaczając obraz świadomie demoniczny. Ta pierwsza próba była próbą dwóch różnych atmosfer ludzkich, nie wolno mu było kluczyć i przyznawać tamtemu wyższość. Drugie badanie stanowiło dla niego dowód, że pierwszą rundę wygrał: nowy enkawudysta zdawał się być wyższy stopniem od poprzedniego. Toczył z nim po niemiecku długą dyskusję polityczną w której Michał, bezbarwnym głosem, aby nie zamącić jednolitości swego spokoju, przedstawiał mu, raczej agresywnie, trudności na jakie napotka panowanie Rosjan w połowie Europy. Jeżeli miał przepadać, to z trzaskiem. A równocześnie zgadywał, że im dalej od masy wypadków z którymi mieli do czynienia, im bardziej jego sprawa mogła się wyodrębnić, tym lepiej.

Teraz miał naprzeciwko siebie tego eleganta. Ruchy jakimi przesuwiał lampy na stole były harmonijne. Światło skierowane w twarz Michała nie było ostre. Michał zakotyłał się na boki odnajdując w sobie swój rytm — sennego krążenia dokoła świetlistego punktu, który trwał gdzieś w brzuchu, w sercu czy może w przestrzeni nad jego głową. Szare oczy tamtego były podniesione ku niemu. „Zimny drań” — pomyślał Michał.

— Michał Kamiński. — Ręka Wolina otwierała grube dossier. — Wiemy o was wszystko. Wasze oddziały NSZ wycofały się razem z niemiecką armią. To wynik waszej działalności. Absolutna konsekwencja równi pochyłej. W jaki sposób po powstaniu uniknęliście niemieckiej niewoli?

— Nie chciałem być wywieziony do Niemiec. Ani na prawach jeńca. Wyszedłem z tłumem cywilnej ludności. Z obozu rozdzielczego wydostali mnie znajomi lekarze. — Michał zaplótł sobie ręce na kolanach. Przygotowywał fikcyjne nazwiska, na wypadek gdyby zapytał go o to.

— A potem?

— Mieszkalem w Podkowie. Emigrować to nie dla mnie.

To była prawda. Jego polityczni przyjaciele próbowali go namówić do wyjazdu na zachód, przed tym nim przesunie się front. Ojciec Ignacy, który, wbrew pogłoskom, że zginął na Starym Mieście, też się odnalazł, zarzucał mu brak realizmu. Jego zdaniem należało przygotowywać się do nowej bliskiej wojny. Sam wyruszał na Pragę i Wiedeń.

— Dlaczego?

Michał zataczał swoje wewnętrzne koła. Spod kołnierza kurtki khaki u tamtego wyglądała biel jedwabnej koszuli. Ogarnęła go tęsknota do kąpieli i czystej bielizny. Czuł odór swego niemytego ciała, zamknięty w zgniecionym ubraniu i niechlujstwo zarośniętych policzków. Odpowiedział powoli:

— Dlatego, że sprzeciwiałoby się to mojej ocenie wypadków. Nie możemy nic zyskać licząc na Anglosasów. Jesteśmy dla nich przedmiotem handlu — tak jak inne narody. Nie byłem nigdy zwolennikiem ich kupieckiej demokracji. Prawa kupców nie są już prawami naszego czasu.

— Więc przyznajecie się do przegranej?

Próba prądów, pod słowami. Michał trzymał głowę prosto. Patrzyli sobie w oczy.

— Wasza przegrana nadejdzie. Być może nadejdzie z najmniej spodziewanej dla was czy dla mnie strony.

Mężczyzna za światłem zapalał papierosa. Michał wciągał chciwie idący ku niemu dym. Tamten, gasząc zapalną, powiedział:

— A, wiara mistyczna. Bardzo pięknie. Tylko w ten sposób można myśleć o wskrzeszeniu Średniowiecza. Ja wiem. Katedra, a dokoła niej małe domki, w których siedzą rzemieślnicy. Ład. Każdy na swoim miejscu. Dziedzicznie. Szewc z szewcami, Żyd z Żydami, w ghetcie. Trochę Bierdiajewa. Trochę T.S. Eliota. Milusie.

Kim był ten człowiek? zastanawiał się Michał. Ilu takich, wiernie sobie służących, będą mieli? Akcent czysty. Nie zaciągał z rosyjska.

Tamten zasyczał ku niemu przez zęby:

— Tylko że cena takiego sięgania wstecz jest wysoka. Tu, na waszych rękach.

Michał odczekał chwilę.

— Wasza tęsknota do porządku jest niemniej fantazyjna niż nasza. Wstręt do prawa wymiany. Do władzy pieniądza. I krew.

Tamten wyglądał na ubawionego tą odpowiedzią. Usta ułożyły mu się w uśmiech łobuzerski.

— To znaczy, że odnajdujecie między nami i wami podobieństwo, jeżeli dobrze rozumiem?

Michał potrząsnął głową.

— Nie jestem marksistą.

— Na pewno nie — wyskandował ironicznie Wolin.

— Wyście głosili potrzebę wyzwolenia się od obcego kapitału, biorąc pieniądze od swoich, miejscowych kapitalistów. A my jednym dekretem skończyliśmy z wysysaniem kraju przez dywidendy, które szły za granicę i przez tych co was popierali. Nie stawiacie teraz na Anglosasów. Tym samym mówicie że tutaj będą odbywać się przekształcenia takie, jakich my zechcemy. Czy tak?

— Jesteście znienawidzeni. Jakakolwiek woła plus opór nie jest tym samym co woła.

— Aha — tamten oparł twarz na rękach — stawiacie na opór wewnętrzny. A jeżelibyście mieli udzielić rady człowiekowi, który w jakiś sposób poczuwa się do odpowiedzialności za los kraju, politykowi, to co byście doradzili? Konspiracja przy naszym systemie jest niemożliwa. To wiecie. Zachęcanie do morderstw jest tylko mnożeniem ofiar. My puszczamy w ruch koleje i fabryki. My odzyskałyśmy ziemie zachodnie, które kiedyś były słowiańskie aż do Berlina — a to, jeżeli się nie mylę, był wasz program w latach wojny. I te ziemie mogą być tylko przez nas utrzymywane. Więc?

Michał zagłębiony w swoim krążącym świecie czuł twar-dość krzesła.

— Morderstwa samiście spowodowali. Zachęcanie do nich uważam za absurd. A waszym celem jest filozofia, nie ekonomia. I w tym napotkacie na opór.

Wolin przewracał stronicę dossier.

— Wasz proces zapowiada się niezłe. Pokazowy, żeby nauczyć że droga faszyzmu jest drogą narodowej zdrady. Przed wojną jeździliście do Hamburga nawiązując kontakty. Zdawało się wam że tam, w Niemczech i we Włoszech, jest kierunek historii. Ogłaszaliście pochwały Mussoliniego. Później walczyliście przeciwko Niemcom. Pozornie. Równocześnie posługując się nimi do likwidowania Żydów i podejrzanych o lewicowość. Nawet niektórych z tych co byli w służbie londyńskiego rządu. My potrafimy to odpowiednio połączyć.

— Nigdy nie pochwalałem zabójstw popełnianych przez ludzi głupich.

Wolin powiedział chłodno.

— Nawet pomagaliście ukrywać się Żydom, tak? Ale według nas jest odpowiedzialność za konsekwencje słów.

Według nas nawet Nietzsche jest odpowiedzialny, choć o użytku jaki z niego będzie zrobiony nie wiedział.

Zamykając szybkim ruchem dossier i usuwając się na oparcie krzesła powiedział nagle:

— Mimo to, skłonni bylibyśmy wypuścić was na wolność. To od was zależy. Jeśli zaakceptujecie nasze warunki.

Na twarzy Michała leżało ciepłe światło. Przymknął oczy. Zapytał ledwo słyszalnie:

— Jakie są wasze warunki?

Głos Wolina dosiगाł go w jego czujności, w której widział chwiejące się szale: tak, nie; tak, nie.

— Nie jesteśmy tak nierozważni żeby żądać za wiele. Znamy waszą wartość. To czego oczekujemy jest ścisłym minimum. Nie chcieliście iść na emigrację. Dobrze. Wyciągnijcie teraz wnioski. Naszym warunkiem jest abyście uznali istniejący stan rzeczy i abyście nam pomogli zmniejszyć ilość ofiar. Damy wam możliwość wydawania pisma.

Michał, nie otwierając oczu, z podniesionym podbródkiem, powiedział:

— Jeżeli zaakceptujecie moje warunki.

— Mówcie. — W tonie Wolina była jakby ciekawość.

— Uznanie istniejącego stanu rzeczy nie jest z mojej strony fałszem. Jest to realna ocena. Natomiast nie będę uznawać waszej filozofii i będę przeprowadzać rozróżnienie. Jestem katolikiem.

— Znaczenie tego słowa nie jest dzisiaj bynajmniej jasne — powiedział Wolin. — Było jasne, tylko dopóki człowiek mógł umieścić dogmaty w swoim obrazie świata. Już nie może. Z katolicyzmu, przynajmniej tu, w tym kraju, wyprowadzaliście wasze koncepcje polityczne. W istocie to z waszych rachunków politycznych wyprowadzaliście potrzebę katolicyzmu.

— W niedocenianiu elementów mało uchwytnych warta jest wasza słabość. — Michał patrzył spod półprzymkniętych powiek. — Tu było tysiąc lat katolicyzmu, a naród który zaprzeczy swojej tradycji, żyje tylko fizycznie. To jest kwestia wierności.

— To wychodzi na jedno. Czysto pragmatyczne uzasadnienie religii, bo z metafizycznego sposobu myślenia zostaje... — Wolin dmuchnął w dłoń. — Ale nie będziemy się spierać. Czy sądzicie, że zależy nam na tym, żebyście ogła-

szali się jednym z naszych? Wręcz przeciwnie. Katolicyzmu nie mamy zamiaru tykać. Wasza działalność powinna udowodnić, że można akceptować rewolucję zachowując prywatne poglądy.

Michał milczał. Osaczały go nieskończone komplikacje decyzji. Starał się je zmierzyć i przeniknąć w czas przyszły. Droga życia? Własne nazwisko?

Tamten, jakby zgadując, powiedział:

— Kwestia tak zwanej czystości jest dzisiaj atrybutem tych co wykręcają się od jasnego widzenia. Kto działa, nie jest czysty. Uratujecie życie wielu młodych ludzi. Zamiast rozpacz i samobójstwa znajdą cel i nadzieję. Życie innych, to dla was, chrześcijanina, chyba się liczy?

— Powiedzmy, jestem realistą — Michał pochylił swoje wielkie plecy. — Ale tacy jak ja, będą wśród katolików znikomą mniejszością. Moim warunkiem jest też, żebyście nie zmuszali mnie do wypowiedzi kompromitujących mnie wobec innych katolików. Żebyście zostawili mi *carte blanche* w ramach mego uznania stanu rzeczy.

Wolin wyciągnął ku niemu papierośnicę. Podsunął mu zapalnik. Zaciągając się papierosem Michał widział siebie dawnego przemawiającego na wiecach. Dobrze przyjmowanie upadku jest ostatecznie też męstwem.

— Grajmy w otwarte karty — powiedział inkwizytor. — Wy dajecie swoje nazwisko. Wzamian za to będziecie mogli legalnie praktykować duchowy opór. My w tej chwili i tak jesteśmy pewni zwycięstwa. Możemy się spróbować. Wasz Nietzsche zrozumiał z opóźnieniem że Bóg umarł. Trójca Hegla urodziła się z waszej katolickiej trójcy. I to było ważniejsze niż ataki anty-trynitariuszów. Naszym celem jest, aby znaleźli się ludzie którzy, nie będąc marksistami, poprą ekonomiczną odbudowę kraju. Co do reszty, wy będziecie grać na czas. I my będziemy grać na czas. W naszym interesie jest dać wam *carte blanche*. Czy to dosyć?

Człowiek rodzi się, nosi krótkie majtki, czyta o Indianach, później o odległych epokach trucizny, miecza, przetargów i intryg, nie wiedząc jakie gorycze gotuje mu jego stulecie. Świadomy lat ciemności przed nim, Michał powiedział:

— Dobrze.

— To, że możemy się porozumieć, nie jest przypadkowe.

Wolin patrzył na niego poważnie. — Wyście pojęli, że kto chce zmieniać świat, nie może posługiwać się fałszem parlamentaryzmu i że liberalne zabawy kupców były krótkotrwałą pianą w rozwoju ludzkości. Za kilka dni wyjdziecie na wolność. Organizowaniem prasy zajmuje się teraz redaktor Baruga. On da wam papier i drukarnię.

XVIII

Jeźdźcy ściągają cugle, zatrzymują się. Pod nimi wielki kraj, zdobyty, oddany ich władzy. Patrzą na rzeki błyszczące w słońcu, na ruiny spustoszonych miast, spokojne w niebieskiej mgle. Drobní ludzie poruszają się w dolinach nieświadomi losu. Na okrągłych górach zamki, potężne, wznoszące ku górom pięści swoich baszt. Z tych zamków będą rządzić. Zataczając łuki ostrzem miecza, wskazują sobie miejsca, gdzie, według ich planów, staną nowe grody, nowe wspaniałe budowle, tamy, areny igrzysk. Wiedzą, że wystarczy im skinać, a ruszą tłumy ludzkie; półnagie, w rytmicznym wysiłku, będą dźwigać belki i bloki kamienia. Nad ich codziennym trudem, nad bezsenssem ich fizjologicznego życia, będzie trwała myśl, przenikliwa, zaprawiona w dyspację, kierująca.

Tę wizję budziły w Piotrze słowa Juliana. Wyciągnięte w rozpaczliwym geście ramiona chłopki której zabrano syna, oddalały się w dół, w obszary tego co nieuniknione, tam, gdzie, oglądany z dystansu, błąd indywidualny los, zakończony, obojętny, przez starość, więzienie, egzekucję czy wypadek. Julian, rad z odzyskanego wpływu, apelował do feudalnej przeszłości rodziny Piotra. Pochodzenie, jak powiadał, powinno chronić jego umysł od sentymentalizmu. Za zniewagi, jakimi *bourgeois* obrzucał tych, których powołaniem była intelektualna pasja, przychodziła zapłata. Nieszkodliwi łowcy chimer, *poètes maudits*, teraz mieli dłoń w żelaznej rękawicy. Kraj przyszłości leżał przed nimi w słońcu. Nad oprawcami, nad wykonawcami, w jasnych pokojach napowietrznych zamków, grupka intelektualistów miała realizować marzenie Fausta.

Ruch wahadłowy, który popchnął Piotra do Artyma, teraz

odrzucał go w przeciwną stronę. Ogłosił kilka artykułów mniej niż dotychczas wstrzemięźliwych. I wtedy właśnie zdarzyło się to, na co już stracił nadzieję: Baruga zakomunikował mu, że ma wyjechać do Paryża.

Piotr był świadomy, że ocena czyjejs „pewności” opiera się w systemie na oznakach ledwie uchwytnych, raczej na fluidzie, który dany człowiek wydziela. Fakt, że możliwość wyjazdu przyszła w fazie Juliana, nie był przypadkiem: jedno łączyło się z drugim. Zapytywał siebie czy nie działał tu znów jego instynkt, dzięki któremu już tyle razy grał przed sobą komedię. Wiadomości o Paryżu nie przyjął spokojnie. Przeciwnie, ostatnio już niemal pogodzony, odnajdujący swoje miejsce wśród zdobywców, poczuł nagle strach. Baruga robił wielkoduszne gesty, ale od tego do uzyskania paszportu było jeszcze daleko. Ten strach spotęgował się, kiedy Piotr zaczął odwiedzać Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W spuszczonych oczach nowych urzędników, w ich latających spojrzeniach było to samo, co w wyrazie twarzy dziwnie poubieranych indywiduów czekających godzinami na audiencje; chodzili nerwowym krokiem po brudnych korytarzach, łamiąc sobie palce. Strach. Zarówno jedni jak i drudzy, było to dostatecznie widoczne, grali rozpaczliwie, każdy na swój sposób, stawkę wydostania się z pułapki. Sprawa paszportu Piotra wlokła się. W zdawkowych obietnicach sekretarki, do której zgłaszał się co tydzień, był zadowolony sceptycyzm.

Julian go uspakajał. „Oczywiście wyjedziesz. To ci posłuży. Zobaczysz że tam, na Zachodzie, nie ma już o co zaciepić rąk ni umysłu. Nie jesteś idiotą. Nikt nie wyrzeka się królestwa za miskę soczewicy. Jesteś z nami. Kto jest z nami, będzie miał wszystko. Pieniądze, które dla takich jak my się nie liczą, książki, podróże. Sam widzisz. Chcesz podróży, jest ci to udzielone. I tam to zabaczysz wyraźniej niż tu”.

Ale już nadzieja burzyła wątplą równowagę Piotra, przywoływała zbyt wiele zduszonych pragnień. Powtórzenie konstansów życia, w innej sytuacji. Wtedy, znalazłszy się w strefie sowieckiej w 1939 roku, chciał uciekać nawet pod niemiecką okupację, aby kupić czas i zrobić wielki, największy, jak mu się zdawało, rachunek. Nie mógł wyobrazić sobie chodzącego ulicami Paryża: czym tam będzie, czy może inna aura ludzka, która go otoczy, zedrze nagle

jakieś zasłony kryjące rzeczywistość? Wyjazd był próbą, czy, jak czasem podejrzewał, od 1939 roku nie był po prostu chory. Należało sprawdzić, co było w nim samym prawdziwe. I strach miał swoje źródło w tamtym aresztowaniu: gdyby była powtarzalność, teraz, w ostatniej chwili, mogłoby się zdarzyć coś podobnego.

Należać do kasty — czyż poza tym, w przerażającym świecie, istnieje inne zażegnanie niebezpieczeństw? Czyż inaczej, niż stojąc na górze nad królestwami tego świata i mówiąc „to nasze”, można odnieść zwycięstwo nad czasem? Piotr nie odrzucał pokusy. Ale jeszcze odkładał powiedzenie „tak”, jak człowiek, który nie chce powziąć decyzji w dniu, w którym ma gorączkę. Cekał i przewracał się w nocy z boku na bok, przypominając sobie złośliwy uśmiech, czyjaś zgryźliwą uwagę, które mogły świadczyć że paszportu nie dostanie.

Dowiedział się że Winter otrzymał nominację na drugiego sekretarza ambasady w Paryżu.

XIX

Ludzie w podartych ubraniach zarzucali przy pomocy tyk liny stalowe na ostre występy murów. Potem, uczepteni lin, ciągnęli, pomagając sobie rytmicznym ho-oop, ho, ho-oop. Ściana, po wielu wysiłkach, padała, wzbijając tumany pyłu. Do wywożenia gruzu służyły jednokonne wózki z długich desek ułożonych na kołach. Gromadki kobiet i mężczyzn z łopatami uwijały się wśród rumowisk, dogrzebując się do jezdni zasypanych ulic.

Dnie Foki upływały teraz na pracy w ruinach Warszawy. W miejscach, gdzie w dzieciństwie co dzień oglądał witrynę z ołowianymi żołnierzami, cukiernię, tajemnicze lampki kina, gdzie później kupował Katarzynie kwiaty, gdzie razem, za oszczędzone pieniądze, kupowali dla niej ciepłą kurtkę — pochylał się, zgarniając łopatą, odkładając na bok zachowane cegły, ładując, pełen strzępów myśli o skarbonce czy ołowianym żołnierzu, o śmiesznych przedmiotach które mogą łatwiej przetrwać niż istnienia ludzkie i miasto. W południe, siedząc w zimnym jesien-

nym wietrze z innymi, jadł zabrane rano śniadanie. Czasem któryś z robotników wyjmował „ćwiartkę”, wybijał korek uderzeniem dłoni w dno, pili, podając sobie butelkę. Było mu dobrze z tymi ludźmi wśród których wyrósł na ubogiej ulicy Powiśla. Swojski dla niego był ich cyniczny humor i porozumienie w wiedzy o sprawach tego świata, nie wymagające wielu słów. Splunięciem wyrażali swój sąd o absurdzie zniszczenia które musiało się dokonać, po to tylko, aby nowy rząd objął władzę i rozpoczął odbudowę, o Rosjanach, o Bezpiece, o pracy bez samochodów i bez maszyn. Jakkolwiek było, ich miasto powinno być odbudowane. Ze znanstwem dyskutowali o tym którzy da się uruchomić pierwsze tramwajowe linie, które dzielnice otrzymają wodę i elektryczność a resztki których muszą być zrównane z ziemią, aby kiedyś powstały tam nowe domy. Wiele przemilczali z przeszłości i ze swoich myśli o przyszłości. Chwyтали się tego co było zadaniem wymiernym, widocznym, patrioci pustyni, która dla nich ciągle kryła dawne i przyszłe życie. Mówił sobie, że z nimi powinien zostać. Może w tym codziennym fizycznym trudzie w imię użytecznego ludziom celu było okupienie win. Wszystko inne zawodziło. Rad był, że Darewiczowi się udało, ale to był jedyny człowiek, który starał się grupować resztki ich organizacji. Od jego wyjazdu więzy się zerwały, każdy poszedł w swoją stronę. Artym był za stary. Foka robił sobie wyrzuty, że był zbyt powściągliwy wobec Piotra, mimo że tak potrzebował jego przyjaźni. To, że Piotr nagle przestał się pokazywać, przypisywał swojej złej gwiazdzie. Z jego nadziei zdobycia ludzi sobie bliskich nic wyjść nie mogło.

O zmierzchu wracał piechotą na Pragę przez pontonowy most, jadł kolację, którą mu podawała żona jego kolejarza i w łóżku próbował czytać podręcznik botaniki, ale zasypiał po pierwszych zdaniach.

Ktoregoś wieczora, wchodząc na ciemne schody, poczuł że ktoś tam stoi. Chciał wyminąć. Latarka zaświeciła mu w twarz. „Przepraszam — powiedział gruby głos — czy obywatel Cisowski? Pozwoli pan z nami”. Było ich dwóch, w cywilu. O kilka domów dalej czekał jeep ze zgaszonymi światłami. Ruszyli, wiatr łopotał flanelowym szalikiem Foki, padał pierwszy śnieg, płatki chłodziły mu twarz. Może to i lepiej — pomyślał. A może wszystko jedno.

Wolin przewracał papiery.

— Te rozbitki opozycyjnych socjalistów są dziś chwa-
stem najbardziej szkodliwym. Aha, to ucieczka Darewicza.
Stefan Cisowski. Naturalnie AK. Na razie nam niepo-
trzebny. Przyda się kiedyś. Tymczasem niech siedzi. Ścią-
gnąć zeznania.

Gabinet Wolina mieścił się w pobliżu gabinetu ministra
bezpieczeństwa, w gmachu który Wolin nazywał „klini-
ką” — zarówno ze względu na pacjentów, jak na perso-
nel, który dostarczał mu interesujących psychologicznych
obserwacji.

Jego pomocnik, mały garbusek w okularach, podał mu
świsstek papieru.

— To jest, towarzyszu, donos, w związku z tym Cisow-
skim.

Wolin przeczytał uważnie.

— Piotr Kwinto? To potwierdza moją niechęć do wy-
puszczania takich ludzi. Przyjaźnił się z tym Cisowskim,
wyjeżdża za granicę żeby uciec? Informator wygląda na
inteligentnego. Warto sprawdzić.

Dając swoje placet na wyjazd tego Kwinto ustąpił Ba-
rudze. Opierał się też na dobrej opinii wystawionej przez
Juliana.

— Jest w ekipie która odlatuje do Paryża — powiedział
garbusek.

Wolin wziął słuchawkę. Telefony w mieście jeszcze nie
działały, ale sieć Bezpieczeństwa funkcjonowała już jako
tako. Wywołał Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

— Tu Wolin. Chciałbym wiedzieć kiedy odlatuje wasza
ekipa do Paryża. Dziś? Są na lotnisku? Zła pogoda? Nie,
nic. Dziękuję.

— Weźcie samochód. Nie dodzwonimy się tam do nich.
Jedźcie na lotnisko i zatrzymajcie paszport Piotra Kwinto.
Dyskretnie. Zamykać go nie ma powodu. Powinniście zdą-
żyć, nie mogą odlecieć, bo burza śnieżna.

Kiedy tamten wyszedł, Wolin rysował w zamyśleniu
gwiazdkę. Jeszcze jeden minus dla tego błazna Barugi.

Na wypukłej nawierzchni szosy wiodącej do lotniska wiatr obracał wiry suchego śniegu. W zamieci słabo widzialne były resztki zwalonych hangarów. Sowieccy wartownicy w kozuchach stali pod drewnianą bramą, na której portret Stalina otaczały czerwone bibułki; cienkie ostrza bagnatów na ich karabinach nikły w białej kurzawie.

Dawne tory startowe nie nadawały się do użytku. Na skraju stepu suchych traw ustawiono mały barak. Przed nim monotony opad drobnych płatków zasypywał samolot, samotny w płaskiej, ponurej przestrzeni.

Był to krajobraz, którego nie można było połączyć z wyobrażeniem ruchu. Znalazłszy się tutaj, Piotr przestał wierzyć w prawdopodobieństwo odlotu. To, że wystarczyłoby kilku godzin na przeniesienie się do jakichś żywych, normalnych miast, zdawało mu się równie dziwaczne, jak wtedy, kiedy miał dokoła siebie bezmiar Euro-Azji.

Dwaj sowieccy piloci w płaskich czapkach i ich zwierchnik-komendant lotniska, pili w baraku herbatę, siedząc przy żelaznym piecyku z ludźmi w polskich mundurach. Pasażerowie trzymali się sztywno na ławkach. Z rzadka wymieniali między sobą parę zdań półgłosem. Z wyrazu ich twarzy można było odgadnąć, że stopniowe tracenie nadziei na odlot było dla nich tragedią. Kobiety w chustkach, w starych kapeluszach, wierciły się nerwowo. Piotr patrzył na żonę Wintera w płaszczu z ufarbowanego wojskowego koca. Jej ręce trzęsły się kiedy podnosiła do ust papierosa. „Ta się przejmuję”, pomyślał. Winter, w czarnym niezgrabnym palcie, patrzył w ziemię osowiałym wzrokiem. „Czy wszędzie, do końca życia będzie wlec się za mną?” Piotr odwracał się ku oknu za którym gwizdał wiatr. Czekali już kilka godzin, ożywiając się co kwadrans za każdym razem kiedy trzej Rosjanie zaczynali ze sobą głośny spór o treści metereologicznych komunikatów.

Miejsce na samolocie Piotr dostał nagle. Dano mu paszport i powiedziano, że ma zgłosić się następnego dnia rano aby odjechać na lotnisko. Stałej komunikacji z zagranicą nie było, nie należało odwlekać. Zdażył tylko wpaść żeby pożegnać się z matką. „Moje modlitwy zostały wysłuchane”, mówiła. „Ty się uratujesz”. „Ja wrócę, mamó”. „Nie

wrócisz. Nie myśl o mnie. Nie bierz mnie pod uwagę. Żyj uczciwie". Policzki miał mokre od jej łez. Jej figurka, z podniesioną za nim ręką, malała za tylną platformą podmiejskiego pociągu, zostawał ze smakiem zdrady. To pośpieszne rozstanie było najbliższą, dostępną mu przyczyną, dla której czuł że jeżeli teraz nie odjedzie, nie odjedzie nigdy.

Starał się zrozumieć o co się kłóć Rosjanie. Pilot chciał lecieć, szef lotniska nie chciał go puścić, pułap był niski, widoczność prawie żadna. Śledził urywki ich rozmowy, ale ta rozpływała się w przekleństwach, w pluciu na podłogę i w rozcieraniu płwocin butem. Pasażerowie uderzali nogą w nogę próbując rozgrzać przemarznięte stopy. Piotr wyszedł z baraku i szybko maszerował w kółko, brnąc w śniegu. Zbliżało się południe. Śnieżyca gęstniała.

Drzwi od baraku otworzyły się, tłumek skierował się pośpiesznie do samolotu. „Nad Niemcami już się przejaśnia” ktoś komuś tłumaczył. „Byleby udało się wystartować”. Wynosili swoje chude walizki.

Douglas ruszył, płużąc w śniegu. Piotr przyciskając twarz do szyby widział białe bryzgi z pod kół jak pletwy. Podrzucany i wstrząsany, jeszcze nie wierzył. Czy ten pilot potrafi, na oślep oderwać się od ziemi? „Józef!”, krzyknęła przenikliwie Winterowa siedząca przed nim. Lecieli.

Dokoła była tylko biel. Ziemia, jego ziemia rodzinna, zostawała gdzieś na dnie, przysypana na wieki śniegiem.

„Nikt nie sądził, że będzie żył dostatecznie długo, by zdawać rachunek ze swoich win”. Wiatr przewracał kartki na stole. Gil starał się zobaczyć tych ludzi w czasie epidemii dżumy, która była ostatecznie mało ważnym zdarzeniem w kronikach przeszłości. Był świadomy pokusy. Jeżeli mocno, całą siłą wyobraźni, można odtworzyć ruchy rąk lamentującej ateńskiej kobiety, wyraz twarzy mężczyzny kiedy patrzy na martwego syna, kształt, niepowtarzalny, indywidualny, palców trzymających czarę z winem — znika czas, pozostaje wielka równoczesność niezliczonej liczby ludzkich istnień, które były i które będą, komunikujących sobie nawzajem tę samą skargę. A przecież ani czas, ani historia ludzkiego rodzaju nie są złudzeniem; zaprzeczać im, znaczy pogrążyć się w kwietyzm przegranej, z własnej przegranej czyniąc

ogólne prawo. Ani wola bez litości, ani litość bez woli nie były rozwiązaniem. Ktoś, kto umiałby podołać losowi człowieka, zbierałby krew w misę, dbając o to, aby nie uронić ani kropli, ale nie po to, aby stwierdzać że wszystko już było i swój jęk powoli przemieniać w uśmiech obojętności; nie, przeciwnie, zachowałby dar oburzenia i nigdy niepokonanej wiary.

Nie chodziło przecie o słowa. Robotnicy w mieście milczeli, ale strajk głodowy który zdarzył się ostatnio, stłumiony przez masowe areszty, miał swoje źródła w ich upartym przekonaniu, które tylko niepełnie wyraża ludowe słowo protestu: „niesprawiedliwie”. Gil bał się, że każdego dnia mógł dostać, jak wielu innych, których uznano za nieprodukcyjnych, zakaz mieszkania w mieście. Była to nie tylko obawa utracenia możliwości korzystania z uniwersyteckiej biblioteki i znalezienia się gdzieś w zapadłej wsi o błotnistych drogach. Również, i może przede wszystkim, bał się że poza tym niemiłym miastem z jego fabrykami jego izolacja zostałaby pozbawiona tła jakim było życie ludzkiej masy. Tak czy inaczej, właśnie w tej masie, która nauczyła się milczeć, nie tylko milczeć, wypowiadać przepisowe slogany, trwała wiedza o tym co sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Oni, kiedyś, w odległej przyszłości prawdziwi gospodarze hut, kopalń i fabryk, osłonią rękami niepewne światło — już bez uroszczeń posiadania absolutnej prawdy dziejów. Choć nie był jednym z nich, był przecież tutaj z nimi.

Poszedł do kuchni i przyrządził sobie herbatę. Pił ją, czytając gazetę. Nauczył się ostatnio przeglądać ją uważnie; z długich i pełnych oficjalnego optymizmu przemówień dawało się zgadywać jakie grożą niebezpieczeństwa. Najważniejszych wiadomości — jak na przykład o uwięzieniu sekretarza generalnego Partii, który padł ofiarą swego programu „narodowej drogi do socjalizmu” — prasa nie podawała. Przy wprawie można było jednak z porządku w jakim były umieszczane komunikaty, z intonacji, z urywkowych przyznań się do „trudności” dość wiernie rekonstruować sytuację; a przede wszystkim z procesów.

Pierwsza strona była zajęta przez wielki proces „zdrajców narodu, nikczemnych sługusów anglosaskiego wywiadu”. Zawsze podziwiał misterność z jaką procesy tego rodzaju były przygotowywane. Daty, zdarzenia, spotkania

były, jak sądził, naogół prawdziwe. Sztuka polegała na takim ich opracowaniu, że, spotykając się, najbardziej niewinne i przypadkowe dane składały się na obraz zbrodni. Jak powiadał złośliwy anonimowy poeta: „Z małego nasienia prawdy wyprowadzaj roślinę kłamstwa/ Nie naśladuj tych co kłamią, lekceważąc rzeczywistość”.

Jedno nazwisko było mu znajome. Podniósł brwi. Cisowski? Kolega Joanny? Ale on był przecie aresztowany dawno. Kiedy? Cztery czy pięć lat temu — nie umiał sobie przypomnieć dokładnie. Cisowski przyznawał się, jak należy, do wszystkiego co mu zarzucano: że za hitlerowskiej okupacji należał do tajnej grupy będącej na usługach Anglosasów, że później otrzymywał od swego zwierzchnika, Darewicza, pieniądze, które pochodziły z Londynu, że pomagał Darewiczowi w ucieczce i przysyłał mu za granicę szpiegowskie raporty. Zresztą rola jego w procesie była podrzędna. Otrzymał jedną z łagodniejszych kar, osiem lat; Gil obliczał — to znaczyłoby, że za trzy, cztery lata wyjdzie, jeżeli zaliczą mu to co już odsiedział i jeżeli zdrowie wytrzyma.

Przewracając gazetę, na trzeciej stronie natrafił na artykuł o rozwoju prasy. Pokiwał nad nim głową, łącząc fakty. Kilka dni temu przeczytał na tej samej stronie krótki nekrolog donoszący, że towarzysz Baruga zmarł na raka. Zdziwił się wtedy. Nie wiedział że ten potentat wpadł w niełaskę, jak świadczyło o tym skromne miejsce udzielone na wzmiankę o jego śmierci. Teraz, wśród tych, którzy zasłużyli się jako organizatorzy, jego nazwisko nie było wymienione.

Niebo lata było błękitne, z obłokiem i strzałą jaskółki. Dźwięk trąb orkiestry odezwał się gdzieś daleko, zmieszany ze zgrzytem tramwaju. Gil porządkował na stole zapisane kartki. Ułożył je i dłonią zrównał ich brzegi. Pomimo wszystko, człowiekowi dane są środki uzyskania spokoju. Wyznacza sobie zadanie i, wykonując je, rozumie, że jest ono nieznaczące, zagubione wśród mnóstwa ludzkich krzotań się i zabiegów. Ale kiedy pióro zawisa w powietrzu i jest do rozwiązania problem interpretacji czy syntaksy, wszyscy ci, którzy kiedyś dawno posługiwali się myślą i językiem, są przy nas, dotyka się misternych rzeźb ogrzanych ich oddechem. I wspólnota z nimi przynosi spokój. Któż będzie na tyle zarozumiały, aby zapewniać, że wie

które czyny łączą się i wspierają wzajemnie, a które zostają odrzucone w śmieszność, w zapomnienie, poza to, co warte jest nazwania dziedzictwem? Zamiast zastanawiać się nad tym — lepiej jest stawiać jedynie ważne pytanie: czy umie się być wolnym od smutku i obojętności.

KONIEC.

